Erich von Däniken

WSPOMNIENIA Z PRZYSZŁOŚCI

Nie rozwiązane zagadki przeszłości

Tłumaczył Roman Kazior

WYDAWNICTWO PROKOP

Tytuł oryginału: Erinnenmgen an die Zukunft. Ungelöste Rätsel der Vergangenheit

Projekt okładki: Studio Grafiki Komputerowej Wydawnictwa Prokop

Redakcja i redakcja techniczna: Krzysztof Pruski

Źródła zdjęć: 1 - Constantin-Film: 5 - Willi Dünnenberger. Zürich; 6, 26, 27 - Rudolf Eckhardt, Berlin; 9, 10 - Thames and Hudson Ltd. Pozostałe zdjęcia - archiwum autora

© 1968 by Econ Verlag GmbH, Dusseldorf und Wien

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Prokop, Warszawa 1994

ISBN 83-86096-06-3

WSPOMNIENIA Z PRZYSZŁOŚCI

Przedmowa do nowego wydania

Mniej więcej 24 lata temu - pod koniec lutego I968r. - w wydawnictwie Econ Verlag w Düsseldorfie ukazała się moja „pierworodna" książka Wspomnienia z przyszłości. Napisałem ja dwa lata wcześniej, ale na moim biurku regularnie lądowały odmowne odpowiedzi z różnych domów wydawniczych: „Niestety nie mieści się w naszym profilu wydawniczym...", „Bardzo nam przykro...", „Nie chcemy wchodzić w te zagadnienia...", „Proponujemy Panu jakieś wydawnictwo ezoteryczne..."

Później często pytano mnie, jak możliwy był ten „cud", że tak kontrowersyjną pozycję wydało jednak renomowane wydawnictwo popularnonaukowe. Dzisiaj mogę to już powiedzieć. Stało się tak dzięki pomocy z zewnątrz i małemu przemilczeniu.

W lecie 1967 r. spotkałem dra Thomasa von Randowa, ówczesnego redaktora działu naukowego w tygodniku „Die Zeit", który przejrzał mój czysty maszynopis, zwrócił uwagę na kilka udanych zdjęć i powiedział: — To nie jest dla nas. Z tego trzeba zrobić książkę.

— Ale jak dostać się do wydawnictwa?

WSPOMNIENIA Z PRZYSZŁOŚCI

Doktor von Randow manipulował przy swojej fajce, następnie spoglądając mi prosto w oczy rzekł: — Znam jednego wydawcę. Jeśliby pan chciał, mogę do niego niezobowiązująco zadzwonić.

Natychmiast chwycił za słuchawkę telefonu i kazał się połączyć z panem Erwinem Barth von Wehrenalpem, ówczesnym szefem wydawnictwa Econ. Krew uderzyła mi do głowy, gdyż wiedziałem przecież to, czego nie mógł wiedzieć dr von Randow: Econ odrzucił już mój maszynopis. Oczywiste jest, że pamięć o rozmowie, której się wtedy przysłuchiwałem, nigdy nie zniknie z moich szarych komórek:

— Siedzi przede mną młody Szwajcar, który napisał całkowicie zwariowaną książkę. Ale on sam nie jest wariatem. Może powinien go pan wysłuchać?

Rozmówca po drugiej stronie drutu telefonicznego chciał wiedzieć, czy nie mógłbym wpaść do jego biura następnego dnia. Oczywiście, że mogłem! Pomyślałem, że szef wielkiego wydawnictwa przypuszczalnie nie ma pojęcia, jaką decyzje podjęli już dawno temu jego podwładni.

Po obiedzie z młodym lektorem wydawnictwa sprawa była dopięta na ostatni guzik. Maszynopis miał zostać trochę zmieniony i ukazać się na wiosnę 1968 roku. Tylko w jednej sprawie doszło do sporu: „Wspomnienia z przyszłości są nie do przyjęcia, jako tytuł! Nie można przecież wspominać przyszłości!" Wykazałem jednak upór i odrzuciłem wszystkie inne propozycje tytułów...

WSPOMNIENIA Z PRZYSZŁOŚCI

O tym, jak wyobrażam sobie wspominanie przyszłości, napisałem w krótkiej przedmowie, która wchodzi też w skład tego wydania. Książka pociągnęła za sobą całą lawinę. W dwa lata po pierwszym wydaniu na rynku był już trzydziesty nakład i 600 tysięcy egzemplarzy. W 1969 r. nakręcono film pod tym samym tytułem, który jesienią 1970 r. wyświetliła amerykańska telewizja. Pojawił się tam nowy wirus nazwany za tygodnikiem„Time" • „danikenitis". Problem, czy nasi przodkowie doświadczyli odwiedzin z Kosmosu, stał się tematem rozmów jak świat długi i szeroki. W trzy lata po pierwszym wydaniu książka została przetłumaczona na 28 języków i ukazała się w 36 krajach. Dzisiaj, po prawie ćwierćwieczu, wydawnictwo Bertelsmanna ponownie wydaje książkę w dawnej, nie zmienionej wersji.

Fali powodzenia towarzyszyła krytyka. Profesor Ernst von Khuon zebrał rozprawy 17 uczonych w zbiorze pt. Czy bogowie byli astronautami? (Waren die Götter Astronauten?). Część artykułów zdecydowanie odrzucała moje tezy, inne były przychylne. Od tego czasu dosłownie na wszystkich kontynentach wyrosły z ziemi — jak po ciepłym deszczu — „antydänikeny". Są wśród nich liczne okazy błotne. Zarzucano mi „plagiat" i „brak naukowości", „wrogość wobec religii" oraz „ignorancję udowodnionych naukowo faktów". Co pozostało z tego po 24 latach? Czy rzeczywiście rozpowszechniałem tylko głupstwa?

Pisałem o mapach geograficznych tureckiego admirała Piri Reista, które jeszcze dzisiaj można podziwiać w pałacu

Topkapi w Stambule: „Wybrzeża Ameryki Północnej i Południowej są precyzyjnie zaznaczone". Zdanie to jest fałszywe. W rzeczywistości bowiem wybrzeża obu Ameryk można rozpoznać tylko w przybliżeniu. Poprawka ta niczego jednak nie ujmuje sensacyjności mapy Piri Reista, gdyż zdecydowanie i bardzo wyraźnie ukazuje ona linię brzegową Antarktydy, która do dzisiaj leży pod wiecznym lodem.

Napisałem wówczas, że wyspa Elefantyna w Górnym Egipcie nazywa się tak dlatego, że z lotu ptaka jej zarys przypomina słonia. Informacja ta była całkowicie błędna. Spekulowałem też, że wspomniana w eposie o Gilgameszu „Brama Słońca" jest być może identyczna z „Bramą Słońca" z Tiahuanaco na wyżynie boliwijskiej. Był to nonsens, gdyż brama z Tiahuanaco nosi tę nazwę dopiero od minionego wieku, a nikt nie wie, jak się nazywała przed tysiącami lat.

Pisałem także: „Cudem jakimś pięciopasmowy, fantastyczny naszyjnik z zielonego jadeitu znalazł się w grobowej piramidzie w Tikal w Gwatemali! Cudem dlatego, że jadeit pochodzi z Chin". Dałem świadectwo fałszywego „cudu", gdyż jadeit pochodzi z Ameryki Środkowej.

Odnosząc się do przyszłości, napisałem: „Istnieje rozkład jazdy na Marsa. Odpowiedni statek jest już zaprojektowany i musi zostać 'tylko' zbudowany". Zdania te były wówczas — napisane w 1966 r.! — prawdziwe. Tyle tylko, że „rozkład jazdy na Marsa" stał się nieaktualny ze względów finansowych.

WSPOMNIENIA Z PRZYSZŁOŚCI

Jest prawem każdego początkującego być bardziej naiwnym, łatwowiernym i nie tak samokrytycznym, jak bardziej doświadczeni koledzy. Często dawałem się ponosić entuzjazmowi albo przyjmowałem informacje z drugiej ręki. Innym razem z kolei opierałem się na danych jakiegoś autorytetu naukowego, by post factum dowiedzieć się, iż poglądy tego uczonego męża dawno już zostały obalone. Kiedy prezentowałem przeciwne poglądy, zarzucano mi natychmiast, że są to opinie „nieaktualne". Przy czym owe „dementi" odnoszące się do przypadków wątpliwych dotyczyły wzajemnie przeciwstawnych twierdzeń. Najgorsze było, gdy „obalano" rzekomo moje tezy, których nigdzie nie wypowiedziałem ani nie napisałem.

Prawdziwe błędy we Wspomnieniach z przyszłości, do których się przyznaję, nie obalają ani zasadniczej teorii, ani mojego systemu myślowego. W tym miejscu słyszę już sprzeciw: „Ten Däniken jest już dawno nieaktualny pod względem naukowym". W tej sprawie kilka przykładów, które zostały zebrane przez uczonego przyrodnika dra Johannesa Fiebaga i opublikowane w „Ancient Skies", zeszyt 6/1991. Pisze on:

„Weźmy jako przykład niemieckiego profesora Herberta Wilheimy'ego. Wilhelmy studiował geografię, geologię, ekonomię, etnografię i od 1942 r., był profesorem w Kilonii, Stuttgarcie i Tybindze. Nie bez powodu cieszy się opinią „uniwersalnego uczonego", a jego praca Świat i

środowisko Majów (Welt und Umwelt der Maya) należy do najważniejszych dzieł z tego zakresu.

Przyjrzyjmy się jednak nieco dokładniej jednemu rozdziałowi książki (XIII): „Obce wpływy na kulturę Majów - spekulacje wokół dawnych żeglarzy i astronautów". Wilhelmy pisze, że Dänikenowscy astronauci - bogowie, przed ponad dziesięcioma tysiącami lat przybyli w wielkich statkach kosmicznych z Kosmosu" i Erich von Däniken „dwukrotnie w swoich książkach wiąże ich lądowanie na Ziemi z półwyspem Jukatan" (Palenque i La Venta). Właśnie to zdanie ujawnia znaczne braki w metodzie pracy Wilhelmy'ego. Cytuje on w 1981 r. zaledwie dwie książki: Wspomnienia z przyszłości oraz Z powrotem do gwiazd, które ukazały się w latach 1968i 1969!Także drugie, zmienione wydanie pracy Wilhelmy'ego z 1989 r. nie wskazuje, aby zmienił się stan jego wiedzy. Całkowicie bez śladu przeszły obok niego kolejne prace Dänikena i innych autorów, zwłaszcza zaś wydana w 1984 r. książka Dänikena o Majach pt. Dzień, w którym przybyli bogowie. W każdej innej dziedzinie wiedzy byłoby niedopuszczalne cytowanie prac sprzed 20 lat i nieuwzględnienie późniejszych publikacji...

Drugi błąd popełnia Wilhelmy, gdy zakłada, że tylko jego sposób widzenia jest wyłącznie słuszny. Krytycznie rozkłada na czynniki pierwsze Dänikenowski opis pewnego monolitu w La Venta (w Villahermosa w Meksyku). Erich von Däniken pisze o tym następująco: Stoi tam dobrze obrobiony monolit, przedstawiający węża lub raczej smoka. We wnętrzu

zwierzęcia siedzi człowiek... Jego stopy obsługują pedały, a lewa ręka spoczywa na przekładni... Głowę obejmuje ściśle dopasowany hełm... Przed wargami znajduje się przedmiot, w którym można rozpoznać mikrofon...

Wilhelmy komentuje: „Niestety zdjęcie Dänikena ma usterki techniczne, co nie pozwala mu zauważyć, że w rzeczywistości, tak jak widać to na oryginale z Villahermosa, nie jest to smok, lecz wielki wąż, stojący na straży sarkofagu lub komory grobowej ze znajdującym się tam zmarłym".

W rzeczy samej niektóre cechy — np. grzechotki na ogonie — wskazują na ogromnego węża. Jednak skąd jednoznaczny wniosek, że obraz ukazuje zmarłego? W publikacjach naukowych występują chyba także „techniczne usterki", skoro inni archeolodzy skłonni są w przedstawionej postaci upatrywać znanego boga Kukulcana? Dla nich nie jest on w żadnym wypadku „zmarły" ani nie leży w „komorze grobowej", lecz jest jak najbardziej żywy, gdyż porusza nawet kadzielnicą.

Także prasa skwapliwie zajmuje się — mimo oczywistych błędów w argumentacji — „obalaniem" tez Dänikena. Hans Schönfeld pisał np. w„Berliner Zeitung" z 13.12.1989 r.: "Z autorem science fiction [mowa o Erichu von Dänikenie] jest kiepsko: na podstawie swoich 'dowodów' wychodzi on z założenia, że pozaziemscy kosmici składali wizyty na naszej Ziemi przed ponad dziesięcioma tysiącami

lat. Jednak opisany przez, niego smoczy monolit ma od dwóch do trzech tysięcy lat!" Gazeta nie zamieściła sprostowania Ericha von Dänikena („Gdzie datowałem monolit z La Venta na dziesięć tysięcy lat?"). Autopoprawki są najwyraźniej obce zarówno Wilhelmy'emu jak i „Berliner Zeitung".

W jeszcze większym stopniu odnosi się to do kolejnego przypadku, który Wilhelmy podsuwa czytelnikom. Jest nim Palenque. „Nagrobna płyta z Palenque" była już często cytowana i wielokrotnie interpretowana. Wilhelmy przedstawia jednak własną interpretację (chodzi o boga kukurydzy Yurn Kax) jako „udowodnioną" tezę. Jego zdaniem Erich von Daniken manipuluje natomiast swoimi czytelnikami, gdyż „ogląda tę płytę od złej strony, mianowicie od strony poprzecznej... Położenie płyty w wąskiej komorze grobowej i ogólna kompozycja płaskorzeźby nie pozostawiają żadnych wątpliwości, iż oglądać ją należy od węższej strony. Tylko widziana w ten sposób, płyta ma jakiś sens".

Gdyby nie było to tak poważnie wygłoszone, trzeba by wybuchnąć homeryckim śmiechem, gdyż najpóźniej w momencie inauguracji załogowych lotów kosmicznych nawet Wilhelmy powinien zauważyć, że właśnie postulowany przez niego ogląd reliefu doskonale ukazuje podróżującego we Wszechświecie astronautę. Kto zatem kim manipuluje?

Chcielibyśmy wreszcie wykazać, jak cieszący się uznaniem uczony jest krytyczny wobec poglądów innych, ale zupełnie pozbawiony krytycyzmu wobec samego siebie.

Wilhelmy pisze: „Na jego [Ericha von Dänikena] niedostateczną znajomość literatury przedmiotu jest jeden przykład. Mówi on mianowicie o świętej cenocie [czyli wypełnionym woda zagłębieniu terenu, przypominającym studnię — przyp. red.] w Chichen Itza i o drugiej niezbyt od niej oddalonej, z której mieszkańcy czerpią wodę pitną: Podobne są one do siebie w uderzającym stopniu... nawet pod względem wysokości lustra wody... Bez wątpienia obie studnie mają ten sam wiek i być może zawdzięczają swe powstanie uderzeniom meteorytów. Zasłona tajemnicy, rozciągnięta tu nad dawno wyjaśnionymi sprawami, jest urojeniem Dänikena. Cenoty nie są skutkiem uderzeń meteorytów, lecz wynikiem zawalenia się stropu jaskiń krasowych, często spotykanych na północnym Jukatanie... Geneza cenot znana jest od 1910 r., a wszystkie ważniejsze ogólne prace o kulturze Majów dokładnie przedstawiają to całkowicie wyjaśnione zjawisko przyrodnicze..."

Jasne i niewątpliwe wydaje się tylko jedno. To mianowicie, że nawet szacowni uczeni mylą się tym gorzej, w im bardziej donośne i zdecydowane tony uderzają. „Dementi" Wilhelmy'ego jest niezwykle spektakularną ilustracją tej prawidłowości. O co chodzi?

Przed 66 milionami lat, na styku okresu kredowego i trzeciorzędu, wymarły dinozaury a wraz z nimi trzy czwarte ówczesnej fauny. Koniec ten miał przebieg dosyć gwałtowny. Większość geologów, którzy zajmują się tym problemem, przyjmuje obecnie, że uderzenie wielkiego meteorytu do tego

stopnia na całe tysiąclecia zniszczyło środowisko naturalne (cząstki sadzy w powietrzu, spadek temperatury, parujące skały jako czynnik wywołujący kwaśne deszcze itp.), że doszło do owej „redukcji" świata zwierzęcego. Uczeni długo nie byli w stanie odkryć miejsca ewentualnego uderzenia wielkiego meteorytu.

Wydaje się, że od początku 1991 r. jest ono znane. Gdzie? Na Jukatanie! Już przedtem geolodzy odkryli w rejonie Karaibów potężne pokłady gruzu i stopionej skały, zalegające w warstwie granicznej między okresem kredowym a trzeciorzędem. Pozwalało to wnioskować, że poszukiwany krater może znajdować się stosunkowo blisko. Przypuszczano, że leżał na dnie morza lub na południe od Kuby. Zdjęcia satelitarne NASA z 1987 r. okazały się sensacyjne. Na ich podstawie można było zrekonstruować system zaopatrzenia w wodę Majów oraz natrafiono na półkole o średnicy około dwustu kilometrów składające się z cenot (dziury krasowe lub lejkowate doliny). Obecnie geolodzy mają już pewność, że pierścień ten, do którego naliczają się również cenoty z Chichen Itza, tworzy krawędź gigantycznego zagłębienia terenu. W nisko leżących, całkowicie porozbijanych skałach woda łatwo cyrkuluje, co prowadzi do rozkładu wyżej leżącej skały wapiennej, która powstała dopiero po uderzeniu meteorytu, zaś przy okazji tych zjawisk powstają cenoty. Krater Chicxulub (nazwany tak od małej miejscowości pod Meridą, leżącej w środku owej struktury geomorfologicznej) uważany jest obecnie za głównego kandydata na sprawcę

zagłady wielkich gadów. Inaczej zatem niż sugeruje Wilhelmy — to Erich von Däniken ma rację. Napisał on zresztą jedynie: ...być może obie (studnie) zawdzięczają swe powstanie uderzeniom meteorytów, a nie że są one kraterami po meteorytach.

Oczywiście nawet taki „uniwersalny uczony" jak Wilhelmy nie mógł przewidzieć, czym okażą się pewnego dnia cenoty. Przykład ten pokazuje jednak w sposób wręcz klasyczny, jak szybko to, co rzekomo jest pewne, okazuje się omyłką, natomiast spekulatywne przypuszczenia — również ludzi nie będących uczonymi — stają się najbliższe prawdzie".

Tyle jeśli chodzi o cytat z tekstu dra Johannesa Fiebaga. Czy naciągana i po części także kłamliwa krytyka ostatnich 24 lat złamała mój upór, doprowadziła do zgorzknienia?

W żadnym wypadku. Bardzo dużo wyniosłem z tej krytyki. Często była uzasadniona i kierowała uwagę na rozsądne tory. Poza tym obok gradu krytycznych wypowiedzi ukazały się — także wyrażające opinie uczonych — książki biorące Dänikena w obronę i niezliczone przychylne artykuły w wielu językach. Moje archiwum pełne jest takich materiałów! Szkoda tylko, że niektórzy przedstawiciele środków masowego przekazu pozostali więźniami swych przesądów. Pożałowania godne jest też, iż tak wielu uczonych, kolegów-pisarzy czy scenarzystów czerpało z moich prac, nie podając wbrew dobrym obyczajom źródła inspiracji. Ja sam po wydaniu Wspomnień z przyszłości napisałem jeszcze 18

dalszych książek, mieszczących się w tym samym zakresie tematycznym. Dowodem nieustającego zainteresowania szerokiego kręgu czytelników „bogami z Kosmosu" jest fakt, że każda moja następna publikacja znajdowała się na liście bestsellerów tygodnika „Der Spie-gel". W 1973 r. w USA założono „Ancient Astronaut Society" (AAS), ogólnoświatową organizacje użyteczności publicznej, która zajmuje się przedstawianymi przeze mnie problemami. W krajach niemieckojęzycznych AAS ma cztery tysiące członków. Amerykański profesor filozofii dr Luis Navia z New York Institut of Technology napisał:

„Jeśli zbada się tę hipotezę bez uprzedzeń i w sposób otwarty, widać wyraźnie, że nie ma w niej niczego, co sprzeciwiałoby się najsurowszym nawet zasadom naukowym lub naszemu aktualnemu rozumieniu uniwersum. Wielka zasługa Ericha von Dänikena polega na tym, że zwrócił uwagę na owe niezliczone fakty archeologiczne, kulturowe, historyczne i religijne, które nabierają sensu dopiero, gdy weźmie się pod uwagę możliwość pozaziemskich odwiedzin. A właśnie tego wymaga się od rozsądnej i przekonywającej hipotezy naukowej".

W sedno trafił jednak badacz sanskrytu prof. dr Dileep Kumar Kandżilal. profesor zwyczajny sanskrytu i indologii w Sanscrit College w Kalkucie:

„Na podstawie staroindyjskich tekstów można jednoznacznie dowieść, że w zamierzchłej przeszłości Ziemię odwiedziły istoty pozaziemskie, które wpłynęły na jej dzieje".

Tak właśnie było.

Erich von Däniken

Feldbrunnen/Szwajcaria, 15 listopada 1991 r.

Przedmowa

Wspomnienia z przyszłości — czy coś takiego istnieje? Wspomnienia o czymś, co przyjdzie ponownie? Czy w przyrodzie istnieje wieczny obieg rzeczy, wieczne zlewanie się czasów?

Czy liszka przeczuwa, że na wiosnę zbudzi się motylem? Czy cząsteczka gazu czuje jakimś sposobem prawo, zgodnie z którym prędzej czy później ponownie zniknie w Słońcu? Czy umysł ludzki wie o swoim powiązaniu z wszystkimi zakamarkami wieczności?

Dzisiejszy człowiek różni się od człowieka dnia wczorajszego lub przedwczorajszego. Człowiek staje się ciągle na nowo i zmienia się nieustannie w owym nieskończonym ciągu, który zwiemy CZASEM. Człowiek będzie musiał zrozumieć i opanować czas! Czas jest bowiem nasieniem uniwersum. I nie ma końca czas, w którym łączą się wszystkie czasy.

Są wspomnienia z przyszłości. To, czego dzisiaj jeszcze nie wiemy, skrywa przed nami Wszechświat. Być może dzisiaj, jutro lub kiedyś w przyszłości niektóre tajemnice zostaną wyjaśnione. Wszechświat nie zna czasu ani jego pojęcia.

Książka ta nie powstałaby bez zachęty i pomocy wielu ludzi. Mojej żonie, która w ostatnich latach rzadko widywała mnie w domu, dziękuję za wyrozumiałość. Dziękuję mojemu

przyjacielowi Hansowi Neunerowi, który towarzyszył mi przez sto tysięcy kilometrów w moich podróżach i służył zawsze cenną pomocą. Dziękuję panu doktorowi Stehlinowi i Louisowi Emrichowi za to, że tak długo dodawali mi otuchy. Dziękuję wszystkim pracownikom NASA w Houston, na Przylądku Kennedy'ego i w Huntsville, którzy oprowadzali mnie po swoich wspaniałych naukowo-technicznych ośrodkach badawczych. Dziękuję prof. dr. Wernherowi von Braunowi, dr. Willy'emu Leyowi i panu Bertowi Slattery'emu. Dziękuje wreszcie wszystkim niezliczonym mężczyznom i kobietom na całym świecie, którzy przez rozmowy, sugestie i bezpośrednią pomoc umożliwili powstanie tej książki.

Erich von Däniken

Wprowadzenie

Napisanie tej książki wymagało odwagi, jej przeczytanie wymaga odwagi nie mniejszej. Uczeni wezmą ją

na indeks dzieł, o których lepiej nie mówić, gdyż jej tezy i dowody nie pasują do mozolnie zlepionej mozaiki skostniałej już miedzy szkolnej. Laicy z kolei, których nawet we śnie niepokoją wizje przyszłości, schronią się niczym ślimaki do bezpiecznej i znanej im skorupy przed możliwością, więcej — przed prawdopodobieństwem, iż odkrywana przeszłość będzie w porównaniu z przyszłością jeszcze bardziej tajemnicza, zuchwała i zagadkowa.

Jedno jest bowiem pewne: w naszej przeszłości, tej sprzed tysięcy milionów lat, coś się nie zgadza! Roi się w niej od nieznanych bogów, którzy w załogowych statkach kosmicznych składali wizyty naszej dobrej, wiekowej Ziemi. Przeszłość ta pełna była broni tajemnych, super-broni i trudnej do wyobrażenia wiedzy technicznej, której po części do dzisiaj nie jesteśmy w stanie odtworzyć,

W naszej archeologii coś się nie zgadza! Oto znajduje się baterie elektryczne sprzed wielu tysięcy lat. Widać dziwne istoty w nienagannych skafandrach kosmicznych, których pasy zapinane są na klamerki z platyny. Występują piętnastocyfrowe liczby, których nie obliczył przecież żaden komputer. W zamierzchłej przeszłości spotykamy cały szereg rzeczy, których nie sposób sobie wyobrazić. Skąd jednak owi prapraludzie posiadali umiejętność tworzenia niewyobrażalnych rzeczy?

Z naszymi religiami też jest coś nie tak! Wszystkie religie mają tę wspólną cechę, że obiecują ludziom zbawienie i

pomoc. Obietnice takie składali również najstarsi bogowie. Dlaczego jednak ich nie dotrzymywali? Dlaczego używali supernowoczesnej broni przeciwko prymitywnym ludziom? l dlaczego planowali ich zagładę?

Powinniśmy przyzwyczaić się do myśli, że powstały w ciągu tysięcy lat świat wyobrażeń — załamie się. Nawet niewiele lat dokładnych badań wystarczyło, by zburzyć gmach pojęć, w którym było nam tak przytulnie. Na nowo odkrywana jest wiedza, ukryta przedtem w bibliotekach tajnych stowarzyszeń. Era podróży kosmicznych nie jest już czasem skrywanych tajemnic. Loty kosmiczne w kierunku Słońca i gwiazd pozwalają także na sondowanie otchłani naszej przeszłości. Z ciemnych grobowców podnoszą się bogowie i kapłani, królowie i bohaterowie. Musimy wydrzeć im ich sekrety, gdyż mamy środki do tego, by odkryć naszą przeszłość gruntownie i —jeśli tylko tego chcemy — bez żadnych luk.

Starożytność trzeba badać w nowoczesnym laboratorium..

Archeolog musi na zgliszczach przeszłości posługiwać się czułymi urządzeniami pomiarowymi.

Szukający prawdy współczesny kapłan musi zacząć od nowa wątpić we wszystko, co zostało ustalone.

Bogowie z zamierzchłej przeszłości pozostawili widoczne ślady, które umiemy odczytać i odszyfrować dopiero

dzisiaj, gdyż przez tysiące lat nie istniał dla ludzi problem podróży kosmicznej, który dla nas stał się tak bliski. Wysuwam bowiem twierdzenie: dawno w starożytności nasi przodkowie doświadczyli odwiedzin z Kosmosu! Choć do dzisiaj nie wiemy, kim były te pozaziemskie istoty inteligentne i z jakiej przybyły planety, to jestem przekonany, że „obcy" zgładzili cześć żyjącej wówczas populacji i spłodzili nowego człowieka, być może pierwszego Homo sapiens.

Twierdzenie to zbija z nóg, gdyż niszczy podstawy, na których zbudowano tak doskonały pozornie gmach dotychczasowych pojęć. Celem tej książki jest próba dostarczenia dowodów na poparcie owego twierdzenia.

Rozdział I

Czy Kosmos zamieszkują istoty podobne do człowieka? — Czy rozwój bez tlenu jest możliwy?— Czy życie występuje w śmiercionośnym środowisku?

Czy jest do pomyślenia, abyśmy my, obywatele świata w XX w., nie byli jedynymi rozumnymi istotami w Kosmosie? Do tej pory w żadnym jeszcze muzeum antropologicznym nie ma wśród eksponatów spreparowanego homunkulusa z innej planety, zatem odpowiedź, że „tylko naszą Ziemię zamieszkują istoty ludzkie", wydaje się przekonywająca i uzasadniona. Jednak las znaków zapytania zagęszcza się, skoro tylko połączymy ze sobą w ciąg przyczynowy wyniki najnowszych znalezisk i badań naukowych.

Astronomowie twierdzą, że w pogodną noc człowiek może zobaczyć gołym okiem na nieboskłonie około 4500 gwiazd. Jednak już zwykła luneta w małym obserwatorium astronomicznym pozwala ujrzeć prawie dwa miliony gwiazd, podczas gdy nowoczesny teleskop zwierciadłowy wychwytuje światło miliardów gwiazd... punktów świetlnych Drogi Mlecznej. Na tle ogromu Kosmosu nasz system gwiezdny jest zaledwie maleńką cząstką nieporównanie większego systemu — który można by nazwać wiązką (układem) dróg mlecznych. Obejmuje on około 20 galaktyk w promieniu 1,5 miliona lat

świetlnych (l rok świetlny = 9,5 bilionów kilometrów). Z kolei nawet ta wielka liczba gwiazd wcale nie jest duża w porównaniu z wieloma tysiącami galaktyk spiralnych, których istnienie przybliżyły nam teleskopy elektroniczne. Wszystko to odnosi się do dzisiejszego stanu wiedzy, a badania dopiero się rozpoczęły.

Astronom Harlow Shapley zakłada, że w zasięgu naszych teleskopów znajduje się 1020 gwiazd. Jest on skłonny uznać, że tylko jedna na tysiąc ma swój układ planetarny i jest to z pewnością bardzo ostrożna kalkulacja. Pójdźmy tropem tych szacunków i przypuśćmy, że tylko na jednej z tysiąca gwiazd istnieją warunki dla powstania życia. Mielibyśmy zatem w wyniku tego rachunku wciąż jeszcze wielką liczbę 1014. Shapley zadaje pytanie: ile gwiazd z tej doprawdy astronomicznej liczby ma atmosferę umożliwiającą procesy życiowe? Może jedna na tysiąc? Skoro tak, to pozostawałaby jeszcze niewyobrażalna liczba l011 gwiazd dysponujących przesłankami dla powstania życia. Nawet gdybyśmy założyli, że z tej liczby tylko co tysięczna gwiazda istotnie wykształciła życie, to nadal pozostałoby dla naszych spekulacji jeszcze 100 milionów planet. Przy czym obliczenie to opiera się na dostępnych dzisiaj możliwościach technicznych, podczas gdy teleskopy cały czas są rozwijane i ulepszane.

Biochemik dr S. Miller wysuwa hipotezę, że na niektórych z tych planet warunki do powstania życia i ono samo rozwinęły się być może szybciej niż na Ziemi. Idąc tropem naszych śmiałych obliczeń trzeba by uznać, iż na tych

stu milionach planet mogły się rozwinąć cywilizacje bardziej zaawansowane od naszej. Prof. dr Willy Ley, znany pisarz naukowy i przyjaciel W. von Brauna, powiedział mi w Nowym Jorku:

„Liczbę gwiazd tylko w naszej Drodze Mlecznej szacuje się na 30 miliardów. Współczesna astronomia przyjmuje założenie, iż w Drodze Mlecznej znajduje się co najmniej 18 miliardów układów planetarnych. Gdybyśmy spróbowali sprowadzić wchodzące w grę liczby do najmniejszych wielkości i przyjęli, że odległości między nimi są tak dobrane, iż tylko jedna planeta na sto obiega swe słońce w ekosferze, to i tak pozostaje jeszcze 180 milionów planet mogących być środowiskiem dla życia organicznego. Przyjmijmy dalej, iż tylko jedna planeta na sto spośród nich rzeczywiście stanowi siedlisko życia, a mielibyśmy jeszcze 1,8 miliona planet, na których życie istnieje. Kolejne przypuszczenie zakładałoby, że na 100 życiodajnych planet przypada jedna zamieszkana przez istoty o inteligencji nie ustępującej Homo sapiens. Jednak nawet to ostatnie założenie pozostawia naszej Drodze Mlecznej potężny zastęp 18 tysięcy zaludnionych planet".

Ponieważ najnowsze obliczenia mówią o 100 miliardach stałych gwiazd w Drodze Mlecznej, to zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa liczba zamieszkanych planet byłaby zdecydowanie wyższa, niż szacuje to profesor Ley w swym ostrożnym obliczeniu.

Nie angażując w nasze rozważania utopijnych liczb i nie uwzględniając obcych galaktyk, możemy przypuszczać, iż względnie blisko Ziemi znajduje się 18 tysięcy planet posiadających warunki życia podobne do naszych. Możemy pójść dalej w spekulacjach: nawet gdyby z tych 18 tysięcy w rzeczywistości tylko jeden procent był zaludniony, to nadal mamy jeszcze 180 planet.

Nie ulega wątpliwości istnienie planet podobnych do Ziemi — z analogicznym składem atmosfery, podobną grawitacją, światem roślinnym a nawet zwierzęcym. Powstaje jednak pytanie, czy życiodajne planety koniecznie muszą charakteryzować się właściwościami podobnymi do ziemskich?

Badania naukowe modyfikują opinię, zgodnie z którą życie może się rozwijać tylko w warunkach zbliżonych do tych, jakie panują na Ziemi. Błędny jest pogląd, że bez wody i tlenu nie ma życia. W rzeczywistości nawet na naszej Ziemi są organizmy nie potrzebujące w ogóle tlenu. Są to żyjące bez niego bakterie (beztlenowce), a określona ilość tego gazu stanowi dla nich truciznę. Dlaczego zatem nie miałoby być wyżej rozwiniętych organizmów, które obywałyby się bez tlenu? Pod wpływem coraz to nowszych wyników badań naukowych będziemy musieli zmieniać nasze wyobrażenia i pojęcia o świecie. Nasza pasja badawcza ograniczająca się do niedawnej przeszłości tylko do Ziemi uczyniła z niej idealną planetę. Nie jest ona zbyt gorąca i nie jest zbyt zimna; wody

jest tu pod dostatkiem; tlen występuje w dużych ilościach; procesy organiczne ciągle na nowo regenerują przyrodę.

W rzeczywistości założenie, że tylko na jakiejś podobnej do Ziemi planecie mogłoby się rozwinąć i trwać życie, jest nie do utrzymania. Na Ziemi żyje — według szacunkowych danych — dwa miliony różnych gatunków istot żywych. Z tego — znowu szacunkowo — 1,2 miliona zostało „uchwycone" przez naukę. Okazuje się, że wśród tych naukowo zbadanych organizmów jest kilka tysięcy takich, które zgodnie z utartymi poglądami w ogóle nie powinny były istnieć! Przesłanki niezbędne dla pojawienia się życia muszą zatem zostać na nowo przemyślane i zweryfikowane.

Można by na przykład pomyśleć, że woda o dużym stopniu napromieniowania radioaktywnego powinna być jałowa. Jednak niektóre rodzaje bakterii radzą sobie jakoś ze śmiercionośną wodą, opływającą reaktory atomowe. Doświadczenie dra Siegela wydaje się cokolwiek niepokojące. Uczony ten stworzył w laboratorium takie warunki życia, jakie występują w atmosferze Jowisza i w środowisku tym, które nie ma niczego wspólnego z wymaganiami, jakie do tej pory kojarzymy z życiem, hodował bakterie i roztocza. Okazało się, że nie zabił ich ani amoniak, ani metan czy wodór. Doświadczenia entomologów Hintona i Bluma z angielskiego uniwersytetu w Bristolu przyniosły nie mniej zadziwiające wyniki. Obaj uczeni suszyli jeden z gatunków komara przez wiele godzin w temperaturze dochodzącej do 100°C, a następnie natychmiast zanurzyli obiekty doświadczalne w

ciekłym helu, który jak wiadomo ma temperaturę przestrzeni kosmicznej. Po silnym naświetleniu ponownie zapewnili komarom normalne dla nich warunki życia. I wówczas nastąpiło coś prawie niemożliwego: larwy kontynuowały swoje procesy życiowe i wykluły się z nich całkowicie „zdrowe" komary. Wiemy też o bakteriach żyjących w wulkanach, o innych : — pożerających kamień i takich, które wytwarzają żelazo. Las znaków zapytania zagęszcza się.

W wielu ośrodkach naukowych prowadzone są doświadczenia i przybywa dowodów, że zjawisko życia w żadnym wypadku nie jest nierozerwalnie związane z warunkami panującymi na naszej planecie. Z przesłanek dla życia i praw przyrodniczych obowiązujących na Ziemi uczyniono w ciągu stuleci coś w rodzaju „pępka świata". Przeświadczenie takie zniekształciło i zatarło perspektywy, nałożyło badaczom końskie okulary, które kazały im stosować w badaniach Kosmosu nasze miary i sposoby myślenia. Teilhard de Chardin, myśliciel na miarę epoki, głosił: „W sprawach Kosmosu tylko to, co fantastyczne, ma szansę być realnym!"

Odwrócenie naszego sposobu myślenia — równie fantastyczne, jak i realne — polegałoby na zdaniu sobie sprawy, że istoty inteligentne z jakiejś innej planety również przyjmują własne warunki życia za punkt odniesienia. Jeśli żyją one w temperaturach minus 150~200°C, to byłyby skłonne uznać takie właśnie temperatury, unicestwiające nasze życie, za warunek jego istnienia na innych planetach.

Odpowiadałoby to logice, z jaką próbujemy rozjaśnić mroki naszej przeszłości.

Jesteśmy winni naszemu dziedziczonemu z pokolenia na pokolenie poczuciu własnej godności, aby być ludźmi rozumnymi i obiektywnymi; słowem —zawsze odważnie i pewnie stojącymi obiema nogami na ziemi. Każda śmiała teza wydaje się w swoim czasie utopijna, ale jakże wiele utopii stało się już dawno codzienną rzeczywistością! Rzecz jasna, przytoczone tu w książce przykłady mają całkiem świadomie posłużyć do skrajnych interpretacji. Jednak w momencie gdy to, co dziś jeszcze jest nieprawdopodobne, stanie się myślowym standardem — opadną wszelkie bariery i dzięki temu poznamy w sposób naturalny te niewiarygodne dzisiaj tajemnice, które skrywa przed nami Kosmos. Przyszłe pokolenia spotkają zapewne w przestrzeni kosmicznej wiele nie przeczuwanych jeszcze obecnie postaci życia. Choć nam nie będzie już dane tego doświadczyć, to nasi potomkowie będą się musieli pogodzić z tym, że nie są jedynymi i z pewnością nie najstarszymi istotami rozumnymi w Kosmosie.

Wiek Wszechświata szacuje się na 8 do 12 miliardów lat. Meteoryty dostarczają śladów związków organicznych dla naszych mikroskopów. Bakterie liczące sobie miliony lat budzą się do nowego życia. Zarodniki, unoszące się w przestrzeni pod wpływem ciśnienia promieni słonecznych i przemierzające Kosmos, są prędzej czy później przechwytywane przez siłę przyciągania planet. Nowe życie od milionów lat bierze początek w nieskończonym obiegu

stworzenia. Liczne wnikliwe badania najróżniejszych warstw skalnych we wszystkich częściach świata dowodzą, że skorupa ziemska uformowała się przed około czterema miliardami lat. A dopiero od miliona lat istnieje coś takiego, jak człowiek — głosi nauka. Z tego ogromnego strumienia czasu udało się przy dużym nakładzie pracy, po licznych przygodach i dzięki pasji badawczej wyodrębnić strużkę siedmiu tysięcy lat historii człowieka społecznego. Cóż jednak znaczy siedem tysięcy lat dziejów ludzkości w porównaniu z miliardami lat przeszłości Wszechświata?

My — zwieńczenie stworzenia? — potrzebowaliśmy 400 000 lat, by osiągnąć nasz obecny status i dzisiejszy wygląd. Kto musi dostarczać materiału dowodowego w kwestii — dlaczego jakaś inna planeta nie miałaby stworzyć równie korzystnych warunków dla rozwoju odmiennych od nas lub podobnych nam istot rozumnych? Dlaczego mielibyśmy nie mieć na innych planetach „konkurencji", która by nam dorównywała, a może nas przewyższała? Czy wolno nie brać pod uwagę takiej możliwości? Do tej pory tak właśnie czyniliśmy.

Jak często podstawy naszej mądrości idą w gruzy! Setki pokoleń wierzyły, że Ziemia ma kształt tarczy. Wiele tysięcy lat obowiązywało żelazne prawo: Słońce obraca się wokół Ziemi. Jeszcze dzisiaj jesteśmy przekonani, że nasza planeta jest środkiem Wszechświata — choć zostało dowiedzione, iż Ziemia jest całkiem zwykłym, pod względem wielkości

nieznacznym ciałem niebieskim, oddalonym o 30 000 lat świetlnych od centrum Drogi Mlecznej...

Nadszedł już czas, abyśmy dzięki odkryciom w nieskończonym i niezbadanym Kosmosie uznali naszą własną znikomość. Dopiero wówczas zrozumiemy, że jesteśmy mrówkami w kosmicznym państwie. Nasza szansa znajduje się jednak we Wszechświecie — czyli tam, gdzie nam ją obiecali bogowie.

Dopiero po spojrzeniu w przyszłość będziemy mieli dosyć siły i śmiałości, aby uczciwie i bez uprzedzeń badać naszą przeszłość.

Rozdział II

Fantastyczna podróż statku kosmicznego we Wszechświecie — „Bogowie" przybywają w odwiedziny — Nieprzemijające ślady

Juliusz Verne, protoplasta wszystkich autorów powieści fantastycznych, okazał się nadzwyczaj zdolnym

pisarzem. Jego sięganie do gwiazd nie jest już utopią, a w naszym dziesięcioleciu kosmonauci potrzebują na okrążenie Ziemi nie 80 dni, lecz zaledwie 86 minut. Fantastyczna podróż, której okoliczności i etapy opiszemy, będzie możliwa do zrealizowana szybciej niż po upływie czasu, jaki musiał minąć, aby szalona wizja Juliusza Verne'a osiemdziesięciodniowej podróży dookoła Ziemi przybrała postać błyskawicznej osiemdziesięciominutowej wycieczki. Nie zadowalajmy się jednak tak krótkimi odcinkami czasu! Przypuśćmy zatem, że nasz statek kosmiczny za 150 lat wyruszyłby z Ziemi w kierunku jakiegoś nieznanego, odległego słońca...

Statek miałby wielkość dzisiejszego parowca oceanicznego — czyli jego masa startowa wynosiłaby 100 000 ton, z czego 99 800 ton przypadałoby na paliwo, a efektywna masa użyteczna byłaby mniejsza niż 200 ton.

Niemożliwe?

Już dzisiaj moglibyśmy na orbicie dowolnej planety zmontować cześć po części statek kosmiczny. Nawet jednak taki montaż okaże się za niespełna 20 lat zbyteczny, gdyż wielki statek kosmiczny będzie można przygotować na Księżycu. Na pełnych obrotach toczą się prace nad silnikami przyszłości. Przyszłe zespoły napędowe będą przede wszystkim silnikami fotonowymi, wykorzystującymi syntezę jądrową — przemianę wodoru w hel lub też anihilację materii. Ich szybkość osiągnie prędkość światła. Nowa, odważna droga

prowadzi w świecie techniki do rakiet fotonowych, a przeprowadzone już doświadczenia fizyczne na pojedynczych cząstkach elementarnych dowodzą, że z powodzeniem można pójść tą drogą. Paliwa rakiet fotonowych umożliwią tak duże przybliżenie szybkości lotu do prędkości światła, że efekt względności, wynikający z teorii Einsteina, a zwłaszcza różnica w upływie czasu między miejscem startu a statkiem kosmicznym, ujawni się w pełni. Materiał pędny zamieni się w promieniowanie elektromagnetyczne, emitowane jako wiązka promieni napędowych o prędkości światła. Teoretycznie statek kosmiczny wyposażony w silniki fotonowe będzie mógł osiągnąć szybkość dochodzącą do 99% prędkości światła. Szybkość taka pozwoliłaby pokonać granice Układu Słonecznego!

Już samo wyobrażenie sobie tego może przyprawić o zawrót głowy. Na progu nowej epoki powinniśmy jednak pamiętać, że równie oszałamiające były wielkie postępy techniki, jakich w swoim czasie doświadczyli nasi dziadkowie: kolej—elektryczność — telegraf—pierwsze auto— pierwszy samolot... Nasze pokolenie z kolei jako pierwsze usłyszało „music in the air" — oglądamy kolorową telewizję — byliśmy świadkami pierwszych startów rakiet kosmicznych i odbieramy informacje oraz zdjęcia z satelitów krążących wokół Ziemi. Nasi wnukowie wezmą z kolei udział w podróżach gwiezdnych i będą prowadzili badania kosmiczne na politechnikach.

Prześledźmy jednak dalej podróż naszego fantastycznego statku kosmicznego, który zmierza do odległej gwiazdy stałej. Z pewnością byłoby zabawne, gdybyśmy mogli wyobrazić sobie, jak załoga statku spędza czas swej podróży. Choćby odległości były nie wiadomo jak wielkie, a czas dla oczekujących w domu wlókł się niemiłosiernie powoli, to teoria Einsteina zachowuje swą ważność! Może się to wydać trudne do pojęcia, ale czas w statku kosmicznym poruszającym się z szybkością zbliżoną do prędkości światła — biegnie wolniej niż na Ziemi.

Jeśli prędkość statku wynosiłaby 99% prędkości światła, to nasza załoga spędziłaby podczas lotu we Wszechświecie 14,1 lat, podczas gdy dla mieszkańców Ziemi minęłoby cale stulecie. Tę różnicę czasu między kosmonautami a Ziemianami można obliczyć według równania, wywodzącego się ze wzoru Lorentza:

(t—czas upływający dla kosmonautów, T — czas upływający na Ziemi, v — szybkość lotu,

c — prędkość światła).

Szybkość lotu statku kosmicznego można obliczyć według wyprowadzonego przez prof. Ackereta równania podstawowego dla rakiet:

(v — szybkość lotu, w — prędkość strumienia wyrzucanego z silnika, c — prędkość światła,

t — udział paliwa w ciężarze statku podczas startu).

Gdy statek zbliży się do gwiazdy docelowej, załoga z całą pewnością wykryje planety, ustali ich położenie, zmierzy temperaturę na postawie analizy widmowej i obliczy orbity. W końcu wybierze na miejsce lądowania tę planetę, której właściwości są najbardziej zbliżone do ziemskich. Gdyby nasz statek po podróży na odległość przykładowo osiemdziesięciu lat świetlnych składał się już tylko z masy podstawowej, gdyż cała energia napędowa została zużyta, załoga musiałaby na miejscu uzupełnić zbiorniki pojazdu materiałem rozszczepialnym na drogę powrotną.

Załóżmy zatem, że wybrana do lądowania planeta byłaby podobna do Ziemi. Powiedzieliśmy już, że takie założenie w żadnym wypadku nie jest niemożliwe. Odważmy się jeszcze i na takie przypuszczenie, iż cywilizacja na tej planecie znajduje się mniej więcej w takim punkcie rozwoju, w jakim nasza była przed ośmioma tysiącami lat, co aparaty pomiarowe statku ustaliłyby już na długo przed wylądowaniem. Nasi kosmonauci oczywiście wybrali lądowisko w pobliżu złóż materiałów rozszczepialnych: instrumenty wskazują przecież szybko i niezawodnie, w jakim

łańcuchu górskim i w jakiej formacji geologicznej można znaleźć uran.

Lądowanie odbyło się zgodnie z planem.

Kosmonauci widzą istoty, które ostrzą kamienne narzędzia; widzą, jak polują z oszczepami na dzikie zwierzęta; widzą stada owiec i kóz pasące się na stepie; dostrzegają prosty sprzęt gospodarski, wytwarzany przez prymitywne garncarstwo. Zaiste, przedziwny to widok dla naszych kosmonautów.

Co jednak myślą sobie prymitywne istoty planety o tym monstrum, które właśnie wylądowało, i o postaciach, które z niego wysiadły? Przed ośmioma tysiącami lat my także — nie zapominajmy o tym — byliśmy półdzikusami. Byłoby aż nadto zrozumiałe, gdyby półdzicy świadkowie tego wydarzenia padli twarzą na ziemię i nie odważyli się podnieść oczu.

Jeszcze tego samego dnia modlili się do Słońca i Księżyca, a teraz wydarzyło się coś niesamowitego: z nieba przybyli bogowie!

Pierwotni mieszkańcy planety obserwują z bezpiecznej kryjówki naszych kosmonautów, noszących na głowie dziwaczne kapelusze z drążkami (hełmy wyposażone w anteny). Dziwią się, że noc jest widna jak dzień (reflektory), ogarnia ich lęk, gdy obce istoty bez trudu wznoszą się w powietrze (paski z rakietami), chowają głowy ponownie w

trawie, gdy parskając, dudniąc i warcząc wzbijają się w powietrze nieznane, budzące trwogę „zwierzęta" (helikoptery-poduszkowce, pojazdy wielozadaniowe) i w końcu salwują się ucieczką do swych bezpiecznych jaskiń, kiedy z gór dobiega przejmujący lękiem huk i grzmot (próbna eksplozja). W rzeczy samej tym prymitywnym istotom nasi kosmonauci muszą wydawać się wszechpotężnymi bogami!

Podczas gdy kosmonauci kontynuują swą ciężką rutynową pracę, po pewnym czasie delegacja kapłanów względnie czarowników podejdzie zapewne do tego astronauty, w którym instynktownie wyczuje wodza, aby nawiązać kontakt z bogami. Przyniosą ze sobą dary, chcąc w ten sposób oddać cześć gościom. Jest całkiem możliwe, że nasi ludzie szybko nauczyli się z pomocą komputera mowy tubylców i potrafią podziękować im za doznane uprzejmości. Jednak nic nie pomoże tłumaczenie, nawet w tubylczej mowie, że to nie bogowie wylądowali, nie żadne wyższe, godne czci istoty składają im wizytę. W to nie uwierzą bowiem nasi prymitywni przyjaciele. Kosmonauci przybyli z innych gwiazd i widać przecież gołym okiem, że posiadają niesłychaną moc i zdolność czynienia cudów. Muszą być zatem bogami! Nie ma też żadnego sensu, by im coś wyjaśniać. Wszystko to przekracza wyobraźnię straszliwie zaskoczonych niespodziewanym najściem istot.

Niezależnie od tego, co się wydarzy od dnia lądowania, wcześniej opracowany plan mógłby zawierać następujące punkty:

— Część ludności zostanie zjednana i przyuczona do współpracy w poszukiwaniu w rozsadzonym kraterze materiału rozszczepialnego, niezbędnego do powrotu na Ziemię.

— Najmądrzejszy spośród tubylców wybrany zostanie „królem" i jako widomy znak swej władzy dostanie radiostację, dzięki której może w każdej chwili nawiązać z „bogami" kontakt i porozumieć się z nimi.

— Kosmonauci próbują przyswoić tubylcom najprostsze formy współżycia i parę pojęć moralnych, aby umożliwić przez to rozwój ładu społecznego.

— Naszą grupę tubylczą zaatakuje inny „lud". Z uwagi na to, że nie zebrano jeszcze dostatecznej ilości materiału rozszczepialnego, napastnikom po wielu ostrzeżeniach zostanie udzielona zbrojna odprawa przy pomocy nowoczesnych środków bojowych.

— Kosmonauci zapładniają niektóre miejscowe kobiety. W ten sposób może powstać nowa rasa, która przeskoczy pewien szczebel ewolucji.

Z własnego doświadczenia wiemy, jak długo trwa, zanim nowa rasa będzie zdolna do badania Wszechświata. Dlatego też przed powrotem na Ziemię kosmonauci pozostawią widoczne i wyraźne ślady, które jednak dopiero dużo później będą mogły zostać zrozumiane przez społeczeństwo dzięki rozwojowi techniki i matematyki.

Próba ostrzeżenia naszych podopiecznych przed nadchodzącymi niebezpieczeństwami okaże się daremna. Nawet gdy pokażemy im najokrutniejsze filmy o ziemskich wojnach i eksplozjach atomowych, przykłady te tak samo nie przeszkodzą istotom z owej planety popełniać podobnych głupstw, jak nie odstraszają one (prawie) całej myślącej ludzkości, by ciągle na nowo nie igrała z ogniem wojny.

Kiedy statek ponownie zniknie w kosmicznej mgle, nasi przyjaciele będą rozpamiętywać cud: „bogowie byli u nas". Utrwalą go w swej prostej mowie, stworzą z niego legendę przekazywaną dzieciom, zaś z prezentów, narzędzi i wszystkich rzeczy pozostawionych przez kosmonautów uczynią święte relikwie.

Gdy nasi przyjaciele opanują sztukę pisania, będą mogli zapisać to, co się im niegdyś przydarzyło, a co było pełne dziwów, niesamowite i cudowne. Będzie można zatem przeczytać — a malowidła przedstawią to plastycznie — że bogowie w złotych szatach przybyli w latającej barce, która opadła z niesamowitym hałasem. Będą pisać o pojazdach, którymi bogowie jeździli nad morzem i lądem, i o straszliwej broni, podobnej do pioruna. Będzie się też mówić, iż bogowie obiecali powrócić.

Mieszkańcy wykują i wyskrobią w kamieniu obrazy tego, co niegdyś tu widziano:

— nieforemnych olbrzymów, noszących na głowach hełmy i drążki, a na piersi skrzynki,

— kule, na których siedzą bliżej nieokreślone istoty przemierzając przestworza,

— laski wyrzucające promienie, niczym słońce,

— podobne do olbrzymich insektów twory, będące czymś w rodzaju pojazdów.

Można puścić wodze nieograniczonej fantazji, jakie to obrazowe przedstawienia staną się pokłosiem odwiedzin kosmonautów. W dalszej części książki zobaczymy, jakie ślady wyryli na tablicach dziejów bogowie", którzy w epoce prehistorycznej nawiedzili Ziemie.

Rozwój cywilizacji na planecie, którą odwiedził statek kosmiczny, można sobie dosyć łatwo wyobrazić. Tubylcy wiele podpatrzyli i nauczyli się. Miejsce, na którym stanął statek, zostanie ogłoszone świętą strefą i stanie się celem pielgrzymek, gdzie sławione będą w pieśniach bohaterskie czyny bogów. Wzniesione tu zostaną piramidy i świątynie, rzecz jasna na podstawie zdobytej wiedzy astronomicznej. Liczba ludności wzrasta, dochodzi do wojen niszczących święte miejsca, ale późniejsze pokolenia ponownie je odkrywają, prowadzą prace wykopaliskowe i próbują zinterpretować odkryte znaki.

O tym, co będzie dalej, można przeczytać w naszych książkach historycznych...

Aby zbliżyć się do „prawdy" historycznej, trzeba w gąszczu znaków zapytania przebić dukt, wiodący do naszej przeszłości.

Rozdział III

Mapy sprzed 11 tysięcy lat? — Prehistoryczne lotniska? — Pasy startowe dla „bogów"?— Najstarsze miasto świata — Kiedy topi się kamień? — Gdy następował potop — Mitologia Sumerów — Kości, które nie pochodzą od małpy — Wszyscy dawni malarze mieli tę samą manierę?

Czy naszych przodków odwiedzili przybysze z Wszechświata?

Czy archeologia opiera się po części na błędnych założeniach?

Czy mamy urojone wyobrażenie o przeszłości?

Czy również inteligencja rozwija się w ramach wiecznego obiegu rzeczy?

Zanim udzieli się „wypróbowanych" odpowiedzi na tego typu pytania, trzeba mieć jasność, na jakiej podstawie opiera się nasza wiedza o przeszłości. Otóż składa się ona z poszlak i hipotez. Wykopaliska, starodawne przekazy pisane, malowidła jaskiniowe, legendy i inne źródła posłużyły do zbudowania pewnego modelu myślowego, a wiec hipotezy

roboczej. Owa mieszanka faktów ułożyła się w interesującą i budzącą uznanie mozaikę. Powstała ona jednak według z góry przyjętej teorii, do której udało się dopasować poszczególne części składowe — niekiedy z nazbyt widocznym spoiwem wiążącym. W rezultacie otrzymujemy koncepcje, według której musiało być tak a nie inaczej, dokładnie tak właśnie, jak się przedstawia. Co więcej, fakty można przykrawać do zakładanych hipotez. Wątpliwości odnośnie do każdej teorii są zasadne, a nawet konieczne, gdyż niekwestionowanie aktualnie obowiązującej wiedzy prowadzi do zaniku badań naukowych. A zatem nasza wiedza o przeszłości jest tylko względną prawdą. Kiedy ujawniają się nowe okoliczności, dawna teoria — choćby była nie wiem jak zadomowiona — musi zostać zastąpiona przez nową. Wydaje się, że nadszedł czas, aby do naszych badań nad przeszłością zastosować nowe metody.

Postulat ten uzasadniony jest pojawieniem się nowych okoliczności. Nie wolno nam już dłużej postrzegać przeszłości na starą modłę. Początki naszej cywilizacji i geneza wielu religii mogły przecież wyglądać zupełnie inaczej, niż do tej pory przyjmowaliśmy.Poznanie Układu Słonecznego i Wszechświata, zgromadzona wiedza o makro- i mikrokosmosie, niebywałe postępy w technice i medycynie, biologii i geologii, zapoczątkowanie podróży w przestrzeni kosmicznej — to wszystko w połączeniu z wieloma innymi jeszcze czynnikami całkowicie zmieniło nasz obraz świata w ostatnim niespełna półwieczu.

Dzisiaj wiemy, że można produkować ubiory dla kosmonautów, które są odporne na skrajnie niskie i wysokie temperatury. Wiemy, że podróże kosmiczne nie są już utopią. Doświadczamy spełnionego cudu kolorowej telewizji, podobnie jak umiemy zmierzyć prędkość światła i obliczyć konsekwencje teorii względności. Wiemy czy przeczuwamy, iż w żadnym wypadku nie musimy być jedynymi istotami rozumnymi w Kosmosie? Wiemy czy przeczuwamy, że nieznane istoty inteligentne mogły już przed 10 tysiącami lat dysponować taką wiedzą, jaką my mamy dzisiaj?

Nasz sztywny, poniekąd sielankowy, obraz świata zaczyna się kruszyć. Nowe teorie wymagają nowych metod. I tak na przykład archeologia nie może w przyszłości ograniczać się wyłącznie do wykopalisk, gdyż nie wystarcza już jedynie zbieranie i porządkowanie znalezisk. Jeśli ma powstać wiarygodny obraz naszej przeszłości, to niezbędny jest do tego wysiłek i współpraca także innych dyscyplin naukowych.

Bez zahamowań i z ciekawością wejdźmy zatem do świata nieprawdopodobieństwa! Spróbujmy sięgnąć po dziedzictwo, które pozostawili nam „bogowie"!

Na początku XVIII w. w pałacu Topkapi w Stambule znaleziono stare mapy geograficzne należące do admirała Piri Reisa, oficera tureckiej marynarki. Do Reisa, który miał znaleźć mapy na Wschodzie, należały też znajdujące się obecnie w bibliotece państwowej w Berlinie dwa atlasy,

zawierające dokładne odwzorowania regionu Morza Śródziemnego i obszaru nad Morzem Martwym.

Cały ten pakiet map został przekazany do ekspertyzy amerykańskiemu kartografowi Arlingtonowi H. Mallery'emu, który doszedł do zadziwiającej konkluzji, że co prawda wszystkie dane geograficzne są zaznaczone, ale nie są naniesione na właściwych miejscach. Szukając Pomocy zwrócił się do kartografa Waltersa z Urzędu Hydrologicznego Marynarki USA. Mallery i Walters skonstruowali siatkę kartograficzną i nałożyli stare mapy na współczesny globus. W ten sposób dokonali rzeczywiście sensacyjnego odkrycia. Mapy okazały się bardzo dokładne i to nie tylko w odniesieniu do regionu śródziemnomorskiego i Morza Martwego. Także wybrzeża Ameryki Północnej i Południowej, a nawet kontury Antarktydy były zaznaczone na mapach Piri Reisa z taką samą precyzją. Co więcej, mapy ukazywały nie tylko zarysy kontynentów, lecz zawierały także topografię wnętrza lądów! Łańcuchy górskie, szczyty, wyspy, rzeki i wyżyny były naniesione z niesłychaną dokładnością.

W 1957 — Roku Geofizyki — mapy zostały przekazane jezuicie o. Linehamowi, który był zarazem dyrektorem obserwatorium w Weston i specjalistą od kartografii w marynarce amerykańskiej. Ojciec Lineham po bardzo gruntownych badaniach mógł tylko potwierdzić, że mapy charakteryzują się zupełnie wyjątkową dokładnością — nawet na tych obszarach, które dzisiaj jeszcze są bardzo słabo zbadane.

Pomyślmy tylko, dopiero w 1952 r. odkryto na Antarktydzie łańcuchy górskie, zaznaczone już na mapach Reisa. Najnowsze prace profesora Charlesa H. Hapgooda oraz matematyka Richarda W. Strachana dostarczają nam wprost szokujących wyników. Porównanie map Piri Reisa ze współczesnymi zdjęciami satelitarnymi kuli ziemskiej wykazało mianowicie, że ich oryginały musiały być zdjęciami lotniczymi, wykonanymi z bardzo dużej wysokości! W jaki sposób można to wytłumaczyć?

Jakiś statek kosmiczny unosi się wysoko nad Kairem i kieruje obiektyw swej kamery prosto na dół. Po wywołaniu zdjęć powstałby następujący obraz: wszystko to, co znajdowało się w promieniu około 8 tysięcy kilometrów pod obiektywem, zostało dokładnie odwzorowane, gdyż leżało bezpośrednio pod soczewką. Im dalej jednak od środka zdjęcia, tym bardziej zniekształcone są krainy i kontynenty. Dlaczego tak się dzieje?

Z powodu kulistego kształtu Ziemi kontynenty oddalone od centrum „zapadają się ku dołowi". Zarys Ameryki Południowej na przykład będzie charakterystycznie zniekształcony i wydłużony, dokładnie tak, jak widzimy to na mapie Piri Reisa!

Nasuwa się parę pytań, które domagają się szybkiej odpowiedzi. Z pewnością nasi przodkowie nie wykreślili tych map. Jednak jest sprawą niewątpliwą, że musiały one zostać

zrobione z powietrza i to przy pomocy najnowocześniejszej techniki.

W jaki sposób możemy to wyjaśnić? Czy powinniśmy zadowolić się legendą, że bóg podarował je jakiemuś arcykapłanowi? Czy też nie powinniśmy ich przyjmować do wiadomości i bagatelizować ten „cud", gdyż zestaw map nie pasuje do naszych wyobrażeń? A może powinniśmy odważnie wetknąć kij w mrowisko, utrzymując twardo, że mapy Ziemi zostały wykonane z lecącego bardzo wysoko samolotu lub ze statku kosmicznego?!

Mapy tureckiego admirała nie są oczywiście oryginałami, są kopiami z kopii, które były z kolei kopiami jeszcze wcześniejszych kopii. Jedno nie ulega jednak wątpliwości: ktokolwiek wykonał je przed tysiącami lat, musiał umieć unosić się w powietrzu, a także1 fotografować!

Z pewnością twierdzenie to niejednemu zapiera dech w piersiach. Prastare mapy, wykonane z bardzo dużej wysokości — to myśl, której lepiej nie prowadzić do końca. Niekiedy wydaje się, jak gdyby człowiek odczuwał lęk, gdy dostrzega rozpraszanie się pomroki osłaniającej zamierzchłą przeszłość. Dlaczego? Czyżby z tego powodu, że można tak wygodnie i spokojnie żyć opierając się na oficjalnie obowiązującej wiedzy?

Niedaleko wybrzeża morskiego, na peruwiańskim pogórzu Andów, leży stare miasto Nazca. Po obu stronach doliny Palpa znajduje się równinny pas ziemi o długości 60

km i szerokości dwóch kilometrów, zasypany kamiennym gruzem przypominającym zardzewiałe kawałki żelaza. Ludność miejscowa nazywa ten teren pampą, choć nie ma tu żadnej roślinności. Podczas lotu nad płaskowyżem Nazca widać olbrzymie, geometryczne linie, niektóre z nich przebiegają równolegle, inne krzyżują się lub też obramowane są wielkimi trapezowatymi figurami.

Archeolodzy mówią, że są to drogi Inków...

Co za absurdalna myśl! Do czego miałyby się Inkom przydać drogi biegnące równolegle? Albo takie, które się krzyżują? Czy też takie, które przebiegając równinę — gwałtownie się urywają?

Rzecz jasna również tutaj znajdują się typowe dla kultury Nazca obiekty ceramiczne. Jednak przypisywanie z tego tylko powodu kulturze Nazca także geometrycznych figur — jest pójściem po linii najmniejszego oporu.

Na terenie tym aż do 1952 r. nie podjęto w ogóle stosownych prac archeologicznych i wszystkie znaleziska pozbawione są datacji. Dopiero teraz dokonuje się pomiarów linii i figur. Ich wyniki jednoznacznie potwierdzają hipotezę, że linie zostały wykreślone zgodnie z zasadami astronomicznymi. Prof. Alden Mason, specjalista od starożytnego Peru, przypuszcza, że ten układ geometryczny ma znaczenie symbolu religijnego, choć może być także kalendarzem.

Według nas widziana z lotu ptaka długa na 60 km równina Nazca jednoznacznie kojarzy się z lotniskiem!

Co miałoby być w tej idei tak niezrozumiałego?

Naturalnie żaden archeolog o wykształceniu akademickim nie zechce przyznać, że kosmici mogliby niegdyś odwiedzić naszą Ziemie. Roztropny człowiek niechętnie naraża się na śmieszność przez wysuwanie śmiałego, choćby nawet możliwego teoretycznie twierdzenia. „Nauka" nadal wypowiada się dopiero wówczas, gdy znaleziony zostanie przedmiot, mający być obiektem badań. Kiedy zaś zostanie już znaleziony, jest tak długo polerowany i obrabiany, aż stanie się kamykiem dokładnie pasującym — o dziwo! — do istniejącej mozaiki. Klasyczna archeologia nie dopuszcza bowiem myśli, że ludy preinkaskie mogły dysponować perfekcyjną techniką pomiarów. Hipoteza, że w głębokiej starożytności mogłyby istnieć maszyny latające, nie jest dla archeologów niczym innym, jak tylko głupstwem.

Czemu zatem służyły Unie i figury z Nazca?

Wyobrażamy sobie, że mogły one zostać przeniesione w ten gigantyczny układ geometryczny za pomocą jakiegoś modelu układu współrzędnych lub zostać skonstruowane według wskazówek z samolotu. Dzisiaj nie da się jeszcze powiedzieć z całą pewnością, czy płaskowyż Nazca istotnie był kiedykolwiek lotniskiem. Na pewno nie znajdzie się tu żelaznych wzmocnień, gdyż metale korodują w ciągu niewielu lat w przeciwieństwie do kamienia, który korozji nie ulega. Co

jest zdrożnego w przypuszczeniu, że linie zostały wykreślone, aby przekazać „bogom" następującą informację: Lądujcie tutaj! Wszystko jest przygotowane zgodnie z waszymi rozkazami! Być może budowniczowie geometrycznych figur nie zdawali sobie sprawy, co w rzeczywistości robią, ale możliwe, że wiedzieli, czego „bogowie" potrzebują do lądowania.

W wielu miejscach spotyka się w Peru na górskich zboczach ogromnych rozmiarów rysunki, które bez wątpienia zostały wykonane jako sygnały dla istot poruszających się w przestrzeni powietrznej. Do czego innego bowiem mogłyby służyć?

W zatoce Pisco w czerwonej, wysokiej ścianie stromego skalistego wybrzeża wyżłobiono dłutem jeden z najdziwniejszych rysunków. Patrząc od strony morza już z odległości dwóch kilometrów można rozpoznać figurę o wysokości prawie 250 metrów. Stosując porównanie typu „wygląda tak, jak..." należałoby powiedzieć: ta płaskorzeźba wygląda jak ogromny trójząb albo jak gigantyczny trójramienny lichtarz. A w środkowym filarze tego kamiennego obrazu znaleziono długą linę! Czyżby służyła swego czasu jako wahadło?

Musimy szczerze przyznać, że próbując zinterpretować to dzieło poruszamy się po omacku w ciemnościach. W utarte schematy myślowe nie daje się go sensownie wmontować — co nie znaczy, że nie znalazłoby się jakiegoś chwytu, który

pozwoliłby „wczarować" również i to zjawisko w rozległą mozaikę dotychczasowych teorii. Co jednak mogło skłonić preinkaskie ludy do budowania fantastycznych linii, lądowisk z Nazca? Jakie szaleństwo legło u podstaw wysokiego na 250 metrów litografu na czerwonym stromym wybrzeżu na południe od Limy?

Prace te wymagały dziesiątków lat w sytuacji, gdy nie było do dyspozycji nowoczesnych maszyn i urządzeń. Wysiłek byłby całkowicie bezsensowny, gdyby twórcy nie chcieli dać poprzez swe dzieło sygnału istotom, które niegdyś przybyły do nich z przestworzy. Trzeba by też odpowiedzieć na intrygujące pytanie: po co ludzie robili to wszystko, skoro nie mieli pojęcia, że istnieją „latające istoty"?

Interpretacja tych zjawisk nie może być tylko sprawą archeologów. Wspólnie pracujące gremium uczonych z różnych dziedzin wiedzy z pewnością zbliżyłoby nas już do rozwiązania zagadki, gdyż wymiana opinii i dyskusja na pewno wywołałyby cenne skojarzenia. Niebezpieczeństwo, że badania naukowe nie przyniosą żadnego konkretnego efektu, tkwi w tym, iż pytania takie jak nasze nie są brane poważnie pod uwagę i są wyśmiewane. Kosmonauci w zamierzchłej przeszłości? Cóż za przedziwny problem dla tradycyjnych uczonych. Najlepiej byłoby oddać pytającego w ręce psychiatry.

Jednak pytania pozostają i są — dzięki Bogu — ze swej natury na tyle bezczelne, aby uparcie domagać się odpowiedzi.

A niewygodnych pytań jest dużo. Co na przykład należałoby powiedzieć, gdyby z zamierzchłej przeszłości zachował się kalendarz pozwalający na odczytanie zrównania dnia z nocą, astronomicznych pór roku, pozycji Księżyca o każdej godzinie oraz jego ruchów — i to przy uwzględnieniu obrotu Ziemi?!

To nie jest wydumane, prowokacyjne pytanie! Taki kalendarz rzeczywiście istnieje. Znaleziono go w zasuszonym mule w Tiahuanaco. To kłopotliwe odkrycie jest nie dającym się zakwestionować faktem i dowodzi — lecz czy nasza świadomość dopuszcza takie dowody? — że istoty, które kalendarz wymyśliły, stworzyły i stosowały, posiadały kulturę wyższą od naszej.

W mieście Tiahuanaco roi się od tajemnic. Leży ono na wysokości 4000 metrów i do tego na końcu świata. Czy właśnie w takim miejscu można by oczekiwać prastarej, potężnej kultury? Wyruszając z Cuzco (w Peru) dociera się po jednodniowej podróży koleją i statkiem do miasta i stanowisk archeologicznych. Płaskowyż robi wrażenie krajobrazu z obcej planety. Praca fizyczna staje się tu męką dla każdego przybysza, gdyż ciśnienie powietrza jest o połowę niższe w porównaniu z poziomem morza i co za tym idzie w atmosferze jest odpowiednio mniej tlenu. A mimo to znajdowało się w tym miejscu wielkie miasto.

Na temat Tiahuanaco nie ma wiarygodnych przekazów. Może powinniśmy cieszyć się, gdyż dzięki temu nie da się w tym przypadku dojść do „wypróbowanych" rozwiązań na

szczudłach tradycyjnej mądrości akademickiej. Ruiny, o których wieku do tej pory niczego nie wiadomo, spowite są mrokiem przeszłości, niewiedzy i tajemnicy.

Bloki piaskowca ważące 100 ton poprzedzielane są fragmentami muru o wadze 60 ton. Gładkie powierzchnie z precyzyjnie wykonanymi rowkami przylegają do wielkich prostopadłościanów, które połączone są miedzianymi klamrami. Jest to przedziwne rozwiązanie, niespotykane do tej pory nigdzie w świecie starożytnym. Wszystkie prace kamieniarskie wykonane są bardzo starannie. W ważących 10 ton blokach występują dziury o długości 2,5 metra, których przeznaczenia nie udaje się wyjaśnić. Także wystające płyty kamienne o długości 5 metrów, wykonane z jednego bloku, nie przyczyniają się do rozwiązania zagadek, jakie skrywa Tiahuanaco. W ziemi znajdują się kamienne przewody wodociągowe, porozbijane i rozrzucone na wszystkie strony jakby w wyniku katastrofy o niewyobrażalnej skali. Mają one po dwa metry długości, pół metra szerokości i taką samą mniej więcej wysokość. Obiekty zadziwiają doskonałym wykończeniem. Czyżby nasi przodkowie z Tiahuanaco nie mieli niczego lepszego do roboty, niż — bez odpowiednich narzędzi zresztą — szlifować całymi latami przewody wodociągowe osiągając taką precyzje, że współczesne odlewy z betonu są w porównaniu z nimi tandetne?

W restaurowanym obecnie budynku znajduje się zbiór kamiennych głów, a ściślej mówiąc — zestaw najróżniejszych ras antropologicznych. Są tu oblicza o wargach wąskich i

wydatnych, z nosami długimi i wygiętymi, z uszami delikatnymi i niezgrabnymi, o rysach łagodnych bądź ostrych. Na niektórych głowach tkwią dziwne hełmy. Czyżby te wszystkie obce i dziwaczne postacie chciały przekazać nam posłanie, którego my — z powodu uporu i uprzedzeń — nie chcemy lub nie możemy zrozumieć?

Jednym z największych archeologicznych cudów Ameryki Południowej jest monolityczna „Brama Słońca" w Tiahuanaco — olbrzymia, wykuta w jednym bloku skalnym rzeźba o wysokości trzech i szerokości czterech metrów. Ciężar tego dzieła sztuki kamieniarskiej szacuje się na ponad 10 ton. Czterdzieści osiem kwadratowych figur otacza tam w trzech rzędach postać latającego boga.

A co opowiada legenda o tajemniczym mieście Tiahuanaco?

Opowiada o złotym statku, który przybył z gwiazd, a w nim przybyła kobieta o imieniu Orjana, aby spełnić misję pramatki Ziemi. Orjana miała tylko cztery palce, połączone błoną. Pramatka Orjana zrodziła 70 dzieci ziemskich, a następnie z powrotem podążyła do gwiazd.

W Tiahuanaco spotykamy rysunki naskalne i posągi istot o czterech palcach. Ich wieku nie można ustalić. Żaden człowiek z żadnej znanej nam epoki nie widział Tiahuanaco innego, niż tylko w gruzach.

Jaką tajemnicę skrywa przed nami to miasto? Jakie przesłanie innych światów czeka na rozszyfrowanie na boliwijskim płaskowyżu? Nie ma żadnego przekonywającego wyjaśnienia ani co do początku, ani końca tej kultury, ale oczywiście nie przeszkadza to kilku archeologom utrzymywać śmiało i z pewnością siebie, że ruiny mają trzy tysiące lat. Podstawą datacji jest parę nieistotnych figurek glinianych, które w ogóle nie muszą mieć nic wspólnego z epoką monolitów. Archeologowie ułatwiają sobie życie, zlepiają parę starych skorup, szukają kilku najbardziej podobnych spośród znanych już obiektów, na tej podstawie naklejają etykietę na odrestaurowane właśnie znalezisko i — hokus pokus — wszystko znowu wspaniale pasuje do potwierdzonej w ten sposób teorii. Taka metoda postępowania jest rzecz jasna bez porównania łatwiejsza, niż gdyby trzeba było wyobrażać sobie nielinearny rozwój techniki na świecie lub wręcz zaryzykować myśl o odwiedzinach kosmitów w zamierzchłej przeszłości. To przecież niepotrzebnie skomplikowałoby całą sprawę.

Nie zapominajmy o Sacsahuaman! Nie chodzi w tym wypadku o fantastyczną twierdzę inkaską, leżącą niewiele metrów nad dzisiejszym Cuzco, ani o monolityczne bloki o wadze ponad stu ton, ani o tarasowe mury o długości ponad 500 metrów i wysokości osiemnastu metrów, na których tle współczesny turysta robi sobie pamiątkowe zdjęcia. Chodzi nam o nieznane Sacsahuaman, oddalone niespełna o kilometr od znanej twierdzy Inków.

Nasza fantazja jest zbyt uboga, aby sobie wyobrazić za pomocą jakich środków technicznych nasi przodkowie pozyskiwali w kamieniołomach bloki skalne o wadze ponad stu ton, jak transportowali je

i obrabiali w odległym miejscu. Nawet jednak z tą naszą „zdemoralizowaną" przez współczesną technikę fantazją doznajemy głębokiego wstrząsu, gdy stoimy przed blokiem kamienia ważącym około 20 tysięcy ton. Monstrum to spotkać można w drodze powrotnej z twierdzy Sacsahuaman, w odległości kilkuset metrów, przy zboczu górskim w jednym z kraterów. Monolityczny blok o rozmiarach czteropiętrowego domu, nienagannie obrobiony według najlepszych wzorów sztuki kamieniarskiej, ma stopnie i rampy oraz przyozdobiony jest spiralami i otworami. Czy da się odeprzeć twierdzenie, że Inkowie nie mogli obrabiać tego niespotykanej wielkości bloku kamienia po prostu dla rozrywki i praca ta musiała służyć jakiemuś nieznanemu jeszcze dzisiaj celowi? Jakby dla utrudnienia zagadki monstrualny blok stoi do góry nogami. Stopnie prowadzą zatem od sufitu z góry na dół, otwory wychodzą, niczym perforacje po wybuchu granatu, na różne strony świata, a dziwne zagłębienia, przypominające nieco fotele, zawieszone są w powietrzu. Kto może sobie wyobrazić, że ludzkimi rękami blok został wydobyty, przeniesiony i obrobiony? Jaka siła przewróciła go?

Jacy tytani przyłożyli rękę do tego dzieła?

I w jakim celu?

Jeszcze nie minęło zdziwienie kamiennym potworem, a już po przejściu niespełna trzystu metrów widać zeszklenia skalne, które mogły powstać w zasadzie tylko w wyniku topnienia skały pod wpływem niezwykle wysokich temperatur. Zdziwionemu turyście serwuje się na miejscu lapidarne wyjaśnienie, że skała została wygładzona przez masy topniejącego lodowca. Niestety wyjaśnienie jest absurdalne! Lodowiec spływałby — podobnie jak wszelka masa płynna — logicznie rzecz biorąc tylko w jedną stronę. Niezależnie od tego, kiedy powstały zeszklenia, ta zasada przyrodnicza raczej nie uległa zmianie. W każdym razie nie sposób wyobrazić sobie, aby wody lodowca spływały na powierzchni 15 000 m2 w sześciu różnych kierunkach!

Sacsahuaman i Tiahuanaco skrywają liczne tajemnice z prehistorycznych czasów, dla których proponuje się powierzchowne i nieprzekonywające wyjaśnienia. Poza tym zeszklenia piasku spotyka się także na pustyni Gobi i w rejonie starych irackich wykopalisk. Kto zna odpowiedź na pytanie, dlaczego te piaskowe zeszklenia podobne są do tych, jakie powstały pod wpływem eksplozji atomowych na pustyni Nevada?

Czy uczyniono dostatecznie wiele, by dla prehistorycznych zagadek znaleźć przekonywające rozwiązanie? W Tiahuanaco znajdują się nienaturalnie zwieńczone wzgórza, których „dachy" są całkowicie płaskie na powierzchni 4 000 m2. Jest całkiem prawdopodobne, że są w nich ukryte jakieś budowle. Do tej pory jednak nie

przeciągnięto przez pagórki żadnego wykopu, ani jedna łopata nie zagłębia się w tamtejszą ziemię, by rozwiązać zagadkę. To prawda, że brakuje pieniędzy, ale turyści nierzadko obserwują żołnierzy i oficerów, którzy najwyraźniej niezbyt dobrze wiedzą, jak sensownie spędzić czas. Czy byłoby złym pomysłem, aby zlecić jakiejś kompanii wojska prace wykopaliskowe pod fachowym nadzorem?

Na tyle rzeczy znajduje się na świecie pieniądze, a badania dla przyszłości są przecież palącą koniecznością! Dopóki nasza przeszłość jest niezbadana, otwarta pozostaje jedna pozycja w rachunku dla przyszłości. Pytanie brzmi, czy przeszłość nie pomogłaby nam w znalezieniu rozwiązań technicznych, których nie trzeba byłoby dopiero odkrywać, gdyż znane już były w czasach prehistorycznych?Skoro sama pasja odsłaniania naszej przeszłości nie jest wystarczającym bodźcem do podjęcia nowoczesnych, intensywnych badań, to może pomógłby wzgląd na korzyści ekonomiczne. W każdym razie żadnemu uczonemu nie zlecono dotychczas przeprowadzenia przy pomocy najnowszej aparatury badań izotopowych w Tiahuanaco czy Sacsahuaman, na pustyni Gobi albo w legendarnej Sodomie i Gomorze. Wszystkie zapisane pismem klinowym teksty i tabliczki z Ur - najstarsze księgi ludzkości — przekazują informacje o „bogach", którzy jeździli barkami po niebie, przybyli z gwiazd, posiadali straszliwą broń i powrócili z powrotem do gwiazd. Dlaczego nie szukamy dawnych „bogów"? Nasze teleskopy wysyłają sygnały w Kosmos i starają się odebrać jakieś sygnały od istot

rozumnych. Dlaczego jednak nie poszukujemy śladów obcych istot najpierw albo równocześnie na naszej, przecież znacznie bliższej planecie? Tym bardziej, że nie poruszamy się po omacku w ciemnościach, gdyż ślady te są wyraźnie widoczne.

Sumerowie zaczęli około roku 2300 p.n.e. spisywać pełną chwały przeszłość swego ludu. Jeszcze dzisiaj nie wiemy, skąd przybył ten lud, choć wiemy, że Sumerowie przynieśli wysoko rozwiniętą kulturę, którą narzucili barbarzyńskim jeszcze po części Semitom. Wiemy też, że Sumerowie poszukiwali bogów zawsze na szczytach górskich, a jeśli na obszarze osadniczym nie było naturalnych wzniesień — usypywali na równinach sztuczne „góry". Ich wiedza astronomiczna była niewiarygodnie zaawansowana, a ich obserwatoria dokonywały obliczeń obrotów Księżyca, które różniły się od dzisiejszych pomiarów zaledwie o 0,4 sekundy. Poza wspaniałym eposem o Gilgame- szu, o którym będziemy jeszcze pisać, pozostawili nam prawdziwą, małą sensację. Na wzgórzu Kujundżuk (niegdyś Niniwa) znaleziono obliczenie, którego wynik końcowy w przeliczeniu na naszą arytmetykę wynosił 195 955 200 000 000. Jest to liczba piętnastocyfrowa! Nawet mądrzy, starzy Grecy, ojcowie zachodniej kultury, na których tak często się powołujemy i tak dokładnie badamy, nie zdołali przekroczyć w najświetniejszym okresie swego rozwoju liczby 10 000. Wszystko, co ją przekraczało, określano po prostu mianem „nieskończone".

Starodawne pisma przypisywały Sumerom wprost fantastycznie długi czas życia. I tak dziesięciu pradawnych

władców miało panować w sumie 456 000 lat, zaś okres panowania 23 królów, którym po potopie przypadł trud odbudowy, wynosić miał 24 510 lat, trzy miesiące oraz trzy i pół dnia.

Są to dane całkowicie sprzeczne z naszymi dzisiejszymi pojęciami, choć dokładne imiona wszystkich tych licznych władców, starannie uwiecznione na glinianych tabliczkach i monetach, umieszczone są na długiej liście.

Jaki byłby efekt, gdybyśmy i w tym wypadku odważyli się zdjąć końskie okulary i spojrzeli na stare dzieje nowym okiem?

Przyjmijmy, że kosmici przed tysiącami lat nawiedzili obszar Sumeru. Wysuńmy hipotezę, że położyli podwaliny pod cywilizację i kulturę Sumerów a spełniwszy misję wrócili na swoją planetę. Załóżmy, iż wiedzeni ciekawością wracaliby co sto lat czasu ziemskiego na miejsce swego pionierskiego trudu, by sprawdzić, jak wzeszło zasiane przez nich ziarno. Przyjmując za podstawę dzisiejszą średnią długość życia, kosmici mogliby bez trudu przeżyć 500 lat w skali czasu ziemskiego. Jak to możliwe? Teoria względności dowodzi, że astronauci podczas lotu w obie strony, w statku kosmicznym poruszającym się z szybkością zbliżoną do prędkości światła, postarzeliby się w tym czasie tylko o około 40 lat! Zacofani Sumerowie wznieśli w ciągu stuleci zikkuraty, piramidy i wygodne domy, składali ofiary swoim „bogom" i oczekiwali ich powrotu. Po upływie stu lat istotnie przybyliby oni znowu.

„A wtedy przyszedł potop, a po potopie zstąpiło królestwo ponownie z nieba..." - czytamy w jednym z sumeryjskich tekstów zapisanych pismem klinowym.

W jaki sposób Sumerowie wyobrażali sobie i przedstawiali swoich „bogów"? Pojęcie o tym daje sumeryjska mitologia oraz niektóre akadyjskie tabliczki i obrazy. „Bogowie" nie mieli postaci człowieczej, a w każdym wypadku symbol danego boga związany był z jakąś gwiazdą. Tabliczki akadyjskie przedstawiają gwiazdy w taki sposób, jak zaznaczono by je również dzisiaj. Dziwi tylko, że wokół gwiazd krążą różnej wielkości planety. Skąd Sumerowie, którzy nie mieli naszych możliwości obserwacji nieba, mogli wiedzieć, że gwiazda stała posiada planety? Znaleziono rysunki, na których ludzie noszą na głowie gwiazdy lub dosiadają uskrzydlonych kul. Istnieje obraz, który natychmiast przywołuje skojarzenie z modelem atomu. Jest to okrąg z nanizanymi obok siebie promieniującymi na zmianę kulami. Żadna otchłań nie jest tak przerażająca i żadne niebo tak pełne cudów, jak spuścizna Sumerów pełna jest pytań, zagadek i niesamowitości, jeśli tylko rozpatrywać ją pod kątem związków z Kosmosem.

Wymieńmy tu jeszcze tylko parę osobliwych przedmiotów z tego samego obszaru geograficznego:

-W Geoy Tepe rysunki spiral, niewątpliwa rzadkość przed 6 000 lat!

-W Gar Kobeh przemysłowa obróbka krzemienia sprzed 40 000 lat.

-W Baradostian podobne znalezisko pochodzi sprzed 30 000 lat.

-W Tepe Asiab posążki, groby i narzędzia kamienne, których wiek datuje się na 13 000 lat.

- W tym samym miejscu znaleziono skamieniałe ekskrementy, które być może nie pochodzą od ludzi.

- W Karim Szahir znaleziono narzędzia i dłuto do rytowania.

- W Barda Balka leżały pięściaki i narzędzia.

- W jaskini Szandiar znajdowały się szkielety dorosłych mężczyzn i jednego dziecka. Ich wiek (określony metodą 14C)datuje się na około 45 000 lat p.n.e.

Listę te można uzupełniać wieloma przykładami i ciągnąć dalej, a każdy fakt będzie wspierał stwierdzenie, że przed około 40 000 lat rejon późniejszego Sumeru zamieszkiwała zbieranina ludzi prymitywnych. Nagle, z nieznanych dotąd przyczyn, pojawili się Sumerowie ze swoją astronomią, kulturą i techniką.

Wnioski o obecności na Ziemi w zamierzchłych czasach przybyszy z Kosmosu są na razie czystą spekulacją. Można jednak założyć, że pojawili się wówczas „bogowie",

którzy skupili wokół siebie półdzikich jeszcze ludzi w Sumerze i przekazali im część swojej wiedzy.

Figurki i posążki, które przypatrują się nam dziś zza muzealnych szyb, wykazują zróżnicowanie antropologiczne: wyłupiaste oczy, dobrze wysklepione czoła, wąskie wargi i na ogół proste i długie nosy. Jest to obraz, który zupełnie nie pasuje do obowiązujących schematów myślowych i potocznego wyobrażenia o istotach prymitywnych.

Czyżby byli to przybysze z Kosmosu w zamierzchłych czasach?

- W Libanie znaleziono szkliste okruchy skalne, tak zwane tektyty, w których Amerykanin dr Stair odkrył radioaktywny izotop aluminium.

- W Iraku i Egipcie znajdują się oszlifowane krystaliczne soczewki, które współcześnie produkuje się tylko przy użyciu tlenku cezu, czyli związku, jaki otrzymuje się w procesie elektrolizy.

- W Heluanie jest kawałek materiału, tkaniny tak delikatnej i cienkiej, jaką współcześnie można tkać tylko w specjalistycznych fabrykach z dużym doświadczeniem produkcyjnym.

- W muzeum w Bagdadzie są suche baterie elektryczne, działające na zasadzie galwanicznej.

-W tym samym miejscu można podziwiać ogniwa elektryczne z miedzianymi elektrodami i nieznanymi elektrolitami.

- Uniwersytet w Londynie posiada w dziale egipskim prastarą kość prawej ręki, która została fachowo amputowana dziesięć centymetrów powyżej nadgarstka, cięciem gładkim i pod kątem prostym.

- Na górzystym terenie Kohistanu znajduje się w jaskini rysunek dokładnie oddający pozycje gwiazd, jakie zajmowały one przed 10 000 lat. Wenus i Ziemia połączone są liniami.

- Na wyżynie w Peru znaleziono ozdoby z platyny.

- W pewnym grobie w Chou-Chou (Chiny) leżały części paska, wykonane z aluminium.

- W Delhi stoi stary słup z żelaza, które nie zawiera ani fosforu, ani siarki i dlatego jest odporne na erozję atmosferyczną.

To zestawienie „nieprawdopodobieństw" powinno jednak zaostrzyć naszą ciekawość i wzbudzić niepokój. Jakie to środki i jaka intuicja pozwoliły żyjącym w pieczarach prymitywnym istotom przedstawić właściwe położenie ciał niebieskich? Jaki warsztat mechaniki precyzyjnej wyprodukował oszlifowane soczewki krystaliczne? Jakim sposobem umiano topić i modelować platynę, skoro ów metal szlachetny zaczyna się topić dopiero w temperaturze 1800°C?

Jaką wreszcie metodą uzyskano aluminium — metal, który z dużym trudem pozyskuje się z boksytów?

Zgoda, są to trudne pytania, ale czy nie powinniśmy ich stawiać? Ponieważ nie jesteśmy skłonni założyć lub przyznać, iż naszą kulturę poprzedziła inna — wyższa, a naszą technikę — podobnie perfekcyjna, to pozostaje tylko hipoteza odwiedzin z Kosmosu! Jednak tak długo, jak badania archeologiczne prowadzi się dotychczasowymi metodami, nie będziemy mieli większych szans, by dowiedzieć się, czy nasza zamierzchła starożytność rzeczywiście była tak szara i ciemna, czy też może całkiem pogodna...

Nadszedł czas, aby ogłosić „Rok Archeologii Utopijnej"! W roku takim archeolodzy, fizycy, chemicy, geolodzy, metalurdzy i przedstawiciele wszystkich pokrewnych dziedzin nauki zajęliby się jednym tylko pytaniem: czy nasi przodkowie doświadczyli odwiedzin ze Wszechświata?

Metalurg mógłby na przykład krótko i zwięźle wytłumaczyć archeologowi, jak skomplikowaną sprawą jest wyprodukowanie aluminium. Czy nie jest możliwe, że fizyk natychmiast odkryje w jakimś rysunku naskalnym znany wzór? Chemik dysponujący specjalistyczną aparaturą mógłby zapewne potwierdzić przypuszczenie, że obeliski zostały oddzielone od skały wilgotnymi drewnianymi klinami bądź też przy pomocy nieznanych związków chemicznych. Geolog winien nam cały szereg odpowiedzi na pytanie, jak to

właściwie jest z konkretnymi osadami z epoki lodowcowej. W skład zespołu „Roku Archeologii Utopijnej" wchodziłaby oczywiście także drużyna nurków, która szukałaby w Morzu Martwym radioaktywnych śladów ewentualnej eksplozji jądrowej nad Sodomą i Gomorą.

Dlaczego najstarsze biblioteki świata są tajne? Przed czym właściwie ten lęk? Czy to obawa, że w końcu wyjdzie na światło dzienne chroniona i ukrywana przez tysiące lat prawda?

Badań naukowych i postępu nie uda się zatrzymać. Egipcjanie przez 4000 lat uważali swych „bogów" za istoty realne. W naszym kręgu kulturowym jeszcze w średniowieczu skazywano na śmierć „czarownice" z gorejącej żarliwości religijnej. Przypuszczenie inteligentnych skądinąd Greków, że umieją przepowiadać przyszłość z gęsiego żołądka, jest obecnie równie przestarzałe, jak przeświadczenie ludzi „wiecznie wczorajszych", iż nacjonalizm ma jeszcze jakieś znaczenie.

Musimy naprawić 1001 błędów przeszłości. Okazywana na zewnątrz pewność siebie jest pozorna i stanowi po prostu ostrą formę tępoty. Ciągłe jeszcze oficjalnie panuje przesąd, że jakieś zjawisko musi zostać dowiedzione, zanim „poważnemu" człowiekowi będzie wypadało nim się zajmować.

Przy tym wszystkim nasze życie stało się znacznie łatwiejsze i prostsze. Kto wypowiadał nową, pionierską myśl,

musiał się niegdyś liczyć z wygnaniem i prześladowaniem ze strony kurii i kolegów. Można powiedzieć, że na tym tle los współczesnych prekursorów jest lżejszy. Niema już wszak ekskomuniki i nie podpala się stosów. Z drugiej jednak strony metody praktykowane w naszych czasach, choć wprawdzie mniej spektakularne, jednakże w nie mniejszym stopniu hamują postęp. Działa się dziś dyskretniej i bardziej elegancko. Hipotezy i niewygodne, śmiałe myśli są odrzucane i unieszkodliwiane za pomocą —jak mówią Amerykanie — „killer-phrases". Możliwości jest dużo:

- To jest niezgodne z regułami! (Zawsze dobre!)

- To jest niedoskonałe! (Imponująco niezawodne!)

- To jest zbyt radykalne! (Jeśli chodzi o efekt odstraszający, nadzwyczaj skuteczne!)

- Tego nie podejmą się uniwersytety! (Przekonywające!)

- Tego próbowali już inni! (Oczywiście, ale z jakim skutkiem?)

- Nie dostrzegamy w tym żadnego sensu! (Otóż to!)

- Tego zabrania religia! (Co można na to odpowiedzieć?)

- To nie zostało jeszcze dowiedzione! (Quod erat demonstrandum!)

„Na zdrowy rozum wiadomo — wołał przed 500 laty na sali sądowej pewien uczony — że Ziemia w żadnym wypadku nie może być kulą, gdyż w takim wypadku ludzie z jej dolnej połowy spadliby w otchłań!"

„Nigdzie w Biblii nie napisano — rzeki inny — że Ziemia kręci się wokół Słońca. Zatem takie twierdzenie jest szatańską sprawką!"

Wydaje się, jakby tępota była nieodłączną cechą towarzyszącą pojawianiu się nowych systemów myślowych. U progu XXI wieku badacz powinien być jednak otwarty na „fantastyczne realia". Powinien chcieć modyfikować prawa i ustalenia naukowe, które choć przez stulecia uchodziły za tabu, to kwestionowane są przez nowe wyniki badań. Nawet gdyby gwardia laureatów Nagrody Nobla usiłowała zahamować ten intelektualny nurt, to w imię prawdy i realizmu należy zdobyć nowy świat wbrew wszystkim ludziom niereformowalnym. Ktoś, kto jeszcze przed dwudziestoma laty mówił w kręgach naukowych o satelitach, popełniał coś w rodzaju akademickiego samobójstwa. Dzisiaj sztuczne ciała niebieskie, satelity właśnie, krążą wokół Słońca, sfotografowały Marsa i wylądowały miękko na Księżycu i Wenus, aby przesłać na Ziemię pierwszorzędne zdjęcia obcych krajobrazów, wykonane (turystycznymi) kamerami. Kiedy wiosną 1965 r. pierwsze zdjęcia z Marsa przesłano na Ziemię, zrobiono je aparatami operującymi wprost niewyobrażalnie małą mocą:

0,000 000 000 000 000 01 wata.

A jednak: NIC nie jest już niewyobrażalne. Słowo „niemożliwe" powinno stać się dla współczesnego badacza dosłownie niemożliwe. Kto dzisiaj nie pójdzie z nami, tego jutro stłamsi rzeczywistość.

Pozostajemy zatem uparcie przy naszej hipotezie, zgodnie z którą przed iluś tysiącami lat Ziemię nawiedzili astronauci z obcych planet. Zdajemy sobie sprawę, że nasi niewykształceni i prymitywni przodkowie nie potrafili pojąć wysoko rozwiniętej techniki kosmitów. Czcili więc ich jako „bogów", którzy przybyli z gwiazd, a im nie pozostało nic innego, jak tylko cierpliwie znosić to ubóstwienie. Nawiasem mówiąc, nasi kosmonauci muszą być dobrze przygotowani psychicznie na podobne hołdy na nieznanych planetach.W niektórych zakątkach Ziemi jeszcze obecnie żyją ludzie prymitywni, dla których karabin maszynowy jest bronią diabelską. Czy samolot odrzutowy nie jest dla nich przypadkiem pojazdem aniołów? Czy przez radio nie słyszą głosu boga? Ostatnie ludy prymitywne z dziecinną naiwnością przekazują w swoich podaniach, z pokolenia na pokolenie, wrażenia z tych technicznych osiągnięć, które nam wydają się już oczywiste. Ciągle jeszcze kreślą na ścianach jaskiń i skał postacie swoich bogów i ich cudem przybyłe z nieba statki. W ten sposób ludzie dzicy utrwalili to, czego obecnie szukamy.

Malowidła jaskiniowe w Kohtstanie, Francji, w Ameryce Północnej i południowym Zimbabwe, na Saharze i w

Peru, a nawet w Chile potwierdzają naszą hipotezę. Francuski badacz Henri Lhote odkrył w Tassili na Saharze kilkaset (!) pokrytych malowidłami ścian z wieloma tysiącami wizerunków zwierząt i ludzi. Są wśród nich postacie w krótkich, eleganckich spódniczkach, noszące drążki i bliżej nieokreślone czworokątne skrzynki na drążkach. Obok malowideł zwierząt zdziwienie budzą istoty ubrane w strój przypominający kostium nurka. Wielki bóg Mars — tak Lhote nazwał wielkie malowidło — miał sześć metrów wysokości. „Dzikus", który pozostawił po sobie to dzieło, raczej nie mógł być tak prymitywny, jak byśmy sobie tego życzyli, aby wszystko zgrabnie pasowało do starej teorii. Potrzebował przecież jakiegoś rusztowania do pracy, aby móc malować perspektywicznie, gdyż w jaskiniach tych w ciągu ostatnich tysięcy lat nie nastąpiły żadne przesunięcia tektoniczne. Wydaje się nam, bez zbytniego nadwerężania wyobraźni, że wielki bóg Mars został przedstawiony w skafandrze kosmicznym lub kostiumie nurka. Na jego potężnych, nieforemnych barach spoczywa hełm, połączony z korpusem czymś w rodzaju przegubu. Tam, gdzie powinny się znajdować usta i nos, w hełmie są szpary. Skłonni bylibyśmy uwierzyć w przypadek bądź po prostu w fantazję prehistorycznego „artysty", gdyby to był jedyny taki wizerunek. Jednak w Tassili znajduje się kilka rysunków nieforemnych postaci z takim samym ekwipunkiem, a bardzo podobne malowidła naskalne znaleziono także w USA (region Tulare, Kalifornia).

Jesteśmy gotowi przyjąć spolegliwie i takie założenie, iż ludzie prymitywni byli niewprawnymi malarzami i dlatego portretowali postacie niezbyt szczęśliwie. Dlaczego jednak ci sami prymitywni mieszkańcy pieczar potrafili perfekcyjnie rysować woły lub zwykłych ludzi? Wydaje się więc bardziej prawdopodobne, że „artyści" potrafili bardzo dobrze przedstawiać to, co istotnie oglądali na własne oczy. Jedno z naskalnych malowideł w hrabstwie Inyo w Kalifornii ukazuje jakąś figurę geometryczną, w której bez wysilania wyobraźni można rozpoznać prostokątny suwak logarytmiczny w podwójnej oprawce. Archeolodzy uważają natomiast, że są to postacie boskie...

Na pewnym naczyniu ceramicznym znalezionym w irańskim Siyalk paraduje nieznanego gatunku zwierzę z wielkimi, prostymi jak świece, rogami na głowie. Dlaczego by nie? Jednak oba rogi mają po lewej i prawej stronie po pięć spiral. Jeśli wyobrazić sobie dwa pręty z dużymi porcelanowymi izolatorami, wyglądałoby to mniej więcej tak samo. Jakie jest stanowisko archeologii w tej sprawie? Całkiem zwyczajne: chodzi o symbol jakiegoś boga. Bogowie w ogóle są w cenie. Wiele rzeczy — z pewnością wszystkie nie wyjaśnione — interpretuje się przez odwołanie do świata nadprzyrodzonego. W „nieudowadnialnej" krainie można żyć spokojnie. Każdą znalezioną statuetkę, każdy poskładany przedmiot, każdą wyłaniającą się ze skorup postać przyporządkowuje się z miejsca do jakiejś dawnej religii. Jeśli jednak dana rzecz nawet na siłę nie da się dopasować do

żadnej znanej religii, wyczarowuje się szybko — niczym królika z cylindra — jakiś nowy, zwariowany starożytny kult. I rachunek znowu się zgadza!

A jeżeli freski w Tassili czy w USA albo we Francji istotnie odtwarzają to, co człowiek prymitywny niegdyś widział? Co począć, jeśli spirale przy drążkach przedstawiają rzeczywiście anteny, jakie zobaczył kiedyś u obcych „bogów"? Czy nie mogło istnieć coś, czego być nie powinno? „Dzikus", zdolny do namalowania fresków, nie mógł być taki dziki. Naskalny rysunek białej damy w Brandbergu w RPA mógłby zostać uznany za malarstwo dwudziestowieczne. Jest to postać w swetrze z krótkimi rękawami, w obcisłych spodniach ze ściągaczami, w rękawiczkach i pantoflach. Kobieta nie jest sama, za nią stoi chudy mężczyzna z dziwnym kolczastym drągiem w ręku, a na głowie ma bardzo skomplikowany hełm z czymś w rodzaju przyłbicy. Jako malarstwo nowoczesne jak najbardziej do zaakceptowania! Kłopot tylko w tym, że chodzi o rysunek w jaskini!

Wszyscy bogowie przedstawieni na malowidłach jaskiniowych w Szwecji i Norwegii mają niemal jednakowe, trudne do zinterpretowania głowy. Archeolodzy mówią, że są to głowy zwierząt. Jakaż tu jednak sprzeczność: czcić „boga", którego się jednocześnie zarzyna i spożywa. Często widać na malowidłach skrzydlate statki i bardzo często całkiem typowe anteny.

W Val Camonica we włoskiej Brescii także występują postacie w niezgrabnych ubraniach, które — na domiar złego — mają również rogi na głowach. Nie posuniemy się do twierdzenia, że mieszkańcy italskich pieczar uprawiali ożywioną turystykę do Ameryki Północnej lub Szwecji, względnie na Saharę i do Hiszpani (Ciudad Real) w celu wymiany artystycznych doświadczeń i nowinek formalnych. Pozostaje zatem na porządku dziennym uporczywe pytanie, dlaczego ludzie prymitywni malowali postacie w niezgrabnych ubraniach i z antenami na głowie...

Nie poświęcalibyśmy tym niewyjaśnionym dziwom ani jednego słowa, gdyby występowały tylko w jednym miejscu, ale znajduje się je prawie wszędzie.

Skoro tylko spojrzymy na przeszłość z naszego punktu widzenia i wypełnimy ją współczesną fantazją techniczną, zaczynają unosić się zasłony skrywające mroki historii. Studium prastarych, świętych ksiąg pomoże nam tak urealnić naszą hipotezę, że nauka badająca przeszłość nie zdoła na dłuższą metę uniknąć rewolucyjnych pytań.

Rozdział IV

Biblia na pewno ma rację — Czy Bóg był uzależniony od czasu? — Mojżeszowa Arka Przymierza pod napięciem elektrycznym — Wielofunkcyjne pojazdy „bogów" na pustynnych piaskach — Potop był z góry zaplanowany — Dlaczego „bogowie" żądali określonych metali?

Biblia jest pełna tajemnic i sprzeczności. Jej Księga Rodzaju rozpoczyna się od stworzenia świata, przedstawionego dokładnie pod względem geologicznym. Skąd jednak autorzy wiedzieli, że minerały powstały przed roślinami, a po tych z kolei zjawiły się zwierzęta?

„Uczyńmy człowieka na obraz nasz, podobnego do nas" — czytamy w I Księdze Mojżeszowej.

Dlaczego Bóg mówi w liczbie mnogiej? Dlaczego mówi „nasz", a nie „mój", dlaczego „nam", a nie „mnie"? Można by przecież słusznie przypuszczać, że jedyny Bóg będzie przemawiał do ludzi w liczbie pojedynczej, a nie mnogiej.

„A kiedy ludzie zaczęli rozmnażać się na ziemi i rodziły im się córki, ujrzeli synowie boży, że córki ludzkie były piękne. Wzięli więc sobie za żony te wszystkie, które sobie upatrzyli" (I Mojż. 6, 1-2).

Kto umie udzielić zadowalającej odpowiedzi na pytanie, jacy to synowie Boga brali sobie ziemskie kobiety za żony? Izrael miał przecież tylko jednego jedynego, nietykalnego Boga. Skąd zatem wzięli się „synowie Boga"?

„A w owych czasach, również i potem, gdy synowie boży obcowali z córkami ludzkimi, byli na ziemi olbrzymi, których im one rodziły.

To są mocarze, którzy z dawien dawna byli sławni" (I Mojż. 6, 4).

Znowu zatem pojawiają się synowie Boga, którzy wchodzą w związki z ludźmi. Jest też po raz pierwszy mowa o olbrzymach! „Olbrzymi" pojawiają się zawsze i wszędzie: w mitologii Wschodu i Zachodu, legendach z Tiahuanaco i eposach Eskimosów. „Olbrzymi" straszą prawie we wszystkich starych księgach. Musieli zatem istnieć naprawdę. Kim byli? Naszymi przodkami, którzy wznosili ogromne budowle i bez trudu przesuwali monolity — czy może byli to biegli w sprawach technicznych kosmici? Jedno nie ulega wątpliwości: Biblia mówi o „olbrzymach" i nazywa ich „synami bożymi", a owi „synowie boży" wchodzą w związki z córkami ludzi i płodzą z nimi potomstwo.

Mojżesz przekazuje nam (I Mojż. 19, 1) bardzo obszerne, szczegółowe i wstrząsające sprawozdanie z katastrofy w Sodomie i Gomorze. Zestawienie naszej pozabiblijnej wiedzy z tym opisem pozwoli na całkiem ciekawe skojarzenia.

Oto kiedy ojciec Lot siedział wieczorem przed bramą miasta, do Sodomy przybyli dwaj aniołowie. Najwidoczniej Lot oczekiwał „aniołów", którzy zresztą okazali się wkrótce mężczyznami, gdyż poznał ich natychmiast i gościnnie zaprosił na noc do swego domostwa. Lubieżnicy sodomscy — jak opowiada Biblia — zapragnęli tych mężczyzn. Jednak obaj przybysze potrafili jednym jedynym gestem odeprzeć seksualną chuć miejscowych playboyów, pozbywając się intruzów.

„Aniołowie" nalegali (I Mojż. 19, 12-14), aby Lot jak najszybciej wyprowadził z miasta swoją żonę, synów, córki, zięciów i synowe, gdyż — jak ostrzegali — miasto zostanie lada moment zniszczone. Rodzina Lota nie bardzo chciała uwierzyć i uważała to wszystko za kiepski dowcip ojca. Zacytujmy dosłownie:

„A gdy wzeszła zorza, przynaglali aniołowie Lota mówiąc: Wstań, weź żonę swoją i dwie córki, które się tu znajdują, abyś nie zginął wskutek winy tego miasta. Lecz gdy się ociągał, wzięli go owi mężowie za rękę i żonę jego za rękę, i obie córki jego za rękę, bo Pan chciał go oszczędzić, i wyprowadzili go, i pozostawili poza miastem. A gdy ich wyprowadzili poza miasto, rzekł jeden: Ratuj się, bo chodzi o życie twoje; nie oglądaj się za siebie i nie zatrzymuj się w całym tym okręgu; uchodź w góry, abyś nie zginął. [...] Schroń się tam szybko, bo nie mogę nic uczynić, dopóki tam nie wejdziesz!" (I Mojż. 19, 15-17,22).

Z opisu wynika niewątpliwie, że obaj „aniołowie" dysponowali nieznaną mieszkańcom mocą. Zastanawia także pośpiech i naleganie jakim popędzali rodzinę Lota. Kiedy Lot się ociągał, wzięli go za ręce. Każda minuta musiała być droga. Lot miał, jak mu polecili, pójść w góry i nie odwracać się po drodze. Jednak wydaje się, że ojciec Lot nie miał bezwzględnego respektu przed „aniołami", gdyż odważał się zgłaszać coraz to nowe zastrzeżenia: „Lecz ja nie mogę ujść w góry, zanim mnie nie dosięgnie nieszczęście i umrę" (I Mojż. 19, 19). Zaraz potem aniołowie wyznali, że niczego nie będą mogli dla niego zrobić, jeśli ich nie posłucha.

Co właściwie wydarzyło się w Sodomie? Trudno sobie wyobrazić, aby wszechmocny Bóg uzależniony był od jakiegoś rozkładu zajęć. Skąd zatem pośpiech jego „aniołów"? A może zagłada miasta została zaplanowana co do minuty przez jakąś inną siłę? Może rozpoczęło się już odliczanie i „aniołowie" dobrze o tym wiedzieli? W takim wypadku terminu zagłady nie można by było rzecz jasna przesunąć. Czy jednak nie było prostszego sposobu zapewnienia bezpieczeństwa rodzinie Lota? Dlaczego musiała iść w góry? I dlaczego — na miłość boską — nie wolno im było ani razu nawet spojrzeć za siebie?

Zgoda, są to niestosowne pytania w tak poważnej sprawie. Ale od czasu zrzucenia w Japonii dwóch bomb atomowych wiemy, jakie szkody wyrządza ta broń. Wiemy, że żywe stworzenia narażone na bezpośrednie działanie promieni umierają lub zapadają na nieuleczalną chorobę. Powiedzmy

bez ogródek — Sodoma i Gomora zostały zniszczone celowo, według planu, w wyniku eksplozji jądrowej. Być może „aniołowie" — pospekulujmy dalej — chcieli pozbyć się po prostu niebezpiecznego materiału rozszczepialnego, z pewnością jednak przyświecał im też cel wytępienia niemiłej im ludzkiej rasy. Czas zagłady był dokładnie ustalony. Kto miał ujść z życiem — tak jak rodzina Lota — musiał schronić się w górach kilka kilometrów od centrum eksplozji. Skalne ściany pochłaniają bowiem groźne, twarde promieniowanie. Zaś żona Lota —jak wszyscy wiedzą — odwróciła się i spojrzała w błysk atomowego słońca. Nikogo już nie dziwi, że zginęła na miejscu. „Wtedy Pan spuścił na Sodomę i Gomorę deszcz siarki i ognia..." (I Mojż. 19, 24).

Sprawozdanie o katastrofie kończy się następująco:

„Abraham zaś, wstawszy wcześnie rano, udał się na to miejsce, gdzie stał przed Panem. I spojrzawszy na Sodomę i Gomorę, i na całą okolicę, ujrzał, że dym wznosił się z ziemi, jak dym z pieca" (I Mojż.

19, 27-28).

Możemy być tak samo wierzący, jak nasi przodkowie, ale na pewno jesteśmy mniej łatwowierni. Jak moglibyśmy — nawet przy najlepszych chęciach — wyobrazić sobie wszechpotężnego, wszechobecnego i absolutnie dobrego Boga, który nie zna pojęcia czasu i zarazem nie wie, co się wydarzy. Bóg stworzył człowieka i był zadowolony ze swego dzieła. Wygląda na to, jakby później pożałował jednak swego

czynu, gdyż ten sam stwórca postanawia zniszczyć ludzką rasę. Nam, wyemancypowanym dzieciom naszych czasów, z trudem przychodzi wyobrazić sobie arcydobrego ojca, który wśród niezliczonych innych dzieci faworyzuje garstkę ulubieńców, takich jak rodzina Lota. Stary Testament przedstawia sugestywne opisy, w których sam Bóg lub jego aniołowie z wielkim hałasem, w oparach dymu zlatują na ziemię bezpośrednio z nieba.

Jeden z najbardziej niezwykłych opisów zawdzięczamy prorokowi Ezechielowi:

„W trzydziestym roku, w czwartym miesiącu, piątego dnia tego miesiąca, gdy byłem wśród wygnańców nad rzeką Kebar, otworzyły się niebiosa i miałem widzenie Boże [...] I spojrzałem, a oto gwałtowny wiatr powiał z północy i pojawił się wielki obłok, płomienny ogień i blask dokoła niego, a z jego środka spośród ognia lśniło coś jakby błysk polerowanego kruszcu. A pośród niego było coś w kształcie czterech żywych istot. A z wyglądu były podobne do człowieka. Lecz każda z nich miała cztery twarze i każda cztery skrzydła. Ich nogi były proste, a stopa ich nóg była jak kopyto cielęcia i lśniły jak polerowany brąz" (Ez. l, 4-7).

Ezechiel podaje bardzo precyzyjną datę lądowania pojazdu. Dokładnie widzi przybywający z północy pojazd, który połyskuje, promieniuje i wzbija w powietrze olbrzymią chmurę piaskową. Wyobraźmy sobie wszechpotężnego boga wielkiej religii. Czy musiałby on zdążać z określonego

kierunku, w tak namacalny sposób — czy nie mógłby znaleźć się tam, gdzie zechce, nie wzbudzając wielkiego zamieszania i gwaru?

Prześledźmy dalej informację o przeżyciu Ezechiela:

„A gdy spojrzałem na żywe istoty, oto na ziemi obok każdej z wszystkich czterech żywych istot było koło. A wygląd tych kół i ich wykonanie były jak chryzolit i wszystkie cztery miały jednakowy kształt; tak wyglądały i tak były wykonane, jakby jedno koło było w drugim. Gdy jechały, posuwały się w czterech kierunkach, a jadąc nie obracały się. I widziałem, że wszystkie cztery miały obręcze, wysokie i straszliwe, i były dokoła pełne oczu. A gdy żywe istoty posuwały się naprzód, wtedy i koła posuwały się obok nich, a gdy żywe istoty wznosiły się ponad ziemię, wznosiły się i koła" (Ez. l, 15-19).

Opis jest zadziwiająco trafny: Ezechiel uważa, że jedno koło znajdowało się w drugim. To oczywiście złudzenie optyczne! Według naszej dzisiejszej wiedzy widział on ślimacznicę umieszczoną na walcu, jedną z takich, jakich Amerykanie używają na piaskach pustyni i terenach bagiennych. Ezechiel zaobserwował, że koła podnosiły się z ziemi równocześnie ze skrzydłami. To by się zgadzało. Rzecz jasna koła żadnego pojazdu wielofunkcyjnego, np. amfibiowego helikoptera, nie pozostają na ziemi, gdy ten wznosi się w powietrze.

Czytamy dalej u Ezechiela: „Synu człowieczy! Stań na nogi, a będę z Tobą rozmawiał"(Ez. 2, l). Usłyszawszy te słowa opowiadający ukrył oblicze w ziemi z lęku i wielkiego podziwu. Obce istoty, chcąc rozmawiać z Ezechielem, zwróciły się do niego nazywając go „synem człowieczym". Oto dalszy ciąg relacji:

„[•••] i słyszałem za sobą potężny łoskot, gdy chwała Pana podniosła się ze swego miejsca. A był to szum skrzydeł żywych istot, gdy się nawzajem dotykały, oraz turkot kół tuż przy nich, potężny łoskot" (Ez. 3, 12-13).

Ezechiel nie tylko dosyć dokładnie opisuje pojazd, ale odnotowuje także hałas, jaki wytwarzało to nigdy przedtem nie widziane monstrum. Zwraca uwagę na szum skrzydeł i hałaśliwy turkot kół. Czy opis naocznego świadka nie daje do myślenia? „Bogowie" rozmawiali z Ezechielem i nakazali mu, aby troszczył się o porządek i czystość w kraju. Wzięli go do swojego pojazdu, upewniając go, że nie opuszczają jeszcze kraju. Przeżycie to wywarło silne wrażenie na Ezechielu, który będzie później niestrudzenie opisywać niezwykły pojazd. Jeszcze trzykrotnie napisze, że każde koło znajdowało się w środku innego koła, a cztery koła potrafiły poruszać się we wszystkie strony, nie zmieniając kierunku podczas ruchu. Szczególne zafrapowało go, że cały korpus pojazdu, tył, ramiona i skrzydła, a nawet koła naszpikowane były oczami. Powód i cel podróży „bogowie" ujawnili mu później, mówiąc, że żyje pośród krnąbrnego plemienia, które ma oczy, by widzieć, jednak niczego nie dostrzega, ma uszy, by słyszeć,

ale niczego nie słyszy. Po pogadance uświadamiającej Ezechiela o jego otoczeniu nastąpiły — jak we wszystkich opisach podobnych lądowań — porady i zalecenia dotyczące porządku i czystości, czyli ogólnie rzecz biorąc wskazówki potrzebne dla funkcjonowania porządnej cywilizacji. Ezechiel potraktował zlecone mu zadanie bardzo poważnie i przekazał dalej uwagi „bogów".

Znowu stajemy przed szeregiem pytań.

Kto rozmawiał z Ezechielem? Kim były te istoty?

Na pewno nie byli to „bogowie" w tradycyjnym rozumieniu tego słowa, gdyż ci nie potrzebowaliby żadnego pojazdu, aby przenosić się z miejsca na miejsce. Zaprezentowany zaś sposób transportu wydaje się nie do pogodzenia z wyobrażeniem o wszechmocnym Bogu.

W Księdze nad Księgami jest informacja o jeszcze jednym wynalazku technicznym, o którym warto w tym kontekście obiektywnie opowiedzieć.

W II Księdze (25, 10) Mojżesz informuje o szczegółowych wskazówkach, jakich „Bóg" udzielał dla budowy Arki Przymierza. Instrukcje określały z dokładnością do jednego centymetra, jak i gdzie przymocować drążki i pierścienie oraz z jakiego stopu powinny być wykonane metale. Wskazówki te miały zapewnić dokładne sporządzenie dzieła, zgodnie z życzeniami „Boga", który wielokrotnie upominał Mojżesza, aby ten nie popełnił żadnych błędów.

„Bacz, abyś uczynił to według wzoru, który ci ukazano na górze" (II Mojż. 25, 40).

„Bóg" powiedział także Mojżeszowi, że sam będzie z nim rozmawiał, a mianowicie za pośrednictwem pokrywy. Nikomu nie wolno — surowo przykazywał Mojżeszowi — podchodzić do Arki Przymierza. Dał też dokładne wytyczne odnośnie do ubrania i obuwia, jakie trzeba nosić podczas jej transportu. Mimo całej staranności doszło jednak do wypadku (II Sam. 6). Kiedy Dawid nakazał przeniesienie Arki Przymierza, Uzza szedł obok niej. Gdy ciągnące świętość woły szarpnęły i Arka się przechyliła, Uzza dotknął jej ręką i padł martwy, jak rażony piorunem.

Bez wątpienia Arka Przymierza była pod napięciem elektrycznym! Gdyby mianowicie zrekonstruować przekazane przez Mojżesza wskazówki, to powstałby kondensator o napięciu kilkuset woltów. Tworzyły go złote płytki, z których jedne były naładowane dodatnio, a inne ujemnie. Jeśli do tego jeden z dwóch cherubów na pokrywie Arki działał jako magnes, to powstały w ten sposób głośnik — a może nawet coś w rodzaju „domofonu" miedzy Mojżeszem a statkiem kosmicznym — był urządzeniem perfekcyjnym. O szczegółach konstrukcyjnych Arki Przymierza można dokładnie przeczytać w Biblii. Jednak nawet nie zaglądając do źródła pamiętamy, że wokół Arki często sypały się iskry, a Mojżesz zawsze gdy potrzebował rady i pomocy posługiwał się tym „nadajnikiem". Mojżesz słyszał głos swego Pana, ale

nigdy go nie zobaczył. Kiedy raz poprosił go, by mu się ukazał, otrzymał od „Boga" odpowiedź:

„Nie możesz oglądać oblicza mojego, gdyż nie może mnie człowiek oglądać i pozostać przy życiu. I rzekł Pan: Oto miejsce przy mnie. Stań na skale. A gdy przechodzić będzie chwała moja, postawię cię w rozpadlinie skalnej i osłonię cię dłonią moją, aż przejdę. A gdy usunę dłoń moją, ujrzysz mnie z tyłu, oblicza mojego oglądać nie można" (II Mojż. 33, 20-23).

Istnieją zaskakujące analogie z innymi źródłami. O wiele starszy sumeryjski epos o Gilgameszu dziwnym trafem zawiera na piątej tabliczce to samo zdanie:

„Żaden śmiertelny nie wejdzie na górę, gdzie mieszkają bogowie. Kto spojrzy w oblicze bogów, musi zginąć".

W wielu starych księgach, relacjonujących fragmenty historii ludzkości, występują bardzo podobne opowieści. Dlaczego „bogowie" nie chcieli ukazać ludziom swego oblicza? Dlaczego nie chcieli zdjąć masek? Czego się obawiali? A może opowieść z II Księgi Mojżeszowej pochodzi zgoła z eposu o Gilgameszu? Jest to również możliwe; w końcu Mojżesz wychował się podobno na dworze królewskim w Egipcie. Być może miał wówczas dostęp do bibliotek lub w inny sposób dowiedział się o starych, tajemnych sprawach.

Może będziemy musieli postawić pod znakiem zapytania datowanie Starego Testamentu, gdyż wiele przemawia za tym, że o wiele później żyjący Dawid walczył jeszcze z olbrzymami, którzy mieli „po sześć palców u rąk i nóg, czyli razem dwadzieścia cztery" (II Sam. 21, 18-21). Trzeba wziąć pod uwagę i taką możliwość, że wszystkie te prastare historie, legendy i opowieści zostały zebrane w jednym miejscu, a następnie w kopiach i z nieco pomieszanymi wzajemnie wątkami krążyły po świecie.

Teksty z Qumran, znalezione w minionych latach nad Morzem Martwym, stanowią cenne i zadziwiające uzupełnienie biblijnej Księgi Rodzaju. Tu także w całym szeregu nieznanych przedtem pism pojawiają się opowieści o niebiańskich wehikułach, o synach niebios, o kołach i dymie, który otaczał latające obiekty. W Apokalipsie Mojżeszowej (rozdział 33) czytamy, jak Ewa spojrzała ku niebu i zobaczyła zbliżający się wóz świetlisty, ciągnięty przez cztery lśniące orły. Żadna ziemska istota nie byłaby w stanie opisać tego wspaniałego zjawiska — czytamy u Mojżesza. W końcu wóz podjechał do Adama, a spomiędzy kół wydobył się dym. Historia ta, opowiedziana na marginesie, nie przekazuje nam wiele nowego; jednak już w związku z Adamem i Ewą po raz pierwszy mówi się o świetlistych wozach, kołach i dymie jako o wspaniałych zjawiskach.

W tzw. zwoju Lameka udało się odczytać rewelacyjną historię. Choć zachowały się tylko fragmenty tekstu i brakuje

w nim całych; zdań i akapitów, jednak to, co pozostało, zasługuje na relację, gdyż jest bardzo osobliwe.

Pewnego pięknego dnia Lamek, ojciec Noego, przybywszy do domu zdziwił się obecnością jakiegoś chłopca o wyglądzie zupełnie odmiennym od reszty rodziny. Zrobił zatem swej żonie Bat-Enosz awanturę

twierdząc, że nie jest to jego dziecko. Ta jednak przysięgała na wszystkie świętości, że nasienie pochodziło od niego właśnie — Lameka, nie zaś od jakiegoś żołnierza, ani obcego, ani od jednego z „synów Niebios". (Zapytajmy nawiasem, o jakich to „synach Niebios" mówiła Bat-Enosz? Wszak ten rodzinny dramat wydarzył się przed potopem.) Lamek nie wierzył jednak zapewnieniom połowicy i do głębi zaniepokojony wyruszył do swego ojca Metuzalema pytać o rade. Przybywszy opowiedział mu tę pożałowania godną familijną historię. Metuzalem wysłuchał, pomyślał i sam wyruszył w drogę, by poradzić się mądrego Henocha. Kukułcze jajo wywołało tyle zamieszania w rodzinie, że starszy pan podjął się trudów dalekiej podróży, aby zdobyć jasność co do pochodzenia chłopca. Metuzalem opowiedział, że w rodzinie jego syna pojawił się jakiś chłopak, który wygląda bardziej na syna nieba niż na człowieka, gdyż jego oczy, włosy, skóra i cała postać nie pasują do pozostałej familii.

Mądry Henoch wysłuchał opowieści i odesłał Metuzalema w drogę powrotną z niesłychanie niepokojącą

wiadomością, że dojdzie oto do wielkiego sądu nad Ziemią i ludźmi, a wszelkie „mięso" będzie zniszczone, gdyż jest zepsute i brudne. Jednak ów tak podejrzany dla rodziny obcy malec przeznaczony jest na założyciela rodu tych, którzy przeżyją wielki sąd nad światem. Dlatego Metuzalem powinien polecić Lamekowi, by nazwał dziecko imieniem Noego. Metuzalem powraca i informuje syna o tym, co ich wszystkich czeka. Cóż pozostaje Lamekowi innego, niż uznać niezwykłe dziecko za własne i nadać mu imię Noe!

W opowiadaniu zwraca uwagę, że już rodzice Noego zostali poinformowani o mającym nadejść potopie i że dziadek Matuzalem został przygotowany na straszliwe wydarzenie przez tego samego Henocha, który wkrótce potem zgodnie z przekazem na zawsze zniknął w wozie ognistym.

W związku z tym całkiem poważnie nasuwa się pytanie, czy rasa ludzka nie powstała w wyniku celowej „hodowli" prowadzonej przez istoty z Kosmosu. Jaki bowiem inny sens miałoby ciągle powtarzające się zapładnianie ludzkości przez olbrzymów i synów Niebios wraz z następującą potem zagładą nieudanych egzemplarzy? Z tego punktu widzenia potop staje się zaplanowanym, z góry posunięciem obcych istot, mającym zniszczyć rasę ludzką z wyjątkiem nielicznych szlachetnych egzemplarzy. Skoro jednak potop, którego istnienie jest historycznie dowiedzione, został z zimną krwią zaplanowany i przygotowany — i to jeszcze kilkaset lat zanim Noe otrzymał polecenie budowy arki — to nie sposób uznać go za sąd boski.

Teza o wyhodowaniu inteligentnej rasy ludzkiej nie brzmi już dzisiaj absurdalnie. O ile legendy z Tiahuanaco i napis na szczycie „Bramy Słońca" informują o statku kosmicznym, którym na Ziemię przybyła w celach rozrodczych pramatka, to stare święte pisma niestrudzenie podają, że „Bóg" stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo. Według niektórych tekstów posłużono się w tym celu różnymi eksperymentami, zanim człowiek był tak udany, jak chciał tego „Bóg". Konsekwencją wynikającą z hipotezy o odwiedzinach kosmitów na Ziemi byłoby założenie, że współcześni ludzie są podobni do owych legendarnych obcych istot ze Wszechświata.

W naszym łańcuchu dowodowym przedziwną zagadkę stanowią dary ofiarne, jakich „bogowie" domagali się od naszych przodków. Bynajmniej nie żądano bowiem tylko kadzideł i zwierząt ofiarnych! Na liście zamówień znajdowały się często monety o dokładnie określonym stopie metali. W Ezeon-Geber znaleziono największe na starożytnym Wschodzie urządzenie do wytapiania metali: prostokątny, wprost nowoczesny piec z systemem kanałów powietrznych, kominów i celowo rozmieszczonych otworów. Współcześni eksperci od hutnictwa głowią się nad nie wyjaśnionym do tej pory fenomenem, w jaki sposób w tym pradawnym urządzeniu wytapiano miedź. O tym, że tak niewątpliwie było, przekonują znajdowane w jaskiniach i sztolniach wokół Ezeon-Geber duże ilości siarczanu miedzi. Wiek tych znalezisk szacuje się na 5000 lat.

Nasi kosmonauci, jeśli pewnego dnia spotkają na jakiejś planecie istoty prymitywne, wydadzą się im przypuszczalnie również „synami Niebios" lub „bogami". Być może nasi wysłannicy na tych nieznanych obszarach będą cywilizacyjnie wyprzedzać tubylców w takim samym stopniu, jak legendarni przybysze ze Wszechświata przewyższali w rozwoju naszych pradziadów. Jakie jednak byłoby rozczarowanie, gdyby w tej jeszcze nieznanej krainie czas płynął szybciej i nasi astronauci nie zostaliby powitani jako „bogowie", lecz wyśmiani jako istoty nader zacofane?

Rozdział V

„Bogowie " i ludzie chętnie łączyli się w pary — Kolejna rewia nowych pojazdów — Parę danych o sile przyspieszenia — Pierwsze sprawozdanie z podróży kosmicznej — Mówi osoba, która przeżyta potop — Co to jest „prawda"?

Na przełomie XIX i XX wieku na wzgórzu Kujundżuk dokonano głośnego znaleziska. Była to epopeja o wielkiej sile wyrazu, zapisana na dwunastu glinianych tabliczkach, które należały do biblioteki asyryjskiego króla Assurbanipala. Dzieło zostało napisane w języku akadyjskim, potem znaleziono drugi egzemplarz, wywodzący się z czasów króla Hammurabiego.

Badacze jednomyślnie stwierdzili, że pierwotną redakcję eposu o Gilgameszu zawdzięczamy Sumerom, tajemniczemu ludowi, którego pochodzenia nie znamy, a który pozostawił nam zadziwiające sekwencje liczb i imponującą wiedzę astronomiczną. Nie ulega też wątpliwości, że główny wątek eposu wykazuje podobieństwa do biblijnej Księgi Rodzaju.

Pierwsza znaleziona w Kujundżuk tabliczka podaje, że zwycięski bohater Gilgamesz wzniósł mury wokół miasta Unik. Czytamy, iż „syn Niebios" zamieszkał we wspaniałym domu ze spichlerzem zbożowym, a na murach miejskich czuwali strażnicy. Z tekstu można się dowiedzieć, iż Gilgamesz był bosko-ludzkim mieszańcem: w dwóch trzecich — „bogiem", zaś w jednej trzeciej — człowiekiem. Przybywających do Uruk pielgrzymów widok jego ciała napawał podziwem i lękiem, gdyż nigdy przedtem nie widzieli kogoś równie pięknego i silnego. Znowu wiec na początku opowieści pojawia się myśl o wspólnym poczęciu przez „boga" i człowieka.

Druga tabliczka informuje, w jaki sposób bogini Aruru stworzyła innego bohatera utworu — Enkidu. Jest on opisany bardzo dokładnie: owłosiony na całym ciele, nie ma żadnej wiedzy, ubrany w skóry, żywi się polnym zielem, pije razem z bydłem u tego samego wodopoju i taple się w wodnym żywiole rzeki.

Kiedy Gilgamesz, władca miasta Uruk, dowiedział się o tej niezbyt pociągającej istocie, polecił dać prymitywowi jakąś ładną kobietę, aby odciągnęła go od świata zwierząt. Prymitywny Enkidu wpadł w królewską zasadzkę (nie wiadomo, czy zadowolony) i spędził sześć dni i sześć nocy z półboską pięknością. Ten drobny przykład królewskich swatów daje do myślenia, gdyż w świecie barbarzyńskim idea krzyżówki między półbogiem a półbestią wcale nie była tak rozpowszechniona.

Z kolei trzecia tabliczka mówi o chmurze, która nadeszła z daleka. Niebo zagrzmiało, ziemia zatrzęsła się i w końcu zjawił się „Bóg Słońca", który chwycił Enkidu w swe potężne skrzydła i szpony. Czytamy ze zdziwieniem, że na ciele Enkidu położył się wówczas ołowiany ciężar, a jemu samemu własne ciało wydało się ciężkie jak skała.

Nawet jeśli przypiszemy dawnym autorom nie mniejszą dozę fantazji, niż przyznajemy ją sobie samym, i odrzucimy dodatki wprowadzone przez tłumaczy i kopistów, to nadal pozostaje jeszcze pytanie: skąd dawni kronikarze mogliby wiedzieć, że ciało podczas przyspieszenia staje się ciężkie jak ołów? My znamy prawa grawitacji i przyśpieszenia i wiemy, że podczas startu siła ciążenia wciśnie astronautę w fotel.

Jakaż fantazja podsunęła jednak taką ideę dawnym autorom?

Piąta tabliczka opowiada, jak Gilgamesz i Enkidu wyruszyli w drogę, by wspólnie zwiedzić siedzibę „bogów". Z daleka już widać było promieniującą wieżę, w której mieszkała bogini Irninis. Strzały i pociski, które obaj, jako ostrożni wędrowcy, miotali w stronę strażników, odbijały się od nich nie czyniąc żadnej krzywdy. A kiedy dotarli do posesji „bogów", jakiś głos zahuczał:

„Wracajcie! Żaden śmiertelny nie wejdzie na świętą górę, gdzie mieszkają bogowie, kto zobaczy oblicze bogów, ten musi umrzeć".

„Nie możesz oglądać oblicza mojego, gdyż nie może mnie człowiek oglądać i pozostać przy życiu..." - czytamy w II Księdze Mojżeszowej.

Siódma tabliczka zawiera sprawozdanie pierwszego naocznego świadka podróży kosmicznej, przekazane przez Enkidu, który przez cztery godziny leciał w spiżowych szponach orła. Oto dosłowny tekst:

„Powiedział do mnie: Spójrz w dół, na ziemię! Jak ona wygląda? Patrz na morze! Co ci przypomina? I ziemia była jak góra, a morze jak mały zbiornik. I znowu leciał wyżej, przez cztery godziny, i powiedział do mnie: Spójrz w dół, na ziemię! Jak wygląda? Patrz na morze! Co ci przypomina? I ziemia była jak ogród, a morze jak potok wody. I ponownie leciał cztery godziny jeszcze wyżej i powiedział: Spójrz w dół na ziemie! Jak wygląda? Patrz na morze! Co ci przypomina? I ziemia wyglądała jak papka mączna, a morze jak koryto wodne."

Ktoś rzeczywiście musiał mieć okazje obserwowania kuli ziemskiej z dużej wysokości! Opis jest bowiem zbyt wierny, aby mógł być wytworem czystej fantazji! Kto mógł wówczas wiedzieć, że ląd przypomina papkę mączną, a morze koryto wodne, skoro ludzie nie mieli jeszcze najmniejszego wyobrażenia kuli ziemskiej „z góry"? A ze znacznej wysokości Ziemia istotnie robi wrażenie układanki z papki mącznej i koryt wodnych.

Ta sama tabliczka opowiada o drzwiach mówiących niczym żywy człowiek, w których bez trudu rozpoznajemy głośnik. Ten sam Enkidu, który najpewniej obserwował Ziemię ze znacznej wysokości, umiera —jak czytamy na ósmej tabliczce— na tajemniczą chorobę, tak dziwną, że Gilgamesz pyta, czy nie dosięgnęło go może trujące tchnienie „zwierzęcia z nieba". Skąd jednak Gilgamesz mógł przypuszczać, że trujący oddech takiej istoty może spowodować śmiertelną, nieuleczalną chorobę?

Dziewiąta tabliczka przedstawia, jak Gilgamesz opłakuje śmierć swego przyjaciela i postanawia wybrać się w długą podróż do bogów, ponieważ nie opuszcza go obawa, iż mógłby umrzeć na to samo schorzenie, co Enkidu. Gilgamesz dotarł do dwóch podtrzymujących niebo gór, między którymi wznosiła się Brama Słońca. Przed bramą spotkał olbrzymów, którzy przepuścili go po dłuższej wymianie zdań, gdyż był przecież w dwóch trzecich bogiem. W końcu Gilgamesz znalazł siedzibę bogów, za którą rozciągało się nieskończenie rozległe morze. Bogowie dwukrotnie ostrzegali przechodzącego Gtlgamesza:

„Gilgameszu, dokąd idziesz? Nie znajdziesz tego życia, którego poszukujesz. Kiedy bogowie stworzyli ludzi, przeznaczyli im śmierć, wieczne życie zachowali tylko dla siebie."

Gilgamesz nie zważał na ostrzeżenia, zdecydowany kosztem każdego niebezpieczeństwa dotrzeć do Utnapisztima,

ojca ludzi. Utnapisztim żył jednak po drugiej stronie wielkiego morza, nie prowadziła do niego żadna droga, nie dolatywał z wyjątkiem Boga Słońca żaden statek. Wystawiając się na wielorakie niebezpieczeństwa Gilgamesz przeszedł morze i jedenasta tabliczka ukazuje jego spotkanie z Utna-pisztimem.

Gilgamesz zauważył, że ojciec ludzi pod względem postury nie jest ani wyższy, ani grubszy od niego i doszedł do wniosku, że są do siebie podobni jak syn i ojciec. Utnapisztim opowiedział Gilgameszowi swoje

dzieje, dziwnym trafem, w pierwszej osobie.

Ku naszemu zdziwieniu Utnapisztim dokładnie opowiada o potopie, mówi, że „bogowie" ostrzegli go przed nadchodzącą wielką wodą i polecili zbudować barkę, na której miały znaleźć schronienie kobiety i dzieci, jego krewni oraz przedstawiciele wszelkich rzemiosł. Opis nawałnicy, ciemności, podnoszących się wód i rozpaczy ludzi, których nie byt w stanie zabrać, jeszcze dzisiaj robi na czytelniku duże wrażenie. Podobnie jak w biblijnej historii Noego występuje tu wątek wypuszczonego kruka i gołębia. Kiedy zaś w końcu wody opadły, barka osiadła na górze. Podobieństwa między potopem biblijnym a opisanym w eposie są niewątpliwe, nie kwestionuje ich także żaden badacz. Fascynująca w tym podobieństwie jest okoliczność, że w obu przypadkach mamy do czynienia z innymi zwiastunami nieszczęścia i innymi „bogami".

O ile biblijna opowieść pochodzi z drugiej ręki, to stosowana w relacji Utnapisztima forma pierwszej osoby liczby pojedynczej wskazuje, że do głosu doszedł naoczny świadek.

Fakt katastrofalnej powodzi na starożytnym Wschodzie przed kilkoma tysiącami lat jest potwierdzony. Starobabilońskie teksty zapisane pismem klinowym podają bardzo dokładnie, gdzie można znaleźć resztki barki. Na południowym zboczu Araratu znaleziono trzy kawałki drewna, które być może wskazują miejsce, gdzie osiadła arka. Jednak szansę znalezienia resztek statku, zbudowanego głównie z drewna, który przed ponad sześcioma tysiącami lat przetrwał potop, są wyjątkowo nikłe.

Epos o Gilgameszu zawiera nie tylko najstarsze relacje, ale także utopijne opisy, które nie mogły zostać wymyślone ani przez żadną osobę współczesną powstaniu tabliczek, ani przez tłumaczy lub kopistów w następnych stuleciach. W opisach tych ukryte są bowiem fakty, które — jak to obecnie widzimy — musiały być znane autorom eposu.

Czy nowe pytania mogłyby rozświetlić nieco ciemności? Czy możliwe jest, aby akcja eposu o Gilgameszu wcale nie rozgrywała się na starożytnym Wschodzie, lecz w rejonie Tiahuanaco? Może potomkowie Gilgamesza przybyli z Ameryki Południowej, przywożąc ze sobą epopeję? Twierdząca odpowiedź na te pytania wyjaśniałaby wzmiankę o „Bramie Słońca", przeprawę bohatera przez morze, a

zarazem nagłe pojawienie się Sumerów, ponieważ wszystkie dzieła późnego Babilonu wywodzą się oczywiście od nich! Bez wątpienia Egipt faraonów dysponował bibliotekami, w których przechowywano stare tajemnice, przepisywano je, uczono się ich i nauczano. Mojżesz, który — jak już pisaliśmy — wychował się na dworze egipskim, z pewnością miał dostęp do szacownych bibliotecznych sal. Był on człowiekiem pojętnym i uczonym i podobno pierwszym autorem pięciu ksiąg biblijnych, choć do dzisiaj pozostaje zagadką, w jakim języku mógłby je zredagować.

Przyjmijmy hipotezę, że epos o Gilgameszu dotarł od Sumerów do Egiptu za pośrednictwem Asyryjczyków i Babilończyków, zaś młody Mojżesz odkrył go i przystosował do swoich celów. Wówczas jednak sumeryjska, a nie biblijna opowieść o potopie byłaby autentyczna...

Czy nie wolno stawiać takich pytań? Wydaje się nam, że tradycyjna metoda badania prehistorii znalazła się w martwym punkcie i nie jest w stanie przynieść trafnych i niepodważalnych wyników. Za bardzo jest związana z obowiązującym paradygmatem, w rezultacie czego brakuje już miejsca na fantazje i spekulacje, a tylko one mogłyby przydać jej twórczego impulsu.

Wiele inicjatyw badawczych na starożytnym Wschodzie upadło ze względu na przekonanie o nienaruszalności i świętości ksiąg Biblii. Zabrakło odwagi, aby zakwestionować tabu i głośno wyrazić wątpliwości. Tak

oświeceni rzekomo badacze XIX i XX wieku byli duchowo skrępowani więzami starych, liczących tysiące lat błędów. Rzetelne badanie przeszłości musiałoby bowiem zakwestionować niektóre informacje z Biblii. Przy tym nawet bardzo religijni chrześcijanie zrozumieliby, że wiele z opisanych w Starym Testamencie spraw absolutnie nie da się pogodzić z ideą dobrego, wielkiego i wszechobecnego boga. Właśnie ludzie pragnący zachować nienaruszalność idei religijnych Biblii muszą lub powinni być zainteresowani wyjaśnieniem, kto wychował ludzi w starożytnych czasach, przekazał im pierwsze zasady współżycia społecznego, przybliżył zasady higieny i wreszcie kto skazał na zagładę osobniki zdegenerowane.

Nasz sposób myślenia i stawiane pytania nie znaczą, iż jesteśmy bezbożnikami. Wyrażamy głębokie przekonanie, że kiedy ostatnia zagadka naszej przeszłości doczeka się prawdziwego i przekonywającego wyjaśnienia, to w nieskończoności pozostanie jeszcze COŚ, co z braku lepszego określenia nazywamy BOGIEM.

Jednak przypuszczenie, iż niewyobrażalny Bóg potrzebował jako środka komunikacji pojazdów z kołami i skrzydłami, wchodził w związki z prymitywnymi ludźmi i nie pozwalał odsłonić swej twarzy pozostaje — dopóki nie ma na to dowodów — niesłychanym nadużyciem. Odpowiedź teologów, że Bóg jest mądry i nie możemy mieć pojęcia, w jaki sposób zechce się objawić i uczynić ludzi sobie poddanymi, nie leży w dziedzinie naszych dociekań i jest

niezadowalająca. Istnieje tendencja do zamykania oczu także na nowe fakty, jednak każdego kolejnego dnia przyszłość odsłania nieco naszą przeszłość.

Mniej więcej za dwanaście lat pierwsi ludzie wylądują na Marsie. Jeśli znajdzie się tam jedna jedyna prastara, dawno już opuszczona budowla albo choćby jeden przedmiot wskazujący na pochodzenie od istot rozumnych, na przykład jakieś nieznane malowidło naskalne, to znaleziska te zakwestionują nasze religie i wywrócą do góry nogami całą wiedzę o przeszłości. Jedno takie odkrycie zapoczątkuje największą rewolucję i reformację w dziejach ludzkości.

Czy w związku z nieuniknioną konfrontacją z przyszłością nie byłoby mądrzej zastanowić się nad pełnymi fantazji ideami z naszej przeszłości? Choć w żadnym wypadku nie pozbawieni wiary, nie możemy sobie jednak pozwolić na łatwowierność. Każda religia ma pewien obraz swego boga i wyobrażenie to wyznacza ramy, w jakich wyznawcy myślą i wierzą. Tymczasem wraz z erą lotów kosmicznych coraz bardziej zbliża się do nas dzień Sądu Ostatecznego. Teologiczne chmury ulotnią się jak strzępy mgły. Pierwszy decydujący krok w Kosmosie uświadomi nam, że nie ma dwóch milionów bogów, ani dwudziestu tysięcy kultów, ani dziesięciu wielkich religii, lecz tylko jedna.

Rozwijajmy jednak dalej naszą hipotezę utopijnej przeszłości rodzaju ludzkiego! Wyglądałaby ona następująco: W zamierzchłych, trudnych jeszcze do określenia czasach

obcy statek kosmiczny odkrył naszą planetę. Jego załoga szybko stwierdziła, że Ziemia ma wszelkie warunki dla powstania istot rozumnych. Rzecz jasna ówczesny „człowiek" nie należał jeszcze do gatunku Homo sapiens, lecz był jakąś inną istotą...

Kosmici sztucznie zapłodnili kilka żeńskich istot, wprowadzili je — jak opowiadają stare legendy — w stan głębokiego snu i odjechali. Wróciwszy po tysiącach lat zastali pojedyncze egzemplarze gatunku Homo sapiens. Kilkakrotnie powtarzali zabieg uszlachetniania rasy, aż w końcu narodziły się istoty o inteligencji na tyle rozwiniętej, że można je było nauczyć zasad życia społecznego. Jednak ludzie nadal byli barbarzyńcami. Istniało niebezpieczeństwo uwstecznienia gatunku i ponownego krzyżowania się ze zwierzętami. W tej sytuacji kosmici zniszczyli nieudane osobniki albo wzięli je ze sobą, by osadzić na innych kontynentach. Zaczęły powstawać pierwsze grupy społeczne i wykształcały się pierwsze umiejętności: malowano ściany skał i jaskiń, wynaleziono garncarstwo, powodzeniem zakończyły się pierwsze próby architektoniczne.

Pierwsi ludzie mieli niesłychany respekt przed obcymi kosmonautami, którzy przybywali znikąd a potem gdzieś znikali i dlatego zostali uznani za „bogów". Z nieznanego powodu „bogowie" byli zainteresowani rozwojem istot rozumnych. Opiekowali się wyhodowanymi podopiecznymi, chronili ich przed degeneracją i nie dopuszczali do nich zła. Chcieli wdrożyć te prymitywne istoty na tory pozytywnej

ewolucji. Nieudane osobniki eliminowali w trosce o to, aby pozostali mogli stworzyć zdolne do rozwoju społeczeństwo.

Zgadzamy się, że spekulacje te tworzą konstrukcję o wielu lukach. „Nie ma dowodów" — powiedzą nam. Ile z tych luk zostanie wypełnionych, pokaże przyszłość. Nasza książka stawia tylko zbudowaną z wielu spekulacji hipotezę, która w żadnym wypadku nie musi być „prawdziwa". Jednak porównując ją z teoriami, dzięki którym wiele religii żyje wygodnie pod osłoną swych tabu, skłonni jesteśmy także dla naszej hipotezy upomnieć się o minimalny choćby stopień prawdopodobieństwa.

Nie zaszkodzi chyba powiedzieć w tym miejscu paru słów o „prawdzie". Uwagi te dotyczą nie tylko chrześcijan, lecz w równym stopniu wyznawców innych wielkich i małych religii. Teozofowie, teolodzy i filozofowie zastanawiając się nad swoimi naukami, nad swoim mistrzem i jego nauką są przekonani, że znaleźli „prawdę". Oczywiście każda religia ma swoje dzieje i dane przez boga obietnice, ma własne układy z bogiem, ma jego proroków i swoich mądrych „ojców Kościoła", którzy powiedzieli, że... Dowody „prawdy" wywodzą się zawsze z istoty własnej religii. Wynikiem tego jest skrępowany światopogląd, w którego ramach od wczesnego dzieciństwa uczeni jesteśmy myśleć i wierzyć w taki, a nie inny sposób. Całe pokolenia żyły i żyją jednak w przekonaniu, że posiadły „prawdę".

Jesteśmy bardziej skromni i uważamy, że „prawdy" nie można mieć. W najlepszym wypadku można w nią wierzyć. Ktoś, kto rzeczywiście szuka prawdy, nie może jej poszukiwać tylko w obrębie własnej religii. Czy nie byłoby to nieuczciwe? Czy sensem i celem życia jest wiara w „prawdę", czy jej szukanie? Nawet jeśli archeologia potwierdzi w Mezopotamii informacje Starego Testamentu, to przecież tak zaświadczone fakty nie stanowią jeszcze dowodów na prawdziwość religii. Odkrycie gdzieś prastarych miast, wsi, studni czy pism potwierdza, że dzieje danego ludu są autentyczne. Ale nie oznacza to automatycznie, że bóg tego ludu był jedyną istotą boską, a nie przybyszem z Kosmosu.

Współczesne wykopaliska na całym świecie świadczą o zgodności przekazów literackich z odkrywanymi faktami. Czy jednak na podstawie wykopalisk choć jeden wyznawca na przykład chrześcijaństwa byłby skłonny uznać bóstwo preinkaskiej cywilizacji za „prawdziwego" boga? Uważamy po prostu, iż wszystkie przekazy są mitami lub pogłosem wydarzeń przeżytych przez dany lud. Niczym więcej, ale jest to, jak sadzimy, i tak bardzo dużo.

Kto zatem rzeczywiście szuka prawdy, nie może odrzucać nowych i śmiałych, choć nie dowiedzionych jeszcze tez tylko dlatego, że nie pasują one do jego schematu myślowego lub religijnego. Sto lat temu nie było problemu lotów kosmicznych i co za tym idzie nasi ojcowie i dziadkowie nie mieli powodu zastanawiać się, czy nasi dalecy przodkowie doświadczyli odwiedzin z Kosmosu. Przyjmijmy

straszne, ale niestety możliwe założenie, iż nasza obecna cywilizacja zostałaby całkowicie zniszczona przez wojnę jądrową. 5000 lat później archeolodzy znaleźliby fragmenty nowojorskiej Statui Wolności. Zgodnie z obowiązującym dzisiaj schematem przyszli badacze powinni utrzymywać, że chodzi o jakąś nieznaną istotę boską — prawdopodobnie bóstwo ognia (z powodu pochodni) lub bóstwo słoneczne (z powodu promieni wokół głowy posągu). Pozostając przy obecnych schematach nikt nie odważyłby się powiedzieć, iż może chodzić o rzecz całkiem prostą, mianowicie o posąg wolności.

Blokowanie dróg do przeszłości przez dogmaty wiary jest już niemożliwe.

Jeśli chcemy podjąć trud poszukiwania prawdy, musimy zdobyć się na wielką odwagę, opuszczając dotychczasowe koleiny myślenia i od początku poddając w wątpliwość wszystko, co przyjmowaliśmy za słuszne i prawdziwe. Czy możemy pozwolić sobie na zamykanie oczu i zatykanie uszu, ponieważ nowe myśli wydają się heretyckie i nierozsądne?

Przecież myśl o lądowaniu na Księżycu była przed 50 laty też z całą pewnością nierozsądna.

Rozdział VI

Wszyscy dawni pisarze mieli tę samą zwariowaną fantazję? — Kolejne „rydwany niebiańskie" — Wybuch bomby wodorowej w starożytności? — W jaki sposób bez teleskopu odkryto planety? — Osobliwy kalendarz według Syriusza — Na Północy bez zmian — Gdzie były stare księgi? — Wspomnienia o nas w roku 6965 — Co zostanie po nas po totalnej zagładzie?

Nasze dotychczasowe uwagi i obserwacje prowadzą do wniosku, że w czasach starożytnych występowały zjawiska, których zgodnie z utartymi poglądami nie powinno było być. Jednak nasz kolekcjonerski zapał nie kończy się na zgromadzonym dotąd materiale.

Także mity Eskimosów podają, że pierwsze plemiona zostały przyniesione na północ przez „bogów" o spiżowych skrzydłach! Najstarsze legendy Indian mówią o grzmiącym ptaku, który dał im ogień i płody rolne. Wreszcie mitologia Majów, Popol Vuh, przekazuje, że „bogowie" wiedzieli o wszystkim: o Wszechświecie, czterech stronach świata, a nawet o kulistym kształcie Ziemi.

Skąd wzięły się eskimoskie fantazje o metalowych ptakach? Dlaczego Indianie mówią o jakimś grzmiącym ptaku? Skąd przodkowie Majów mieliby wiedzieć, że Ziemia jest kulista?

Majowie byli ludem wykształconym, dysponowali wysoko rozwiniętą kulturą. Pozostawili w spadku nie tylko legendarny kalendarz, lecz również niewiarygodne obliczenia. Znali rok wenusjański o 584 dniach, a długość roku ziemskiego obliczyli na 365,2420 dni, podczas gdy współczesny dokładny pomiar wynosi 365,2422! Majowie przekazali nam obliczenia sięgające 64 milionów lat, zaś w późniejszych zapisach posługiwali się nawet jednostkami czasu sięgającymi prawdopodobnie 400 milionów lat. Słynne „równanie Wenus" mogłoby równie dobrze być wynikiem pracy mózgu elektronicznego. Trudno doprawdy pojąć, że pochodzi ono od ludu zamieszkującego dżunglę! Równanie Wenus przedstawia się następująco:

Tzolkin ma 260 dni, rok ziemski — 365, a rok wenusjański — 584 Cyfry te kryją zadziwiającą podzielność: 365 dzieli się pięć razy, zaś 584 — osiem razy przez 73.

Oto postać tego zadziwiającego wzoru:

(Księżyc) 20 x 13 x 2 x 73 = 260 x 2 x 73 = 37 960

(Słońce) 8 x 13 x 5 x 73 = 104 x 5 x 73 = 37 960

(Wenus) 5 x 13 x 8 x 73 = 65 x 8 x 73 = 37 960

Po 37 960 dniach zatem wszystkie te cykle się zbiegają. Zgodnie z mitologią „bogowie" mieliby udać się wówczas na wielki odpoczynek.

Preinkaskie ludy przekazywały w swoich podaniach o bogach, że gwiazdy były zaludnione, a „bogowie" przybywali do nich z gwiazdozbioru Plejad. Pisma sumeryjskie, asyryjskie, babilońskie i egipskie przedstawiają zawsze ten sam obraz. „Bogowie" przybywali z gwiazd i wracali na nie, podróżowali po niebie statkami ognistymi lub barkami, posiadali niezwykłą broń, a poszczególnym ludziom obiecywali nieśmiertelność.

Jest całkowicie zrozumiałe, że dawne ludy poszukiwały bogów na niebie i puszczały wodze fantazji, aby jak najwspanialej przedstawić niepojęte zjawiska. Nawet jeśli weźmiemy to wszystko pod uwagę, pozostaje jednak zbyt dużo niespójności.

Skąd na przykład autorzy Mahabharaty wiedzieli, że może być broń, która potrafi ukarać kraj dwunastoletnią suszą? Broń dostatecznie potężna, by unicestwić płody w łonie matek? Indyjski epos Mahabharata jest obszerniejszy niż Biblia i nawet według ostrożnych szacunków powstał w swym trzonie co najmniej przed 5000 lat. W pełni opłaca się przeczytać to dzieło pod nowym kątem widzenia.

Już prawie nie jesteśmy w stanie dziwić się, gdy z Ramajany dowiadujemy się, iż wimany, czyli latające maszyny poruszały się na znacznych wysokościach wykorzystując rtęć i wielki „wiatr napędowy". Wimany były w stanie przemierzać nieskończone odległości, Jeździć z dołu do góry, z góry na dół i z tyłu do przodu. Zaiste godna

pozazdroszczenia sterowność statków kosmicznych! Naszcytat pochodzi z tłumaczenia dokonanego przez N, Dutta (England, 1891):

Z rozkazu Ramy wspaniały wóz wzniósł się z wielkim hałasem na górę chmur..."

Zwróćmy uwagę, że mowa jest znowu nie tylko o latającym obiekcie, lecz że kronikarz mówi też o ogromnym hałasie. A oto inny fragment z Mahabharaty:

„Bhima leciał w swojej wimanie na niezwykłym promieniu, który miał blask Słońca i którego hałas przypominał grzmot burzy" (C. Roy, 1889).

Jednak także fantazja potrzebuje jakichś podstaw. Jakim sposobem kronikarz mógł przedstawić coś, co sugeruje wyobrażenie o rakietach, i wiedział, że taki pojazd może kursować ,,na promieniu", powodując niesamowity hałas?

W Samsaptakabadha odróżnia się wozy latające od takich, które nie mają tej zdolności. Pierwsza księga Mahabharaty zdradza intymną historię niezamężnej Kunti. W wyniku odwiedzin Boga Słońca zrodziła ona syna, podobno równie jak Słońce olśniewającego. Ponieważ Kunti obawiała się — już w owych czasach! — hańby, włożyła dziecko do koszyka, który puściła z prądem rzeki. Pewien dzielny mąż o imieniu Adhirata z kasty Suta wyłowił koszyczek z wody i zajął się wychowaniem dziecka. Historia nie byłaby może godna wspominania, gdyby nie była tak bardzo podobna do

losów Mojżesza. Po raz kolejny pojawia się też ciągle obecny motyw zapładniania ludzi przez „bogów". Bohater Mahabharaty Ardżuna podejmuje, podobnie jak Gilgamesz, daleką podróż, aby odnaleźć bogów i wyprosić u nich broń. Kiedy po licznych niebezpieczeństwach znalazł ich wreszcie, spotkał się z nim osobiście sam Indra, pan niebios, u boku swej małżonki Sachi. Obydwoje gościnnie przyjęli dzielnego Ardżunę nie byle gdzie, bo w niebiańskim rydwanie, i zaprosili go nawet do wspólnej przejażdżki po niebie.

W Mahabharacie znajdują się tak dokładne dane liczbowe, że powstaje wrażenie, iż autor całkiem dokładnie wiedział, o czym pisze. Pełen zgrozy opisywał broń, która była w stanie zabić wszystkich wojowników, noszących na sobie kawałki metalu. Jeśli żołnierze dostatecznie szybko zorientowali się, że została użyta, zrywali z siebie natychmiast wszystkie metalowe przedmioty, wskakiwali do rzeki, myli dokładnie ciało i wszystkie rzeczy, których dotykali. Mieli ku temu, jak pisze autor, dostateczne powody, gdyż pod wpływem broni wypadały włosy i odpadały paznokcie u palców rąk i nóg. Wszystkie żywe istoty, ubolewał autor, stawały się blade i słabe.

W księdze ósmej ponownie spotykamy Indrę w jego niebiańskim promienistym wozie. Spośród wszystkich ludzi wybrał on Judhiszthire, któremu jako jedynemu wolno było wstąpić do nieba w śmiertelnej powłoce. I w tym wypadku nie da się przeoczyć podobieństwa do opowiadań o Henochu i Eliaszu.

Ta sama księga opisuje (co jest być może pierwszym sprawozdaniem z wybuchu bomby wodorowej), jak Gurkha zrzucił z pokładu potężnej wimany jeden jedyny pocisk na potrójne miasto. Sprawozdanie to przypomina znane relacje naocznych świadków zdetonowania pierwszej bomby wodorowej. Żarzący się biało dym dziesięć tysięcy razy jaśniejszy od Słońca wzniósł się w niesamowitym blasku i zamienił miasto w popioły. Po wylądowaniu Gurkhi jego pojazd przypominał świecący blok antymonu. Z kolei filozofów zainteresuje, że w Mahabharacie zapisano, iż czas jest nasieniem Wszechświata...

O prehistorycznych maszynach latających wspominają także księgi tybetańskie Tandżur i Kandżur, które nazywają je „perłami nieba". Obie księgi podkreślają wyraźnie, że jest to wiedza tajemna, nie przeznaczona dla ogółu. W Samarangana Sutradhara są całe rozdziały opisujące statki powietrzne, z których wydobywał się ogień i rtęć.

Słowo „ogień" w dawnych pismach nie musiało wcale oznaczać otwartego, płonącego ognia, gdyż w sumie można wyróżnić około 40 rodzajów „ognia", odnoszących się głównie do zjawisk elektrycznych i, magnetycznych. Z dużym trudem przychodzi nam uwierzyć, aby dawne ludy mogły wiedzieć o możliwości pozyskiwania energii z metali ciężkich i znać na to sposób. Nie wolno zarazem iść na łatwiznę, zbywając stare teksty sanskryckie jako mity! Duża liczba przytoczonych już fragmentów starych pism pozwala przekształcić prawie w pewność przypuszczenie, że w

starożytności spotykano latających „bogów". Nie zajdziemy daleko stosując starą, nadal niestety obowiązującą metodę, zgodnie z którą „tego nie ma, to błędne poglądy, to pełna fantazji przesada autorów lub kopistów". Musimy prześwietlić gąszcz skrywający naszą przeszłość przy pomocy nowego sposobu myślenia, który uwzględnia zdobytą w naszych czasach wiedzę techniczną. Fenomen statków kosmicznych w zamierzchłej przeszłości i sprawa często opisywanej straszliwej broni, z której bogowie robili użytek przynajmniej jeden raz w każdym z tekstów, oczekują na przekonywające wyjaśnienie. Tekst Mahabharaty zmusza do zastanowienia: „Było tak, jakby rozpuszczono żywioły. Słońce wirowało. Świat osmalony żarem broni zataczał się jak w gorączce. Poparzone słonie pędziły dziko we wszystkie strony świata, szukając schronienia przed straszliwą mocą. Woda zrobiła się gorąca, zwierzęta zdychały, wróg został zmieciony, a szalejący ogień obalał drzewa całymi szeregami, jak podczas pożaru lasu. Słonie przerażająco ryczały i padały martwe na ziemię w całej okolicy. Konie i rydwany płonęły i wszystko wyglądało, jak po pożarze. Tysiące wozów uległo zniszczeniu, a następnie nad morzem położyła się głęboka cisza. Zaczęły wiać wiatry i ziemia rozjaśniła się, ukazując przerażający widok. Zwłoki poległych zniekształcone ogniem nie były już podobne do ludzi. Nigdy przedtem nie widzieliśmy takiej straszliwej broni i nigdy przedtem o takiej broni nie słyszeliśmy" (C. Roy, DronaParwa, 1889).

Ci, którym udało się ujść, czytamy dalej, kąpali się, myli swoje zbroje i broń, gdyż wszystko obłożone było śmiertelnym tchnieniem „bogów". Jak to było w eposie o Gilgameszu? „Czy dosięgło cię może trujące tchnienie zwierzęcia z nieba?"

Alberto Tulli, były kierownik Galerii Sztuki Egipskiej w Muzeum Watykańskim, odnalazł fragment opisu z czasów Tutmosisa III, który żył ok. 1500 roku przed Chrystusem. Napisano tam, że uczeni w piśmie zobaczyli na niebie zbliżającą się kulę ognistą, której oddech miał przykry zapach. Tutmosis i jego żołnierze obserwowali to widowisko, zanim kula nie uniosła się w kierunku południowym i nie zniknęła.

Wszystkie cytowane teksty pochodzą z tysiącleci przed naszą erą, a ich autorzy żyli na różnych kontynentach, w różnych kulturach i wyznawali odmienne religie. Nie znano jeszcze agencji informacyjnych, a podróże międzykontynentalne nie były na porządku dziennym. Mimo to analogiczne przekazy pochodzą ze wszystkich czterech stron świata i z niezliczonych źródeł, które podają prawie to samo. Czy autorzy mieli te same fantazje? Czy wszystkich ich wręcz maniakalnie prześladowały te same wyobrażenia? Jest niemożliwe i trudne do pomyślenia, aby autorzy Mahabharaty, Biblii, eposu o Gilgameszu, legend Eskimosów, Indian, ludów Północy, Tybetańczyków i wielu, wielu innych dzieł opowiadali przypadkowo i bez żadnych podstaw te same historie o latających „bogach", o dziwnych pojazdach z nieba i związanych z tymi zjawiskami straszliwych katastrofach.

Żadna fantazja nie może być w takim stopniu uniwersalna. Prawie jednakowo brzmiące opisy mogą mieć za podstawę tylko fakty, a więc prehistoryczne wydarzenia. Informowano w nich po prostu o tym, co swego czasu można było zobaczyć. Choćby reporter z zamierzchłej przeszłości nie wiem jak koloryzował swe sprawozdania — a pod tym względem niewiele się zmieniło — to rdzeniem wszystkich relacji jest — podobnie jak dzisiaj — fakt, precyzyjnie przedstawione wydarzenie. To ostatnie nie mogło zostać wymyślone w tak wielu miejscach i w różnych czasach.

Odwołajmy się do przykładu. W afrykańskim buszu po raz pierwszy ląduje helikopter. Żaden tubylec nie widział jeszcze takiego urządzenia. Maszyna osiada z wielkim hukiem na polanie i wyskakują z niej piloci w ubraniach bojowych, w kaskach ochronnych i z karabinami maszynowymi. Dziki człowiek w przepasce na biodrach stoi oszołomiony i przerażony przed obiektem, który przyleciał z nieba, i przed nieznanymi mu „bogami". Po pewnym czasie helikopter wznosi się i znika w przestworzach.

Pozostawiony samemu sobie, człowiek pierwotny musi jakoś poradzić sobie z tym doświadczeniem. Opowie innym, nieobecnym wtedy współplemieńcom, że widział ptaka, pojazd z nieba, który hałasował i śmierdział, istoty, które miały białą skórę i nosiły broń plującą ogniem. Niezwykłe odwiedziny zostaną utrwalone po wsze czasy i przekazane następnym pokoleniom. Kiedy ojciec będzie opowiadał o nich synowi, to ptak z nieba nie będzie oczywiście mniejszy niż w

rzeczywistości, zaś istoty, które z niego wysiadły, będą z czasem coraz bardziej osobliwe, wspaniałe i potężne. To i owo zostanie jeszcze dodane. Warunkiem powstania tej ciekawej historii był jednak autentyczny fakt lądowania helikoptera. Maszyna wylądowała na polanie w buszu i wyskoczyli z niej piloci. Odtąd wydarzenie to istnieje już w mitologii plemienia i należy do niej.

Pewnych rzeczy nie da się wymyśleć. Nie szperalibyśmy w naszej prehistorii w poszukiwaniu kosmitów i samolotów, gdyby o zjawiskach tych opowiadały dwie lub trzy stare księgi. Skoro jednak prawie wszystkie teksty dawnych ludów całego świata opowiadają to samo, musimy spróbować wyjaśnić tkwiącą w tych relacjach obiektywną prawdę.

„Synu człowieczy! Mieszkasz pośród domu przekory, który ma oczy, by widzieć, a jednak nie widzi, ma uszy, by słyszeć, a jednak nie słyszy" (Ez. 12, 1).

Wiemy, że wszyscy bogowie sumeryjscy mieli swe odpowiedniki w określonych gwiazdach. Marduk, czyli Mars, najwyższy z bogów, miał podobno posąg z czystego złota ważący osiemset talentów, co odpowiadałoby, jeśli wierzyć Herodotowi, figurze o wadze 24 000 kg czystego złota. Ninurta, czyli Syriusz, był sędzią Wszechświata, ferującym wyroki w sprawach śmiertelników. Znaleziono tabliczki pokryte pismem klinowym, poświecone Marsowi, Syriuszowi i Plejadom. Sumeryjskie hymny i modlitwy ustawicznie

wspominają o uzbrojeniu bogów, którego kształt i działanie musiały być całkowicie niedorzeczne dla ludzi owej epoki. Pieśń pochwalna na cześć Martu opisuje, jak spuścił on ogień niczym deszcz, a swych wrogów zniszczył świecącym piorunem.

Inanna ukazana jest, jak wznosi się do nieba, promieniuje straszliwym, oślepiającym blaskiem i niszczy domy wroga. Znaleziono rysunki i nawet model siedliska, mogącego przypominać schron przeciwatomowy: okrągłe, masywne, z jednym tylko dziwnie obramowanym otworem. Z tej samej epoki, około 3000 lat prz. Chr., archeolodzy znaleźli zaprzęg przedstawiający wóz i woźnicę oraz dwóch zmagających się sportowców — całość nienagannie wykonana. Sumerowie, jak dowiedziono, perfekcyjnie władali rzemiosłem. Dlaczego modelowali toporny „bunkier", skoro wykopaliska w Babilonie lub Uruk wydobyły na światło dzienne o wiele bardziej wyrafinowane dzieła? Dopiero jakiś czas temu w mieście Nippur — 150 kilometrów na południe od Bagdadu — znaleziono sumeryjską bibliotekę składającą się z 60 000 zapisanych glinianych tabliczek. Dzięki temu posiadamy najstarszy opis potopu, wyryty na sześcioszpaltowej tabliczce. Pięć miast wymienionych na tabliczkach jest znanych: Eridu, Badtibira, Larak, Sitpar i Szuruppak, z których dwa nie zostały do tej pory odkryte. Na najstarszych odczytanych dotąd tabliczkach sumeryjski Noe nazywa się Ziusudra. Miał mieszkać w Szuruppak i tam też zbudować swą arkę. Dysponujemy zatem jeszcze starszym

opisem potopu, niż ten znany z eposu o Gilgameszu. Nikt nie wie, czy nowe znaleziska nie dostarczą jeszcze starszych wersji. Ludzie starych kultur wydawali się jakby opętani ideą nieśmiertelności i ponownych narodzin. Służba i niewolnicy najwyraźniej dobrowolnie kładli się do grobu swych panów. W grobowcu z Schub-At leżało obok siebie nie mniej niż 70 porządnie poukładanych szkieletów. Nie wykazując najmniejszych oznak ewentualnego przymusu, ludzie ci w pozycji siedzącej lub leżącej oczekiwali w swoich bajecznie kolorowych szatach na śmierć, która musiała przyjść szybko i bezboleśnie, być może pod wpływem trucizny. Z niezachwianą pewnością będą wyczekiwać nowego życia ze swymi panami „po tamtej stronie". Kto jednak przybliżył pogańskim ludom ideę ponownych narodzin?

Nie mniej pogmatwany jest świat egipskich bogów. Również prastare teksty ludów mieszkających nad Nilem mówią o potężnych istotach, które w barkach przemierzają nieboskłon. Pewien tekst, poświecony bogu Słońca Re, głosi:

„Ty wędrujesz pomiędzy gwiazdami i Księżycem, Ty ciągniesz statek Atona po niebie i na Ziemi, jak niestrudzenie obiegające gwiazdy, jak gwiazdy nie zachodzące nad Biegunem Północnym".

A oto jeszcze napis na piramidzie:

„Ty jesteś tym, kto stoi u steru statku słonecznego przez miliony lat".

Nawet uwzględniając, że starożytni Egipcjanie byli wysokiej klasy rachmistrzami, to jest jednak dziwne, iż w związku z gwiazdami i statkiem niebiańskim operowali milionami lat. Co powiada Mahabharata? „Czas jest nasieniem Wszechświata."

Prabóg Ptah przekazał w Memfisie królowi dwa wzorce obchodów jubileuszy panowania z poleceniem, aby świętować je sześć razy po sto tysięcy lat. Czy trzeba jeszcze wspominać, że zanim prabóg Ptah wręczył królowi wzorce, ukazał mu się w połyskującym niczym tarcza słoneczna wozie niebiańskim z elektronu, a potem zniknął w nim na horyzoncie? W Edfu znajdują się jeszcze dzisiaj nad drzwiami świątyń wyobrażenia uskrzydlonego Słońca albo szybującego sokoła opatrzonego symbolami wieczności i nieskończonego życia. W żadnym znanym dotychczas miejscu świata nie zachowało się tak wiele przedstawień uskrzydlonych postaci boskich, jak właśnie w Egipcie.

Każdy turysta zna wyspę Elefantynę ze słynnym nilometrem w Asuanie. Już najstarsze pisma nazywają tę wyspę Elefantyną z uwagi na jej zarys przypominający sylwetkę słonia. To się zgadza, gdyż wyspa istotnie wygląda jak słoń. Ale skąd wiedzieli o tym starzy Egipcjanie, skoro kształty te można rozpoznać dopiero z dużej wysokości, z samolotu? Nie ma przecież w pobliżu żadnego wzniesienia, z którego widok na wyspę pozwoliłby na takie porównanie!

Inskrypcja odkryta już dosyć dawno na jednym z budynków w Edfu informuje, że budowla ta jest pozaziemskiego pochodzenia, gdyż zaprojektował ją Imhotep — człowiek później ubóstwiony. Imhotep był bardzo tajemniczą i wybitną postacią, jakby Einsteinem swojej epoki. Był kapłanem, pisarzem, medykiem, architektem i mędrcem zarazem. W dawnych czasach, w epoce Imhotepa ludzie dysponowali do obróbki kamienia — zdaniem archeologów — tylko drewnianymi klinami i narzędziami z miedzi, które nie nadają się do ciecia bloków granitowych. Nie przeszkodziło to jednak mądremu Imhotepowi w wybudowaniu dla swego króla Dżosera schodkowej piramidy w Sakkarze! Wysoka na 60 metrów budowla jest tak wybitnym dziełem sztuki budowlanej, że w późniejszych czasach doczekała się tylko niedoskonałych imitacji. Imhotep nazwał ten architektoniczny klejnot, otoczony murem o wysokości 10 i długości 1600 metrów, „Przybytkiem Wieczności" i kazał się w nim pochować, aby powracający bogowie mogli go ponownie zbudzić do życia.

Wiadomo, że wszystkie piramidy zostały wzniesione według zasad astronomicznych. Czy okoliczność ta nie wydaje się cokolwiek dziwna, jeśli uwzględnić, że o staroegipskiej astronomii na dobrą sprawę niczego nie wiemy? Syriusz był jedną z niewielu gwiazd, którymi zajmowali się starożytni Egipcjanie. Ale właśnie zainteresowanie Syriuszem wydaje się dosyć zabawne, gdyż gwiazdę tę można obserwować w Memfisie tylko na początku wylewu Nilu, kiedy o świcie

ledwo unosi się nad horyzontem. Aby sprawa była jeszcze bardziej zagmatwana, Egipcjanie dysponowali dokładnym kalendarzem — 4221 lat przed naszą erą! — który za punkt wyjścia przyjmował wschód Syriusza (pierwszy Tot = 191ipca) i podawał cykle roczne od przeszło 32 000 lat.

Można się zgodzić, że dawnym astronomom nie brakowało czasu, by rokrocznie obserwować Słońce, Księżyc i inne gwiazdy, co w końcu pozwoliło im stwierdzić, iż po około 365 dniach wszystkie ciała niebieskie znajdują się znowu w tej samej pozycji. Czy nie jest jednak całkowicie sprzeczne z rozsądkiem, aby pierwszy kalendarz wyprowadzać właśnie od Syriusza, skoro łatwiej i dokładniej można byłoby to uczynić na podstawie Słońca i Księżyca? Przypuszczalnie kalendarz według Syriusza był w ogóle fikcyjnym tworem, dającym tylko jakieś chronologiczne przybliżenie, gdyż nigdy nie można było przewidzieć pojawienia się tej gwiazdy. Termin wylewu Nilu i tym samym wschód Syriusza na porannym horyzoncie były czystym przypadkiem. Nil nie wylewa każdego roku i nie każdy wylew następuje tego samego dnia. Skąd zatem kalendarz Syriusza? Czy jest o tym jakiś stary przekaz? Czy istnieje pismo lub przepowiednia, które kapłani skrzętnie ukrywali?

W grobowcu prawdopodobnie króla Udimu znaleziono naszyjnik ze złota oraz szkielet zupełnie nieznanego zwierzęcia. Skąd pochodzi to zwierzę? — Czym można wytłumaczyć, że Egipcjanie już w początkach pierwszej dynastii stosowali system dziesiętny? — Jak to możliwe, by w

tak zamierzchłych czasach powstała tak wysoko rozwinięta cywilizacja? — Skąd biorą się już na samym początku kultury egipskiej przedmioty z brązu i miedzi? — Kto przekazał Egipcjanom niewiarygodną znajomość matematyki i gotowe pismo?

Zanim zajmiemy się kilkoma monumentalnymi budowlami, które nasuwają bardzo wiele pytań, jeszcze raz krótki rzut oka na stare dzieła pisane:

Skąd pochodzi zadziwiająca inwencja autorów Baśni z 1001 Nocy? Skąd się wziął opis lampy, z której na życzenie przemawiał czarodziej?

Wytworem jakiej śmiałej fantazji było zaklęcie „Sezamie otwórz się!" -otwierające kryjówkę Ali Baby i jego rozbójników?

Dzisiaj, rzecz jasna, takie pomysły nas nie zaskakują, odkąd telewizor za naciśnięciem guzika dostarcza „mówiących obrazów". A od kiedy w każdym większym domu towarowym drzwi otwierają się dzięki fotokomórce, formuła „Sezamie otwórz się" nie stanowi już specjalnej zagadki. Dawni twórcy musieli mieć jednak tak niesamowitą wyobraźnie, że w porównaniu z nimi współcześni autorzy powieści science fiction produkują dziełka dosyć tandetne. Może jednak dawni pisarze posiłkowali się dla zapłodnienia fantazji czymś już gotowym, co było im znane, co widzieli i przeżyli?

W świecie legend i baśni trudniej uchwytnych kultur, dla których nie mamy żadnych stałych, materialnych punktów orientacyjnych, grunt zaczyna się już zupełnie chwiać i wszystko staje się jeszcze bardziej zagmatwane.

Podania islandzkie i staronorweskie też oczywiście znają „bogów" podróżujących po niebie. Bogini Freja miała służkę o imieniu Gna, którą wysyłała w obce światy na rumaku, unoszącym się powietrzu nad morzem i lądem, a którego zwano „rzucający kopytem". Pewnego razu Gna spotkała wysoko w przestworzach jakiegoś obco wyglądającego Wana. W pieśni Allvisa Ziemia, Księżyc i Wszechświat noszą różne nazwy w zależności od tego, czy mówią o nich ludzie, „bogowie", olbrzymi czy Aasowie. W jaki sposób — na Boga — ludzie w zamierzchłej przeszłości potrafili rozpatrywać jedną i tę samą rzecz z różnych punktów widzenia, skoro horyzont był tak bardzo ograniczony?

Choć uczony Sturluson zapisał norweskie i starogermańskie wedy, sagi i pieśni dopiero około 1200 r. po Chr., mają one kilka tysięcy lat. Bardzo często symbolem Ziemi jest w nich — co zaskakuje — tarcza lub kula, zaś Thor, najwyższy z bogów, ukazywany jest zawsze z miażdżącym młotem. Profesor Kühn reprezentuje pogląd, że słowo młot znaczy tyle co „kamień" i pochodzi z epoki kamiennej, a dopiero później zaczęło oznaczać młot z brązu lub żelaza, Zgodnie z tą tezą Thor i jego symboliczny młot muszą mieć bardzo odległą metrykę, sięgającą prawdopodobnie epoki kamienia. Słowo Thor w indyjskich, napisanych w sanskrycie

Wedach nazywa się „tanayitnu", co należałoby przetłumaczyć zgodnie ze znaczeniem jako „ten, który ciska gromy". Nordycki Thor, bóg nad bogami, jest panem germańskich Wanów, grasujących w przestworzach.

W dyskusji na temat nowych aspektów, jakie wnosimy do badań nad przeszłością, mógłby pojawić się zarzut, że nie należy wszystkich przekazanych tradycją wzmianek, wskazujących na zjawiska niebieskie, wiązać w jeden ciąg dowodów na loty kosmiczne w epoce prehistorycznej! W rzeczywistości wcale tego nie czynimy, gdyż zwracamy tylko uwagę na te fragmenty pradawnych pism, które nie pasują do dotychczasowych teorii. Wiercimy naszymi pytaniami w tych istotnie kłopotliwych miejscach, gdzie ani autor, ani tłumacz, ani kopiści nie mogli mieć pojęcia o dzisiejszym stanie nauki i wynikających z niego skutkach. Jesteśmy gotowi natychmiast uznać tłumaczenia za fałszywe, a odpisy za wysoce niedokładne, jeśli jednocześnie te rzekomo fałszywe i fantazyjnie podkoloryzowane przekazy nie będą traktowane jako w pełni wartościowe, skoro tylko dają się wtłoczyć w ramy jakiejś religii. Nie jest godne badacza, by odrzucał to, co nie pasuje do jego teorii, uznając tylko to, co potwierdza jego tezy. O ile bardziej dobitnie i wyraźnie przedstawiałyby się nasze tezy, gdyby stare pisma zostały przetłumaczone na nowo, z myślą o możliwości lotów kosmicznych! Nad Morzem Martwym znaleziono ostatnio — kontynujmy nasz wywód myślowy — zwoje z fragmentami tekstów apokaliptycznych i liturgicznych. W apokryfach Abrahama i

Mojżesza znowu pisze się o wozie niebiańskim z kołami, który pluje ogniem, natomiast podobnych wzmianek brakuje w etiopskiej czy słowiańskiej Księdze Henocha.

„Z tyłu za tymi istotami widziałem wóz, który miał ogniste koła, a wokół każdego koła pełno było oczu i na kołach spoczywał tron, a ten pokryty był ogniem, który naokoło niego płonął" (Apokryf Abrahama 18, 11/12)

Zgodnie z interpretacją profesora Scholema wozy i trony występujące w świecie mistyków żydowskich byłyby odpowiednikiem „pleromy" (pełni światła) — idei występującej w świecie mistyków hellenistycznych i wczesnochrześcijańskich. Jest to godna uwagi interpretacja, ale czy można ją przyjąć jako naukowo dowiedzioną? Wolno nam zadać proste pytanie, co byłoby w wypadku, gdyby niektórzy ludzie rzeczywiście widzieli tak często opisywane wozy ogniste? W zwojach z Qumran bardzo często stosowano pismo tajemne, a w dziele astrologicznym znalezionym wśród innych dokumentów w czwartej jaskini występowały nawet na przemian różne dukty pisma. Pewna astronomiczna obserwacja nosi tytuł: „Słowa człowieka rozumnego, skierowane do wszystkich synów Jutrzenki".

Co właściwie przemawia przeciwko temu, że w starych pismach opisano realnie istniejące wozy ogniste? Przecież nie tyleż płaskie, co mętne twierdzenie, że w starożytności nie mogło być wozów ognistych! Taka odpowiedź byłaby niegodna tych, których chcemy naszymi pytaniami nakłonić

do alternatywnego myślenia. W końcu nie tak dawno temu ludzie kompetentni utrzymywali, że z nieba nie mogą spadać kamienie (meteoryty), gdyż w niebie nie ma kamieni...

Jeszcze matematycy w XIX wieku dokonali — w owych czasach przekonywającego — obliczenia, że pociąg nigdy nie będzie mógł jeździć szybciej niż 34 kilometry na godzinę, gdyż przy większej prędkości wysysane byłoby z niego powietrze i tym samym pasażerowie musieliby się udusić... Niecałe 100 lat temu zostało „udowodnione", że przedmiot cięższy od powietrza nigdy nie będzie mógł latać.

Dział krytyki pewnej prestiżowej gazety zakwalifikował książkę Waltera Sullivana Sygnały ze Wszechświata do literatury z gatunku science fiction, stwierdzając, że niewątpliwie także w bardzo odległej przyszłości niemożliwe będzie dotarcie do gwiazd Epsilon Eridani lub Tau Ceti. Uznano, że ani przesunięcie czasu (zgodnie z teorią względności), ani zimowy sen astronautów pod wpływem dużego oziębienia ciała nigdy nie zdołają pokonać bariery niewyobrażalnych odległości.

Całe szczęście, że w przeszłości zawsze byli dostatecznie odważni fantaści, głusi na krytykę ze strony im współczesnych! Bez nich nie byłoby obejmującej cały świat sieci kolejowej, po której pociągi jeżdżą z prędkością 200 i więcej kilometrów na godzinę (uwaga: przy prędkości ponad 34 km/godz. pasażerowie umierają!), ...bez nich nie byłoby samolotów odrzutowych, gdyż te przecież „spadałyby na

ziemię" (uwaga: przedmioty cięższe od powietrza nie mogą latać!), ...w końcu nie byłoby też rakiet międzyplanetarnych (uwaga: człowiek nie może opuszczać swej planety!). Och, nie byłoby nieskończenie wielu rzeczy bez błogosławionych fantastów!

Pewna grupa badaczy chciałaby pozostać przy tak zwanych realiach, zapominając zbyt łatwo i zbyt chętnie, że to, co dzisiaj jest realne, jeszcze wczoraj mogło być utopijnym snem jakiegoś fantasty. Niemałą część wszystkich epokowych odkryć — w naszych czasach już oczywistych — zawdzięczamy szczęśliwym przypadkom, a nie systematycznie prowadzonym badaniom. Wielu wpisało się do księgi „poważnych fantastów", którzy swoimi śmiałymi spekulacjami pokonali hamujący wpływ uprzedzeń. Jedno jest pewne: każdego dnia coraz bardziej zbliżamy się do granic przyszłych możliwości. Heinrich Schliemann potraktował dzieło Homera niejako bajkę czy baśń i dzięki temu odkrył Troję!

Za mało wiemy jeszcze o naszej przeszłości, aby móc wydawać o niej ostateczne sądy! Nowe znaleziska mogą rozwiązać niesłychane zagadki, a lektura prastarych informacji może postawić na głowie cały świat dotychczasowych twierdzeń. Rozumiemy oczywiście, że stare księgi uległy w większości zniszczeniu. W Ameryce Południowej było podobno dzieło, które zawierało całą wiedzę starożytności, ale zostało ponoć zniszczone przez 63. władcę Inków Paczakuti IV. W bibliotece w Aleksandrii 500 000 tomów uczonego

władcy Ptolemeusza Sotera skrywało całą intelektualną spuściznę ludzkości. Bibliotekę zniszczyli po części Rzymianie, a pozostały księgozbiór kazał spalić — kilkaset lat później — kalif Omar. Niewyobrażalna jest wprost myśl, że niezastąpione, cenne manuskrypty służyły do palenia w publicznych łaźniach Aleksandrii!

Co pozostało z biblioteki świątyni w Jerozolimie? Co ostało się z biblioteki w Pergamonie, gdzie znajdowało się podobno 200 000 dzieł? Jakie skarby i tajemnice uległy zniszczeniu wraz z księgami historycznymi, astronomicznymi i filozoficznymi, unicestwionymi ze względów politycznych na rozkaz chińskiego cesarza Chi-Huanga w 214 r. p.n.e.? Ile tekstów kazał zniszczyć w Efezie po swym religijnym katharsis apostoł Paweł? Nie sposób wprost ogarnąć, jak niesłychane bogactwo dzieł ze wszystkich dziedzin wiedzy zaginęło dla nas raz na zawsze z powodu fanatyzmu religijnego! Ile tysięcy pism, których nie można już odtworzyć, kazali spalić mnisi i misjonarze pod wpływem ślepej i świętej gorliwości w Ameryce Południowej i Środkowej?

Wszystko to nastąpiło przed setkami i tysiącami lat. Czy ludzkość wyciągnęła z tego jakąś naukę? Kilkadziesiąt lat temu Hitler rozkazał palić książki w miejscach publicznych, a już w 1966 r. wydarzyło się to samo w Chinach podczas rewolucji kulturalnej Mao Tse-tunga. Na szczęście książki współczesne istnieją nie tylko w jednym egzemplarzu, jak to było przed wiekami.

WSPOMNIENIA Z PRZYSZŁOŚCI

Zachowane teksty i fragmenty dzieł przekazują nam sporo wiedzy o zamierzchłej przeszłości. We wszystkich epokach mędrcy wiedzieli, że przyszłość zawsze przynosi wojny i rewolucje, rozlew krwi i pożogę. Czy w związku z tym ukryli może przed motłochem tajemnice i przekazy swojej epoki w wielkich budowlach lub schowali je w bezpiecznym miejscu, chroniąc przed zniszczeniem? Czy ukryli informacje i komunikaty w piramidach, świątyniach lub posągach, względnie zostawili je jako szyfry, aby przetrwały burze dziejowe? Trzeba by to było sprawdzić, gdyż dalekowzroczni ludzie współcześni tak właśnie postępują z myślą o przyszłości.

Amerykanie zatopili w 1965 r. w ziemi Nowego Jorku dwie kapsuły tak zbudowane, aby aż do roku 6965 przetrzymały wszelkie kataklizmy, jakie mogą się na Ziemi wydarzyć. Kapsuły zawierają informacje, jakie chcemy przekazać przyszłym pokoleniom, żeby ci, którzy podejmą trud rozjaśnienia mroków okrywających przeszłość swoich przodków, dowiedzieli się, jak żyliśmy. Kapsuły są odlane z metalu twardszego od stali i mogą przetrwać bez szkody nawet eksplozję atomową. Obok „informacji z dnia" w kapsułach umieszczono także fotografie miast, statków, samochodów, samolotów i rakiet. Zawierają wzory metali i mas plastycznych, materiałów, włókien i tkanin, przekazują przyszłym pokoleniom takie przedmioty powszechnego użytku, jak monety, narzędzia i artykuły toaletowe, a na mikrofilmach są tam utrwalone książki z dziedziny

matematyki, medycyny, fizyki, biologii i astronautyki. Aby przesłanie w odległą, nieznaną przyszłość było pełne, do kapsuł dołączono wspaniale opracowany kod, dzięki któremu napisane i narysowane informacje będzie można przetłumaczyć na języki przyszłości.

Grupa inżynierów z Westinghouse-Electric wpadła na pomysł, aby podarować potomności bogato wyposażone kapsuły, a John Harrington wynalazł dla przyszłych pokoleń inteligentny system deszyfracji danych. Czy ludzie ci są nieszczęsnymi pomyleńcami? Fantastami? Jednak realizacja tej idei cieszy nas i uspokaja, gdyż oznacza ona, że są ludzie, którzy wybiegają myślą 5000 lat do przodu! Praca archeologów w odległej przyszłości nie będzie łatwiejsza niż w naszych czasach. Po atomowej pożodze na nic zdadzą się wszystkie biblioteki świata, a wszelkie osiągnięcia, z których jesteśmy tak dumni, nie będą warte złamanego szeląga, gdyż zginą, zostaną zniszczone lub rozbite na czynniki pierwsze. Fantazja i dzieło inżynierów z Nowego Jorku ma tym większe uzasadnienie, że wcale nie trzeba pożogi atomowej, by Ziemia uległa zniszczeniu. Przesunięcie osi ziemskiej o niewiele stopni przyniosłoby niesłychane powodzie, których nie dałoby się powstrzymać. W każdym wypadku pochłonęłyby one każde zapisane przez nas słowo. Kto jest na tyle arogancki, by utrzymywać, że dawni mędrcy nie mogli byli wpaść na tak dalekowzroczny pomysł, jak ludzie z Nowego Jorku?

Z całą pewnością stratedzy prowadzący wojnę atomową czy wodorową nie będą kierowali swej broni na Zulusów i

nieszkodliwych Eskimosów, lecz użyją jej przeciwko głównym ośrodkom cywilizacji. Radioaktywny chaos stanie się zatem udziałem społeczeństw przodujących, najwyżej rozwiniętych. Ocaleją przed zagładą zacofane kulturowo ludy, ludzie dzicy, prymitywni — wszyscy znacznie oddaleni od centrów cywilizacji. Nie byliby oni w stanie ani kontynuować naszej kultury, ani niczego o niej przekazać, gdyż w niej nie uczestniczyli. Nawet ludzie mądrzy albo po prostu idealiści, którzy zadaliby sobie trud uratowania podziemnej biblioteki, nie zdołaliby przez to niczego zrobić dla przyszłości. „Normalne" biblioteki zostałyby i tak zniszczone, a istoty prymitywne, którym udałoby się przeżyć, nic nie wiedziałyby o ukrytych, tajnych zasobach. Całe połacie kuli ziemskiej staną się gorejącymi pustyniami, gdyż długoletnie promieniowanie Roentgena zniszczy każdą roślinę. Ludzkie niedobitki ulegną przypuszczalnie mutacji i po dwóch tysiącach lat nic już nie pozostanie z upadłych miast. Przyroda z nieskrępowaną siłą będzie się wgryzać w ruiny, a zardzewiała stal f i żelazo rozpadną się w pył.

I wszystko mogłoby zacząć się od początku. Człowiek podejmie może swą przygodę na Ziemi po raz drugi lub trzeci. Niewykluczone, że ludzie znowu zbyt późno odkryją tajemnice starych pism i podań. 5000 lat po kataklizmie archeolodzy mogliby zatem twierdzić, że człowiek w XX wieku nie znał jeszcze żelaza, gdyż nawet po najdokładniejszym przekopaniu ziemi nie znaleźliby ze zrozumiałych względów ani jednego jego kawałka. O

ciągnących się kilometrami przeciwczołgowych zaporach z betonu wzdłuż granicy rosyjskiej powiedziano by, że są to niewątpliwie linie astronomiczne. Gdyby odkryto kasety z taśmami magnetofonowymi, nie wiedziano by, co z nimi począć, tym bardziej że nie odróżniano by taśm nagranych od czystych. A możliwe, iż zawierałyby one rozwiązanie bardzo wielu zagadek! Teksty mówiące o olbrzymich miastach, w których miały znajdować się domy wysokości kilkuset metrów, uznano by za niewiarygodne, gdyż takich miast nie mogło przecież być. Szyby londyńskiego metra staną się jakimś geometrycznym dziwactwem albo zadziwiająco dobrze przemyślanym systemem kanalizacyjnym. A potem może znowu pojawią się informacje z pradawnych czasów opisujące, jak ludzie latali na wielkich ptakach miedzy kontynentami i opowieści o dziwnych, plujących ogniem statkach, które znikały na niebie. Zostanie to zakwalifikowane jako mitologia, gdyż nie mogło przecież być ani tak dużych ptaków, ani plujących ogniem niebiańskich potworów.

Tłumacze z roku 7000 będą mieli kłopot: to, co odczytają z zachowanych fragmentów o wojnie światowej w XX wieku, zabrzmi całkowicie niewiarygodnie. Skoro jednak natrafią na dzieła Marksa lub Lenina, będzie można w końcu — co za ulga! — uczynić z dwóch arcykapłanów tej niezrozumiałej epoki centralny punkt jakiegoś obrządku religijnego.

Potomni będą mogli snuć wiele interpretacji, jeśli pozostanie po nas dostatecznie dużo punktów orientacyjnych.

5000 lat — to bardzo długi okres. Tylko dzięki czystemu kaprysowi przyrody obrobione bloki kamienia trwają 5000 lat, podczas gdy z najgrubszymi choćby szynami kolejowymi nie obchodzi się ona tak oględnie.

Na dziedzińcu pewnej świątyni w Delhi znajduje się — jak już pisaliśmy — zespawany z żelaznych części słup, który od prawie 2000 lat wystawiony na działanie czynników atmosferycznych nie wykazuje jednak żadnego śladu rdzy. Mamy oto przed sobą nieznany, starożytny stop żelazny, nie zawierający siarki ani fosforu. Być może słup został odlany przez dalekowzrocznych specjalistów swej epoki, którzy nie mieli środków na wzniesienie wielkiej budowli, a chcieli zostawić potomności w spuściźnie widoczny, odporny na działanie czasu pomnik swojej kultury?

To Jest wstydliwa sprawa, że w wysoko rozwiniętych minionych kulturach znajdujemy budowle, których nie umiemy imitować przy pomocy najnowocześniejszej techniki. Kamienne kloce spoczywają na

swoim miejscu i nie dają się usunąć poza nawias dyskusji. Ponieważ nie może być tego czego być nie powinno, szuka się gorączkowo „rozsądnych" wyjaśnień. Odłóżmy zatem końskie okulary i weźmy udział

w poszukiwaniach...

Rozdział VII

Parkiet dla olbrzymów? — Z czego żyli starożytni Egipcjanie? — Czy Cheops był oszustem? — Dlaczego piramidy stoją tam, gdzie stoją? — Zwłoki żyjące dzięki zamrożeniu? — Prehistoryczni dyktatorzy mody — Czy metoda 14Cjest całkiem wiarygodna?

Na północ od Damaszku leży terasa w Baalbek: platforma zbudowana z bloków skalnych, z których niektóre mają ponad 20 metrów długości i ważą prawie 2000 ton. Do

tej pory archeologia nie była w stanie przekonywająco wyjaśnić, dlaczego, w jaki sposób i przez kogo terasa w Baalbek została zbudowana. Rosyjski profesor Agrest uważa, iż może ona być pozostałością wielkiego lądowiska.

Jeśli przyjmiemy do wiadomości dobrze spreparowaną wiedzę, którą się nam serwuje, to starożytny Egipt stał się centrum fantastycznej cywilizacji nagle i bez stadium przejściowego. Wielkie miasta i olbrzymie świątynie, ogromne posągi o wielkiej sile wyrazu, wspaniałe trakty obramowane pompatycznymi figurami, doskonałe urządzenia kanalizacyjne, wykute w skale okazałe grobowce, piramidy przytłaczające swymi rozmiarami... te i wiele innych jeszcze wspaniałych rzeczy pojawiło się jak spod ziemi. To rzeczywiście cud, jeśli kraj zdolny jest nagle do takich osiągnięć bez żadnego przygotowania!

Żyzne tereny uprawne występują tylko w delcie Nilu i na wąskich pasmach po lewej i prawej stronie rzeki. Eksperci szacują liczbę mieszkańców Egiptu w okresie budowy Wielkiej Piramidy na 50 milionów ludzi! (Liczba poza wszystkim jawnie sprzeczna z szacowanym na 20 milionów zaludnieniem całego świata w roku 3000 prz. Chr.!)

Przy tego typu fantastycznych obliczeniach nie chodzi o kilka milionów ludzi w tę lub drugą stronę. Chodzi o to, że dla nich wszystkich musiało się znaleźć pożywienie. A przecież była to nie tylko wielka armia robotników budowlanych, kamieniarzy, inżynierów i marynarzy, było też kilkaset tysięcy

niewolników, była dobrze wyposażona armia, był żyjący w dobrobycie stan kapłański, niezliczeni handlarze, chłopi i urzędnicy oraz — last but not least — utrzymujący się z nich wszystkich dwór królewski. Czyżby wszyscy oni zdołali się wyżywić dzięki skąpym plonom uzyskiwanym w delcie Nilu?

Powiada się nam, że bloki kamienne na budowę piramidy transportowane były na rolkach, co w praktyce oznacza, że musiały to być rolki drewniane! Jednak z trudem przyszłoby chyba ścinać i przetwarzać te nieliczne przecież drzewa, głównie palmy, które w owym czasie (podobnie jak dzisiaj) rosły w Egipcie, gdyż daktyle były niezbędnym składnikiem wyżywienia, a pnie i listowie dawały jedyny cień wysuszonej ziemi. Jednak utrzymuje się, że rolki drewniane musiały być używane, gdyż w przeciwnym wypadku nie byłoby nawet tego najbardziej wątpliwego wyjaśnienia techniki budowy piramid. Czy drewno było importowane? Sprowadzanie drewna z obcych krajów wymagałoby pokaźnej floty. Drewno wyładowywane w Aleksandrii trzeba byłoby transportować Nilem w górę rzeki do Kairu. Nie istniała inna możliwość, ponieważ Egipcjanie w okresie budowy Wielkiej Piramidy nie znali jeszcze konia i wozu; zaczęto ich używać dopiero za XVII dynastii, czyli około 1600 r. prz. Chr. Królestwo za przekonywające wyjaśnienie transportu bloków skalnych! Rolki drewniane, powiada się, były do tego niezbędne...

Technika budowniczych piramid nasuwa wiele zagadek, które nie znajdują zadowalających rozwiązań.

W jaki sposób Egipcjanie wykuwali grobowce w skale? Jakimi narzędziami tworzyli labirynt przejść i pomieszczeń? Ściany skalne są gładkie i na ogół przyozdobione reliefowymi malowidłami. Szyby przebiegają w skałach ukośnie, mają precyzyjnie, zgodnie z najlepszą sztuką budowlaną wykonane stopnie, prowadzące do głęboko położonych komór grobowych. Chmary turystów przyglądają się temu z podziwem, ale żaden z nich nie dostaje wytłumaczenia zagadkowej techniki wykopu. Wiadomo dokładnie, że sztukę budowy tuneli Egipcjanie mieli opanowaną od najwcześniejszych czasów, gdyż stare grobowce są wykonane dokładnie tak samo, jak późniejsze. Miedzy grobowcem Teti z szóstej dynastii a grobem Ramzesa I z czasów Nowego Państwa nie ma żadnej różnicy, choć ich budowę dzieli co najmniej 1000 lat! Wszystko wskazuje na to, że dawnej, raz wyuczonej techniki nie wzbogacano o nowe, lepsze rozwiązania, a raczej wręcz przeciwnie: późniejsze budowle są coraz gorszymi kopiami starych wzorców.

Turysta, który na wielbłądzie o imieniu „Bismarck" albo „Napoleon" — w zależności od swej narodowości — dokołysze się do piramidy Cheopsa na zachód od Kairu, odczuwa dziwny dreszcz, jaki zawsze wywołują materialne pozostałości tajemniczych cywilizacji. Zwiedzający słyszy, że tu i tam faraon kazał budować sobie grobowce. Z tą odświeżoną szkolną wiedzą wraca do domu, zrobiwszy przedtem parę ciekawych zdjęć. Szczególnie na temat piramidy Cheopsa wysunięto pewnie z kilkaset nie mających

podstaw, głupich teorii. W książce Charlesa Piazzi Smytha Our Inheritance in the Great Pyramid, liczącej 600 stron i wydanej w 1864 r „znajdujemy mnóstwo jeżących włosy na głowie związków między tą budowlą a kulą ziemską.

Jednak nawet po krytycznej weryfikacji pozostaje parę faktów, które powinny nas zastanowić.

Wiadomo, że starożytni Egipcjanie mieli rozbudowany kult słoneczny: ich bóg Słońca Re jeździł po niebie barkami. Teksty w piramidach z okresu Starego Państwa opisują nawet niebiańskie podróże króla, które możliwe były rzecz jasna z pomocą bogów i ich barek. Także bogowie i władcy Egipcjan nie stronili od latania w przestworzach...

Czy jest przypadkiem, że wysokość piramidy Cheopsa pomnożona przez miliard odpowiada w przybliżeniu odległości między Ziemią a Słońcem, wynoszącej 149 505 000 kilometrów? Czy to przypadek, że południk przebiegający przez piramidę dzieli kontynenty i oceany dokładnie na równe części? Czy przypadkiem obwód podstawy piramidy podzielony przez dwukrotność wysokości daje sławną ludolfine — liczbę □ = 3,1416? Czy przypadkowo znajdują się tam obliczenia ciężaru Ziemi, a skalisty grunt, na którym stoi budowla, przypadkiem jest tak starannie i dokładnie zrównany?

Nigdzie nie ma wzmianki, dlaczego twórca piramidy, faraon Cheops (Chufu), wybrał na budowę obiektu właśnie tę a nie inną skałę na pustyni. Być może była tam naturalna

rozpadlina skalna, którą wykorzystano do wzniesienia tej kolosalnej budowli. Jeszcze inne, choć ułomne, wyjaśnienie głosi, że faraon chciał obserwować ze swego letniego pałacu postępy prac budowlanych. Jednak oba powody kłócą się ze zdrowym rozsądkiem. Po pierwsze byłoby zdecydowanie praktyczniej, gdyby miejsce budowy znajdowało się bardziej na wschodzie, bliżej kamieniołomów, co skróciłoby drogę transportu, a po drugie trudno sobie wyobrazić, żeby faraon chciał być co roku niepokojony hałasem, jaki dniem i nocą rozlegał się nad placem budowy. Skoro tak wiele przemawia przeciwko naiwnym — rodem z książek dla dzieci — wyjaśnieniom dotyczącym wyboru miejsca budowy, wolno nam zapytać, czy może również w tej sprawie mieli swój udział „bogowie", choćby tylko pośrednio, poprzez żądania zgłaszane przez kapłanów, przyjmując taką interpretacje, uzyskamy jeszcze jeden ważki dowód na rzecz naszej teorii o utopijnej przeszłości ludzkości. Otóż piramida nie tylko dzieli kontynenty i oceany na dwie równe części, ale leży ona w punkcie ciężkości kontynentów! Jeżeli odnotowane tutaj fakty nie są przypadkiem — a bardzo trudno byłoby w niego uwierzyć — to miejsce budowy piramidy zostało wyznaczone przez istoty, które wiedziały o kulistym kształcie Ziemi i dokładnie znały rozmieszczenie kontynentów i mórz. Godzi się w tym miejscu przypomnieć mapy Piri Reisa! Nie wszystko da się wyjaśnić przypadkiem lub zmyśleniem.

Jaka siła, jakie „maszyny" wyrównały skalisty teren i jakim technicznym nakładem się to dokonało? W jaki sposób

budowniczowie przebijali w skale tunele? I czym je oświetlali? Ani tutaj, ani w skalnych grobowcach w Dolinie Królów nie używano pochodni lub podobnych urządzeń. Nie ma bowiem na stropach i ścianach żadnych zaczernień, ani nawet najmniejszych wskazówek świadczących o usuwaniu ich śladów. W jaki sposób i jakimi narzędziami odrywano w kamieniołomach wielkie bloki skalne? Jakim sposobem miały one ostre kanty i gładkie ściany? Jak je transportowano i nakładano na siebie z dokładnością do milimetra? Jest tutaj znowu garść możliwości do wyboru: równie pochyłe, piaszczyste torowiska, po których przesuwano bloki, rusztowania, rampy, nasypy... I oczywiście mrówcza praca wielu setek tysięcy Egipcjan: fellachów, chłopów, rzemieślników...

Żadne z tych wyjaśnień nie wytrzymuje krytyki. Wielka Piramida jest (i pozostanie?) namacalnym świadectwem niepojętej dotąd techniki. Dzisiaj, w XX wieku, żaden architekt nie umiałby zbudować piramidy Cheopsa, choćby miał do dyspozycji wszystkie współczesne środki techniczne!

2 600 000 olbrzymich bloków zostało wyciętych w kamieniołomach, oszlifowanych, przeniesionych i na miejscu budowy dopasowanych do siebie z dokładnością do jednego milimetra. A głęboko wewnątrz budowli pomalowano na kolorowo ściany korytarzy!

Miejsce budowy piramidy wyznaczył kaprys faraona...

Niedoścignione, „klasyczne" wymiary piramidy nasunęły się budowniczemu przypadkowo...

Kilkaset tysięcy robotników przesuwało i ciągnęło w górę rampy na (nieistniejących) rolkach przy pomocy (nieistniejących) lin bloki ważące 12 ton...

Armia robotników żywiła się (nieistniejącym) zbożem...

Spano w (nieistniejących) chałupach, które faraon kazał zbudować przed swoją letnią rezydencją...

Przez (nieistniejący) megafon robotnicy utrzymywani byli w rytmie pracy, co pozwalało na przesuwanie ku niebu dwunastotonowych bloków...

Nawet gdyby pilni robotnicy pracowali w niesłychanym tempie ustawiając każdego dnia dziesięć bloków, to złożenie około 2,5 miliona skalnych kloców we wspaniałą piramidę zajęłoby im — zgodnie z tym anegdotycznym objaśnieniem — 250 000 dni, czyli 664 lat! Tak, a do tego nie wolno zapominać, że wszystko to było kaprysem ekscentrycznego władcy, który w żadnym wypadku nie mógł dożyć końca zapoczątkowanego przez siebie dzieła.

Dostatecznie okropne i nieskończenie smutne przedsięwzięcie. Nie trzeba dodawać, że ta na serio proponowana teoria jest po prostu śmieszna. Kto byłby na tyle nierozgarnięty, by uwierzyć, że piramida miała być tylko grobem władcy? Kto chce nadal traktować zawarty tam zasób

informacji matematycznych i astronomicznych jako czysty przypadek?

Wielką Piramidę przypisuje się obecnie bezspornie faraonowi Cheopsowi, jako jej inspiratorowi i budowniczemu. Dlaczego? Dlatego, że wszystkie inskrypcje i gliniane tabliczki wskazują właśnie na niego. Wydaje się nam przekonywające, że piramida nie mogła powstać podczas trwania jednego życia. Co jednak, jeśli Cheops kazał sfałszować inskrypcje i treść tabliczek, które miały sławić jego osobę? W starożytności była to całkiem popularna metoda, o czym świadczy wiele innych budowli. Zawsze, kiedy dyktatorski władca chciał zagarnąć chwałę tylko dla siebie, zarządzał procedurę fałszerstw. Jeśli byłoby tak i w tym wypadku, to piramida istniałaby już długo przedtem, zanim Cheops nakazał umieścić na niej swoje „wizytówki".

W bibliotece w Osfordzie znajduje się rękopis, w którym koptyjski pisarz Al Mas'udi twierdzi, że Wielką Piramidę kazał wznieść egipski król Surid. Dziwne, gdyż Surid panował w Egipcie przed potopem! Osobliwe, że mądry władca Surid rozkazał swym kapłanom spisać całość wiedzy, a zapisy te ukryć we wnętrzu piramidy. Według koptyjskiego podania piramida została zatem zbudowana przed potopem.

Przypuszczenie takie potwierdza Herodot w drugiej księdze swoich Dziejów. Otóż kapłani w Tebach pokazali mu 341 posągów-kolosów, z których każdy symbolizował jedno pokolenie arcykapłanów od

11 340 lat wstecz. Wiadomo, że każdy arcykapłan przygotowywał własny pomnik już za swego życia. Herodot informuje o podróży do Teb, gdzie jeden kapłan po drugim pokazywał mu swoje posągi jako dowód na to, że po ojcu zawsze następuje syn. Kapłani zapewniali, że ich informacje są bardzo dokładne, gdyż od pokoleń spisuje się wszystkie dane. Wyjaśnili, iż każda z 341 figur odpowiada okresowi jednego życia ludzkiego i że przed owymi 341 pokoleniami między ludźmi żyli bogowie, ale potem żaden bóg w ludzkiej postaci nie zawitał już do nich.

Powszechnie przyjmuje się, że poświadczona źródłami cywilizacja starożytnego Egiptu sięga 6500 lat. Dlaczego zatem kapłani tak bezwstydnie okłamali podróżnika Herodota, mówiąc o 11 340 latach? I dlaczego tak dobitnie podkreślali, że od 341 pokoleń nie bawili u nich żadni bogowie? Te precyzyjne dane czasowe, utrwalone w posągach, byłyby całkowicie bezużyteczne, gdyby w zamierzchłej przeszłości „bogowie" istotnie nie żyli wśród ludzi!

O tym, jak, dlaczego i kiedy zbudowano piramidy, nie wiemy właściwie niczego. Oto stoi sięgająca prawie 150 metrów wysokości i ważąca 31 200 000 ton sztuczna góra — świadek niepojętego wysiłku — a pomnik ten nie jest podobno niczym innym, jak tylko grobem jakiegoś ekstrawaganckiego władcy! Kto chce, niech wierzy...

Podobnie niezrozumiałe są nie zinterpretowane dotąd dostatecznie mumie, które wpatrują się w nas z zamierzchłej

przeszłości, stanowiąc tajemniczą zagadkę. Różne ludy opanowały technikę balsamowania zwłok, a znaleziska archeologiczne pozwalają przypuszczać, że przedhistoryczne istoty wierzyły w ponowne narodziny do drugiego życia, w materialne wskrzeszenie. Interpretację taką można by zaakceptować, gdyby wiara w cielesne zmartwychwstanie należała do starożytnego świata pojęć! Z kolei gdyby nasi prapraprzodkowie wierzyli tylko w duchowy powrót, to nie otaczaliby zmarłych tak specyficzną opieką. Znaleziska w egipskich grobach dostarczają przykładów, że zabalsamowane zwłoki przygotowywane były do cielesnego odrodzenia.

To, co sugerują oglądane groby, nie jest wcale tak absurdalne! Malowidła i podania dostarczają przesłanek do tezy, że „bogowie" obiecali, iż powrócą z gwiazd, aby zbudzić dobrze zachowane ciała do nowego życia. Dlatego zaopatrzenie zabalsamowanych zwłok, spoczywających w grobowych komorach, miało funkcję praktyczną i przeznaczone było na potrzeby życia ziemskiego. W przeciwnym razie po co byłyby zmarłym potrzebne pieniądze, ozdoby i ulubione przedmioty? Dawanie im do grobu również części służby —ludzi niewątpliwie jeszcze żyjących — miało przedłużyć dawną egzystencję w nowym życiu. Grobowce, zbudowane solidnie, o niesłychanej wręcz trwałości bunkrów przeciwatomowych, były w stanie przetrwać wszelkie burze dziejowe. W grobach umieszczano przedmioty zachowujące wartość mimo wszelkich kryzysów — mianowicie złoto i szlachetne kamienie. Nie chcemy zajmować się tu

późniejszymi wynaturzeniami mumifikacji. Ważne jest tylko pytanie: kto przyswoił poganom ideę cielesnego zmartwychwstania? I skąd pochodziła pierwsza, śmiała myśl, że komórki ciała muszą zostać zachowane, aby zmarły, przechowywany w bezpiecznym miejscu, został zbudzony do nowego życia po upływie tysięcy lat?

Do tej pory cały tajemniczy kompleks spraw związanych z odrodzeniem życia był traktowany tylko z religijnego punktu widzenia. Czy faraon, który z całą pewnością wiedział więcej o „bogach" i ich zwyczajach niż jego poddani, nie mógł wpaść na taki, być może zupełnie obłędny pomysł: muszę wybudować sobie grobowiec, który nie ulegnie zniszczeniu nawet przez tysiące lat i będzie wyraźnie odznaczał się na obszarze państwa? Bogowie obiecali powrócić i zbudzić mnie... (względnie lekarze w odległej przyszłości będą umieli przywrócić mnie do życia...).

Co można dodać do tego z perspektywy epoki lotów kosmicznych?

Fizyk i astronom Robert C. W. Ettinger sugeruje w swej wydanej w 1965 r. książce The Prospect of Immortality, że my, ludzie XX wieku, moglibyśmy dać się tak zamrozić, aby z biologicznego i medycznego punktu widzenia procesy w naszych komórkach przebiegały bilion razy wolniej niż normalnie. Choć na razie idea ta może wyglądać jeszcze całkowicie utopijnie, to jednak każda duża współczesna klinika dysponuje „bankiem", w którym ludzkie kości

przechowywane są całe lata w stanie głębokiego zmrożenia, by w razie potrzeby zrobić z nich użytek. Świeża krew—co jest już powszechnie praktykowane — może być przez nieograniczony czas przechowywana w temperaturze -196°C, podobnie jak komórki można utrzymywać przy życiu wprost w nieskończoność w temperaturze ciekłego azotu. Czyżby utopijna idea faraona miała się wkrótce ziścić?

Trzeba dwukrotnie przeczytać przytoczony niżej wynik badań, by pojąć jego niezwykłość: biolodzy z uniwersytetu w Oklahomie stwierdzili w marcu 1963 r., że komórki skóry egipskiej księżniczki Mene są zdolne do życia! A księżniczka Mene nie żyje już od kilku tysięcy lat!

W wielu miejscach znajdują się mumie zachowane w stanie tak kompletnym i nienaruszonym, że wyglądają jak żywe. U Inków zachowały się mumie lodowcowe, teoretycznie zdolne jeszcze do życia. Utopia? W lecie 1965 r. telewizja rosyjska pokazała dwa psy, które zostały głęboko zamrożone na tydzień. Odmrożone siódmego dnia żyły sobie nadal, tak jak przedtem!

Amerykanie, co nie jest tajemnicą, poważnie zajmują się w ramach swego szeroko zakrojonego programu lotów kosmicznych problemem, w jaki sposób można zamrozić astronautów przyszłości na czas ich długich podróży do odległych gwiazd...

Profesor Ettinger, dzisiaj często wyśmiewany, przewiduje, że w odległej przyszłości ludzie nie będą ani

spalać zwłok, ani wystawiać ich na łup robaków, lecz będą je składać zamrożone na specjalnych „lodówkowych" cmentarzach lub w grobach-zamrażarkach, by oczekiwały dnia, w którym bardziej zaawansowana medycyna będzie umiała usunąć przyczynę śmierci i tym samym obudzić je do nowego życia. Jeśli pójść do końca tropem tej myśli, to można by ujrzeć odstraszającą wizję armii głęboko schłodzonych żołnierzy, odmrażanych według potrzeby w wypadku wojny. Zaiste przerażające wizje!

Co jednak mają wspólnego mumie z naszą hipotezą o odwiedzinach kosmitów w zamierzchłej przeszłości? Szukamy na siłę poszlak?

Stawiamy pytanie: skąd ludzie przeszłości wiedzieli, że komórki organizmu żyją bilion razy wolniej po poddaniu ich specjalnym zabiegom?!

Pytamy: skąd pochodzi idea nieśmiertelności, skąd myśl o cielesnym zmartwychwstaniu?

Większość dawnych ludów posiadła umiejętność mumifikacji, praktykowali ją ludzie bogaci. Nie chodzi nam o przytaczanie faktów, lecz o rozwiązanie zagadki, skąd pochodziła idea zmartwychwstania, powrotu do życia. Czy pomysł ten nasunął się zupełnie przypadkowo jakiemuś królowi lub księciu, czy też może jakiś wpływowy człowiek zaobserwował „bogów", jak poddawali zwłoki skomplikowanym zabiegom i składali je do zabezpieczonego przed bombami sarkofagu? A może jacyś „bogowie" (czyli

kosmici) przekazali pewnemu bystremu, inteligentnemu synowi królewskiemu wiedzę, w jaki sposób dzięki specjalnym zabiegom można odrodzić zwłoki?

Ta spekulatywna motywacja wymaga uzasadnienia stosownego dla swojej epoki. W ciągu kilkuset lat ludzie opanują loty kosmiczne z biegłością, jaką dzisiaj trudno jeszcze sobie wyobrazić. Biura podróży będą oferowały w swych prospektach podróże międzyplanetarne z dokładnym terminem odjazdu i powrotu. Warunkiem osiągnięcia tej perfekcji jest rzecz jasna dotrzymanie równego kroku w postępie naukowym przez wszystkie dziedziny wiedzy. Sama tylko elektronika i cybernetyka nie zdoła przekroczyć wysokiego progu wymagań. Swój udział wniesie medycyna i biologia, prowadząc badania, które umożliwią przedłużenie życia ludzkiego. Obecnie prace tego właśnie działu kosmonautyki toczą się już na pełnych obrotach. Utopijne pytanie: czy kosmonauci z praczasów posiadali tę wiedzę, którą musimy zdobywać na nowo? Czy obce istoty rozumne znały metody, jakie trzeba zastosować, aby przywrócić do życia ciała po upływie iluś tysięcy lat? Może mądrzy „bogowie" mieli jakiś cel w tym, aby „wyposażyć" przynajmniej jednego zmarłego w całą wiedze jego epoki, by mógł on kiedyś zostać przepytany na okoliczność dziejów swego pokolenia? Co właściwie wiemy na ten temat! Może powracający „bogowie" już kogoś przepytali?

Pierwsze, odpowiednio spreparowane mumie zapoczątkowały w ciągu następnych stuleci modę w tej

dziedzinie. Nagle każdy chciał się ponownie narodzić, każdy sądził, że pewnego dnia nowe życie stanie się także jego udziałem, jeśli tylko uczyni to samo, co jego przodkowie. Kapłani, którzy rzeczywiście dysponowali wiedzą na temat ponownych narodzin, w znacznym stopniu spopularyzowali kult, gdyż robili na nim dobry interes.

Pisaliśmy już o fizycznie niemożliwej długości życia sumeryjskich władców czy postaci biblijnych. Postawiliśmy pytanie, czy w ich wypadku chodzi może o kosmitów, którzy dzięki przesunięciu czasu podczas podróży międzygwiezdnych, odbywających się z szybkością bliską prędkości światła, postarzeli się tylko względnie w stosunku do czasu obowiązującego na naszej planecie.

Może udałoby się wyjaśnić niewyobrażalny wiek wymienianych w starych pismach osób zakładając, że zostali oni zmumifikowani lub zamrożeni? Zgodnie z tą teorią kosmici zamrażaliby najważniejsze osobistości czasów starożytnych, wprowadzając je — jak mówią podania — w głęboki sen. Przy okazji późniejszych odwiedzin wyjmowaliby je za każdym razem z „szuflady", odmrażali i rozmawialiby z nimi. Zadaniem kasty kapłańskiej, ustanowionej i odpowiednio pouczonej przez kosmitów, byłoby ponowne preparowanie „żywych umarłych" po zakończeniu odwiedzin oraz sprawowanie nad nimi pieczy w olbrzymich świątyniach aż do kolejnej wizyty „bogów".

Niemożliwe? Śmieszne? Najgłupsze zastrzeżenia zgłaszają na ogół ludzie wyjątkowo uczuleni na sprawy przyrody. Czyż przyroda sama nie daje oczywistych przykładów na „sen zimowy" i ponowne budzenie się do życia?

Są gatunki ryb, które zamrożone na kość ożywają przy korzystniejszej temperaturze i zaczynają znów pływać żwawo w wodzie. Kwiaty, poczwarki, pędraki każdej wiosny mają za sobą nie tylko biologiczny sen zimowy, lecz ukazują się w nowej, pięknej szacie.

Wystąpmy jako własny advocatus diaboli: może Egipcjanie podpatrzyli zasadę mumifikacji w przyrodzie? Gdyby tak było, to musiałby występować jakiś kult motyli lub chrabąszczy, a przynajmniej jakiś jego ślad. Jednak niczego takiego nie ma! W podziemnych grobowcach leżą co prawda wielkie sarkofagi ze zmumifikowanymi bykami, ale u tych zwierząt ludzie nie mogli przecież podpatrzeć snu zimowego. Osiem kilometrów od Heluanu znajduje się ponad 5000 grobów różnej wielkości, a wszystkie pochodzą z czasów pierwszej i drugiej dynastii. Potwierdzają one, że sztuka mumifikacji liczy ponad 6000 lat.

Profesor Emery odkrył w 1953 r. na starym cmentarzu w północnej części Sakkary wielki grób, przypisywany faraonowi z pierwszej dynastii (prawdopodobnie był to Udi). Obok głównego grobowca leżały w trzech rzędach 72 dalsze

groby, w których znajdowały się zwłoki służby, pragnącej towarzyszyć królowi w zaświaty. Ciała 64 młodych mężczyzn i ośmiu młodych kobiet nie wykazują żadnych śladów ewentualnej przemocy. Dlaczego 72 osoby dały się zamurować i pozbawić życia? Wiara w życie pozagrobowe jest najbardziej znanym i zarazem najprostszym wyjaśnieniem tego fenomenu. Faraona, poza złotem i ozdobami, wyposażono w zboże, oliwę i przyprawy korzenne — pomyślane najwyraźniej jako prowiant na tamten świat. Groby te otwierali następnie — obok hien cmentarnych — późniejsi władcy. Faraon znajdował zatem w grobowcu swego poprzednika dobrze zachowane zapasy, co dowodziło, że zmarły ani ich nie zjadł, ani nie zabrał w zaświaty. Zamykając groby ponownie, wkładano do krypty nowe dobra, zamykano ją, zabezpieczano przed włamaniem, a przy wejściu instalowano liczne pułapki. Nasuwa się myśl, że Egipcjanie wierzyli w późniejsze wskrzeszenie, a nie w natychmiastowe przebudzenie na tamtym świecie.

Również w Sakkarze odkryto w 1954 r. grób, który nie był obrabowany, gdyż w komorze leżała skrzynka z kosztownościami i złotem. Sarkofag zamykała przesuwalna płyta, a nie wieko. Kiedy dr Goneim dokonał 9 czerwca uroczystego otwarcia sarkofagu, okazało się, że był on całkowicie pusty. Czyżby mumia ulotniła się, nie zabierając ze sobą skarbów?

Rosjanin Rodenko odkrył 80 kilometrów od granicy z Mongolią grób, tzw. kurhan V, który jest kamienistym

pagórkiem, wyłożonym od wewnątrz drewnem. Wszystkie komory grobowe wypełnione są wiecznym lodem, konserwującym zawartość grobu przez głębokie schłodzenie. W jednym z grobów spoczywał zabalsamowany mężczyzna i tak samo spreparowana kobieta. Obydwoje wyposażeni we wszystkie rzeczy, które mogły być przydatne w późniejszym życiu: żywność w miseczkach, ubranie, klejnoty, instrumenty muzyczne. Wszystko głęboko zamrożone i dobrze zachowane, łącznie z nagimi mumiami!

W pewnym grobie zidentyfikowano znak czworokąta z czterema rzędami zawierającymi po sześć kwadratowych rysunków. Całość mogłaby być kopią kamiennej mozaiki podłogowej z asyryjskiego pałacu w Niniwie! Dostrzega się dziwne, podobne do sfinksów figurki ze skomplikowanymi rogami na głowie i skrzydłami na plecach, których układ wskazuje na ruch ku niebu.

Znaleziska w Mongolii nie potwierdzają raczej wiary w drugie, duchowe życie. Zastosowane schładzanie — gdyż o to właśnie chodzi w grobach wyłożonych drewnem i wypełnionych lodem — jest czymś zbyt doczesnym i przeznaczonym wyraźnie do ziemskich celów. Nadal męczy nas pytanie, na jakiej podstawie dawni ludzie sądzili, że przygotowane przez nich w ten sposób zwłoki będą mogły ulec wskrzeszeniu. Jest to na razie zagadką.

W chińskiej wsi Wu-Chuan jest prostokątny grób o wymiarach 14 na 12 metrów, w którym spoczywają szkielety

17 mężczyzn i 24 kobiet. Również tutaj żaden z nich nie wykazuje oznak gwałtownej śmierci. W Andach znajdują się groby wykute w lodowcu, na Syberii — groby lodowe, w Chinach, w Sumerze i w Egipcie — groby zbiorowe i pojedyncze. Mumie występują zarówno daleko na północy, jak i na południu Afryki. Wszyscy zmarli zostali troskliwie przygotowani do późniejszego wskrzeszenia i odpowiednio zaopatrzeni. Wszystkim zwłokom dano przedmioty niezbędne do nowego życia, a wszystkie groby są tak zaprojektowane i zbudowane, by mogły przetrwać tysiące lat.

Czy to wszystko jest przypadkiem? Czy to tylko wymysły naszych przodków, dziwne swoją drogą, ale tylko wymysły? Czy też może istniało jakieś nieznane nam stare przyrzeczenie cielesnego wskrzeszenia? Kto mógłby go udzielić?

W Jerycho odsłonięte groby liczące 10 000 lat oraz znaleziono wymodelowane w gipsie głowy sprzed 8000 lat. Jest to tym dziwniejsze, że mieszkający tam wówczas ludzie nie znali podobno garncarstwa. W innej części Jerycha odkryto całe szeregi okrągłych domów, których mury zbiegają się w górze do wewnątrz, tworząc coś w rodzaju kopulastych dachów.

Powszechnie stosowany izotop węgla 14C, który pozwala na określanie wieku substancji organicznych, wskazuje w tym wypadku maksymalnie 10 400 lat. Te naukowo uzyskane dane zgadzają się dosyć dokładnie z

informacjami podanymi przez egipskich kapłanów u Herodota, którzy powiedzieli, że ich poprzednicy sprawują swe funkcje od ponad 11 000 lat. Czy to również tylko przypadek?

Szczególnie osobliwym znaleziskiem są prehistoryczne kamienie z Lussac (Poitou we Francji), przedstawiające rysunki całkowicie współcześnie ubranych ludzi w kapeluszach, kurtkach lub krótkich spodenkach. Ksiądz Breuil ocenił je jako autentyczne i wyjaśnienie jego obala wszelkie skrupulatnie nanizane tezy o prehistorii. Kto wyrył obrazy na kamieniach? Kto ma dość fantazji, aby wyobrazić sobie odzianego w skóry jaskiniowca kreślącego na ścianach postacie z XX wieku?

W jaskini Lascaux, w południowej Francji, odkryto w 1940 r. najwspanialsze malowidła z epoki kamiennej. Malarska galeria wygląda tak świeżo, plastycznie i integralnie, że w sposób nieunikniony narzucają się dwa pytania: jakim sposobem oświetlano jaskinię na czas mozolnej pracy artysty z epoki kamiennej i dlaczego ściany pieczary zostały pokryte zadziwiającymi malowidłami?

Niech ludzie uznający te pytania za głupie wytłumaczą nam następujące sprzeczności: skoro mieszkańcy jaskiń epoki kamiennej byli prymitywni i dzicy, to nie umieliby pokryć ścian tak ciekawymi malowidłami. Jeśli jednak dzikus umiał wykonać te obrazy, to dlaczego nie byłby w stanie zbudować sobie chałupy do mieszkania? Najmądrzejsi nawet ludzie przyznają, że zwierzęta umieją od milionów lat budować

gniazda i kryjówki. Najwidoczniej jednak nie pasuje do schematu myślowego, aby przyznać w owym czasie takie same zdolności gatunkowi Homo sapiens!

Na pustyni Gobi profesor Kozłow znalazł — niedaleko owych dziwnych zeszkleń piaskowych, które mogły powstać tylko w wyniku działania wielkich temperatur — grób położony głęboko pod ruinami Chara-Chota, datowany na około 12 000 lat prz. Chr. W jednym sarkofagu leżą ciała dwóch bogatych ludzi, a na sarkofagu odkryto znak podzielonego pionowo koła.

W górach Subi na zachodnim wybrzeżu Borneo znaleziono sieć pieczar, których wnętrza rozbudowano jakby na kształt katedry. Pozostawione tam przedmioty wskazują, że prace budowlane prowadzono 38 000 lat prz. Chr. Wśród tych niebywałych znalezisk są tkaniny tak delikatne i szlachetne, że przy najlepszej woli nie można sobie wyobrazić, jak mogliby je wykonać ludzie dzicy! Pytania, pytania i jeszcze raz pytania...

Omawiane sprawy to nie są jedynie hipotezy, lecz całkiem namacalne i nader liczne fakty: jaskinie, groby, sarkofagi, mumie, stare mapy, szalone budowle będące niesłychanym osiągnięciem techniki i architektury, przekazy różnej proweniencji, które nie pasują do żadnego schematu.

Do współczesnej archeologii wkradają się pierwsze wątpliwości ale konieczne jest dokonanie wyłomu w gąszczu skrywającym przeszłość. Trzeba na nowo wyznaczyć

kamienie milowe i w miarę możliwości na nowo ustalić cały szereg danych.

Jedno trzeba jasno powiedzieć: nie kwestionujemy historii ostatnich dwóch tysięcy lat! Mówimy tylko i wyłącznie o zamierzchłej starożytności, o czasach pogrążonych w ciemnościach, które staramy się oświetlić stawiając nowe pytania.

Nie umiemy podać żadnych liczb ani dat dotyczących tego, kiedy wizyty obcych istot rozumnych z Kosmosu zaczęły wywierać wpływ na naszych odległych przodków. Jednak ośmielamy się zakwestionować dotychczasowe datowanie zamierzchłej przeszłości. Sądzimy, że mamy zupełnie dobre podstawy, aby wydarzenie, o które tutaj chodzi, umieścić w okresie młodszego paleolitu, czyli między 40 000 a 10 000 lat prz. Chr. Dotychczasowe metody datowania, łącznie ze sławną, tak popularną metodą 14C,pozostawiają znaczne luki, skoro tylko przekraczamy wiek 5600 lat. Im starsza jest badana substancja, tym bardziej zawodna staje się metoda izotopowa. Również poważni badacze powiedzieli nam, że metodę 14C uznają za mało przydatną, gdyż wiek substancji organicznej liczącej od 30 000 do 50 000 lat można według niej określać arbitralnie, według uznania.

Nie należy przyjmować tych krytycznych głosów bez zastrzeżeń — ale bez wątpienia przydałaby się druga metoda datowania, równoległa do 14C i bazująca na najnowocześniejszej aparaturze.

Rozdział VIII

Czy bogowie pozostawili olbrzymy z Wyspy Wielkanocnej? — Kim był biały bóg? — Nie znano krosna, ale uprawiano bawełnę — Ostatnie poznanie człowieka

Pierwsi europejscy żeglarze, którzy na początku XVIII wieku wylądowali na Wyspie Wielkanocnej, nie wierzyli własnym oczom. Na tym małym skrawku ziemi, oddalonym 3600 kilometrów od wybrzeży Chile, ujrzeli setki nieprawdopodobnie dużych posągów, rozrzuconych wzdłuż i wszerz wyspy. Całe góry były zdeformowane, twarda jak stal skała wulkaniczna pocięta niczym masło, a ważące dziesiątki tysięcy ton bryły skalne leżały w miejscach, które nie mogły być miejscem obróbki. Setki olbrzymich postaci, sięgających po części od 10 do 20 metrów wysokości i ważących do 50 ton, jeszcze dzisiaj wpatruje się wyzywająco w każdego

przybysza, przypominając roboty, które zdają się tylko czekać na ponowne uruchomienie. Pierwotnie kolosy nosiły także kapelusze, ale i nakrycia głowy nie przyczyniły się do wyjaśnienia zagadkowego pochodzenia posągów. Kamienne kapelusze ważące ponad 10 ton zostały znalezione w innym miejscu niż skalne korpusy, a nakrycie głowy trzeba było przecież jeszcze podnieść na znaczną wysokość.

Obok niektórych kolosów znaleziono swego czasu drewniane tabliczki, zapisane osobliwymi hieroglifami. Obecnie we wszystkich muzeach świata nie spotka się już nawet dziesięciu owych tabliczek, a na tych, które jeszcze są, nie zdołano dotąd odczytać ani jednego napisu.

Badania dziwnych olbrzymów podjęte przez Thora Heyerdahla wykazały, że należą one do trzech wyraźnie różniących się kultur, z których najstarsza wydaje się najdoskonalsza. Znalezione przez siebie resztki węgla drzewnego Heyerdahl datuje na około 400 r. po Chrystusie, ale nie wiadomo, czy te ślady ognia oraz szczątki kości pozostają w jakimś związku z kamiennymi figurami. Przy ścianach skalnych i na obrzeżach kraterów Heyerdahl odkrył setki niedokończonych posągów. Tysiące narzędzi z kamienia i zwykłe kamienne topory leżą wszędzie wokoło, jakby praca została gwałtownie przerwana.

Wyspa Wielkanocna jest położona z dala od kontynentów i wszelkiej cywilizacji. Wyspiarzom bliższy jest Księżyc i gwiazdy niż jakakolwiek ziemska kraina. Wyspa,

będąca maleńkim skrawkiem wulkanicznej skały, pozbawiona jest drzew. Obiegowe wyjaśnienie, że skalne giganty zostały przetransportowane na obecne miejsca za pomocą drewnianych rolek, i w tym wypadku jest zatem chybione. Wyspa mogłaby dostarczyć pożywienia nie więcej niż dwóm tysiącom ludzi.(Obecnie Wyspę Wielkanocną zamieszkuje kilkuset tubylców.) Nie sposób wyobrazić sobie w starożytności regularnych kursów statków na wyspę, które dostarczałyby kamieniarzom pożywienia i odzieży. Kto zatem wyciął posągi w skale, kto je obrobił i przetransportował? W jaki sposób przenoszono je kilometrami — nie mając rolek — poprzez wertepy? Jak je obrabiano, polerowano i podnoszono? Jak wreszcie nakładano kapelusz, zrobiony z innego kamienia niż korpus?

O ile przy budowie egipskiej piramidy można sobie wyobrazić— mając bujną fantazję — rytmiczną pracę armii ludzkich mrówek, to na Wyspie Wielkanocnej możliwość taka odpada z powodu braku siły roboczej. W żadnym wypadku nie wystarczyłoby dwóch tysięcy ludzi — nawet gdyby pracowali dniem i nocą — do ukształtowania bardzo prymitywnymi narzędziami kolosalnych posągów w wyjątkowo twardej skale wulkanicznej. Co więcej część ludności musiała się zajmować uprawą tutejszej lichej ziemi i na skromną choćby skalę połowem ryb, inni musieli tkać materiały i wiązać liny. Nie, dwa tysiące ludzi nie mogło stworzyć tych posągów, a większe zaludnienie na małej Wyspie Wielkanocnej nie jest możliwe. Kto zatem wykonał tę pracę? I dlaczego posągi stoją

na obrzeżu wyspy, a nie w jej wnętrzu? Jakiemu kultowi służyły?

Niestety również na tym małym kawałku Ziemi pierwsi zachodni misjonarze przyczynili się do tego, że przeszłość spowita jest mrokami. Spalili bowiem tabliczki zapisane hieroglifami, zakazali dawnego kultu bogów, zniszczyli wszelką tradycję. Choć pobożni mężowie przystąpili do dzieła gruntownie, nie zdołali przeszkodzić ludności tubylczej w przechowaniu w pamięci i używaniu do dzisiaj dawnej nazwy wyspy: „Kraj ptaka-człowieka". Zgodnie z ustnie przekazywaną legendą na wyspie wylądowali w pradawnych czasach latający ludzie i rozniecili ogień. Potwierdzają to rzeźby lecących istot o dużych, wytrzeszczonych

oczach.

Automatycznie nasuwają się porównania między Wyspą Wielkanocną a Tiahuanaco! W obu miejscach znajdują się kamienne olbrzymy, wykonane w tym samym stylu. W obu przypadkach wyniosłe twarze o stoickim wyglądzie dobrze komponują się z figurami. Inkowie pytani przez Francisco Pizarro w 1532 r. o Tiahuanaco powiedzieli, że żaden człowiek nie widział tego miasta inaczej niż w gruzach, gdyż zostało ono zbudowane w zamierzchłej przeszłości. Podania określały Wyspę Wielkanocną mianem „pępka świata". Odległość między Tiahuanaco a wyspą wynosi ponad 5000 kilometrów. W jaki zatem sposób mogłoby dojść do zainspirowania jednej kultury przez drugą?

Być może pewnej wskazówki mogłaby nam udzielić preinkaska mitologia, w której występował sędziwy bóg-stwórca Wirakocza, który był bóstwem pradawnym i elementarnym. Zgodnie z legendą Wirakocza stworzył świat, kiedy jeszcze panowały ciemności i nie było Słońca. Wykuł w skale ród olbrzymów, ale kiedy ci nie spodobali mu się, zatopił ich w wielkiej wodzie. Następnie spowodował, że nad jeziorem Titicaca wstało Słońce i Księżyc, aby Ziemia miała światło. A potem — czytajmy uważnie! — w Tiahuanaco ulepił gliniane figurki człowieka i zwierzęcia i tchnął w nie życie. Odtąd uczył stworzone przez siebie istoty języka, zwyczajów i różnych umiejętności, aby w końcu wysłać niektóre z nich na inne kontynenty, które miały być w przyszłości przez nich zasiedlone. Dokonawszy tego bóg Wirakocza jeździł z dwoma pomocnikami po wielu krajach, by sprawdzić, jak wykonywane są jego polecenia i jakie dają rezultaty. W przebraniu starca przemierzał wybrzeża i Andy, ale tu i ówdzie bywał źle przyjmowany. Pewnego razu w Cacha tak zdenerwował się zgotowanym mu przyjęciem, że pełen wściekłości podpalił skałę, od której zaczął płonąć cały kraj. Kiedy niewdzięczny lud błagał go o przebaczenie, ugasił płomienie jednym gestem. Wirakocza udał się w dalszą drogę, udzielał rad i wskazówek, a w miejscach jego pobytu zbudowano wiele świątyń. W nadbrzeżnej prowincji Manta pożegnał się w końcu z ludźmi i zniknął za oceanem odjeżdżając na falach, ale zamierzał jeszcze wrócić...

Hiszpańscy konkwistadorzy, którzy podbili Amerykę Południową i Środkową, wszędzie napotykali podania o Wirakoczy. Nigdy przedtem nie słyszeli o olbrzymich białych mężczyznach, przybyłych gdzieś z nieba... Z wielkim zdziwieniem dowiedzieli się o plemieniu synów Słońca, którzy nauczali ludzi wszelkich umiejętności, a potem znikali. A we wszystkich zasłyszanych przez Hiszpanów legendach było zapewnienie, że synowie Słońca powrócą.

Kontynent amerykański jest ojczyzną bardzo starych kultur, ale nasza dokładna wiedza o Ameryce sięga zaledwie tysiąca lat. Jest całkowicie niezrozumiałe, dlaczego 3000 lat prz. Chr. Inkowie uprawiali w Peru bawełnę, choć nie znali i nie posiadali krosien... Majowie budowali drogi, ale nie używali koła, choć je znali...

Cudem jakimś pięciopasmowy, fantastyczny naszyjnik z zielonego jadeitu znalazł się w grobowej piramidzie w Tikal, w Gwatemali! Cudem dlatego, że jadeit pochodzi z Chin... Niepojęte są rzeźby Olmeków! Piękne głowy olbrzymów w hełmach można podziwiać tylko na miejscu odkrycia. Również w przyszłości nie będzie ich można oglądać w muzeum, choć problem transportu rozwiązują współczesne 500-tonowe dźwigi i potężne ciężarówki, które mogą przewozić po kilka tysięcy ton. (Amerykańska Agencja Lotów Kosmicznych zleciła skonstruowanie dla rakiety Saturn ciężarówki o nośności nawet 7750 ton!) Dzieła sztuki Olmeków, ważące niekiedy ponad 100 ton, dałyby się zatem przetransportować bez kłopotów. Ale żaden tamtejszy most

nie wytrzymałby obciążenia takim kolosem. Jednak nasi dawni przodkowie umieli tego dokonać. W jaki sposób?

Odnosi się wrażenie, jakby prastare ludy znajdowały szczególną przyjemność w przerzucaniu kamiennych gigantów nad górami i dolinami. Egipcjanie sprowadzali obeliski z Asuanu, architekci ze Stonehenge brali kamienne kloce z południowo-zachodniej Walii i Marlborough, kamieniarze z Wyspy Wielkanocnej windowali gotowe już monstrualne posągi z odległych kamieniołomów na miejsce ekspozycji, zaś na pytanie, skąd pochodzą monolity w Tiahuanaco, nikt nie umie odpowiedzieć. Dziwnym ludkiem musieli być nasi protoplaści, skoro tak chętnie robili sobie kłopot i budowali pomniki zawsze w najbardziej niedostępnych miejscach. Z czystej chęci utrudniania sobie życia?

Nie chcemy uważać artystów naszej wspaniałej przeszłości za głupców. Mogliby przecież równie dobrze wznosić świątynie i posągi blisko kamieniołomów, gdyby stare podania nie nakazywały im wybrania innych miejsc. Jesteśmy przekonani, że twierdza Inków w Sacsahuaman została wzniesiona nad Cuzco nie przypadkiem, lecz raczej dlatego, że według jakiegoś przekazu było to miejsce święte. Jesteśmy przekonani, że wszędzie tam, gdzie znaleziono najwięcej monumentalnych budowli, ziemia skrywa też najbardziej interesujące i najistotniejsze relikty naszej przeszłości, które poza wszystkim innym mogłyby zasadniczo przyczynić się do dalszego rozwoju lotów kosmicznych.

WSPOMNIENIA Z PRZYSZŁOŚCI

Obcy, nieznani kosmonauci, którzy przed tysiącami lat odwiedzili naszą planetę, nie byli zapewne mniej przewidujący od nas — ludzi współczesnych. Byli przekonani, że człowiek dokona pewnego dnia kroku we Wszechświecie o własnych siłach i na podstawie własnej wiedzy naukowej. Jest bowiem banalną prawidłowością historyczną, iż istoty rozumne na jakiejś planecie zawsze poszukują życia i pokrewnych im istot w Kosmosie.

Radioastronomowie nadali niedawno pierwsze sygnały radiowe zaadresowane do nieznanych inteligencji. Nie wiemy, kiedy otrzymamy odpowiedź: za dziesięć, piętnaście czy sto lat. Nie wiemy nawet tego, jaką gwiazdę powinniśmy namierzać, gdyż nie mamy pojęcia, która planeta jest dla nas najbardziej interesująca. Gdzie nasze sygnały napotkają obce, podobne ludziom istoty? Nie wiemy. Jednak wiele przemawia za tym, że informacje potrzebne dla naszych celów są dla nas zdeponowane na Ziemi. Zmagamy się z siłą ciążenia, prowadzimy eksperymenty z silnikami wielkiej mocy, cząsteczkami elementarnymi i antymaterią. Czy jednak robimy dostatecznie dużo, aby znaleźć ukryte dla nas na Ziemi informacje, które pozwoliłyby wreszcie odkryć nasze własne korzenie?

Jeśli odczyta się dostępne nam źródła dosłownie, to wiele z tego, co do tej pory z mozołem ułożono w mozaikę naszej przeszłości, stanie się dosyć przekonywające: nie tylko istotne związki występujące w starych pismach, lecz także „konkretne fakty", które dostrzegamy krytycznym okiem na

całym świecie. W końcu po to mamy rozum, żeby go używać do myślenia.

Ostatnie poznanie człowieka będzie więc polegało na zrozumieniu, że jego dotychczasowy sens życia i wszystkie wysiłki na rzecz postępu sprowadzają się do tego, żeby czerpać wiedzę z przeszłości. Jest to konieczne, jeśli człowiek ma być zdolny do życia i współżycia w Kosmosie. Skoro tak się stanie, to najmądrzejszy i zdeklarowany indywidualista przekona się, że zadanie wszystkich ludzi polega na zasiedleniu Kosmosu i wzajemnym przekazywaniu sobie energii i doświadczeń. Wówczas spełni się obietnica „bogów" o pokoju na Ziemi i otwartej drodze do nieba.

Skoro tylko będące do dyspozycji siły, środki i zasoby intelektualne przeznaczone zostaną na badania Kosmosu, to ich wynik doprowadzi do całkiem oczywistego wniosku o bezsensie wojen na Ziemi. Kiedy ludzie wszystkich ras, ludów i narodów zjednoczą się w ponadnarodowym zadaniu, aby uczynić technicznie możliwymi podróże na odległe planety, Ziemia ze wszystkimi swymi miniproblemami odnajdzie właściwą dla siebie miarę na tle Wszechświata.

Okultyści mogą zgasić swe lampy, alchemicy zniszczyć tygle, tajemne bractwa zdjąć habity. Głupstwa sprzedawane z takim powodzeniem przez całe tysiąclecia nie znajdą już drogi do ludzi. Kiedy Wszechświat otworzy swe podwoje, dla nas nadejdzie lepsza przyszłość.

Na podstawie dostępnej obecnie wiedzy sceptycznie oceniamy interpretacje najdawniejszej przeszłości ludzkości. Deklarowany sceptycyzm rozumiemy w tym sensie, w jakim mówił o nim Tomasz Mann w jednym z wykładów w latach dwudziestych:

„Pozytywne u sceptyka jest to, że wszystko uważa za możliwe".

Rozdział IX

Miasta w dżungli zbudowane według kalendarza — Wędrówka ludów wycieczką familijną? — Bóg spóźnia się na

spotkanie — Dlaczego obserwatoria są okrągłe? — Starożytne maszyny liczące — Dobrany zestaw osobliwości

Choć podkreślamy, że nie jest naszym zamiarem stawianie pod znakiem zapytania historii ludzkości ostatnich dwóch tysięcy lat, to uważamy, iż bogów greckich i rzymskich oraz większość legendarnych postaci i bohaterów otacza powiew bardzo odległej przeszłości. Od kiedy istnieją ludzie, żyją razem z nimi pradawne podania ludowe. Również młodsze kultury dostarczają motywów wskazujących na zamierzchłe i nieznane czasy.

Ruiny w dżunglach Gwatemali i Jukatanu wytrzymują każde porównanie z egipskimi wielkimi budowlami. Powierzchnia podstawy piramidy z Cholula — sto kilometrów na południe od stolicy Meksyku —jest większa niż piramidy Cheopsa. Z kolei piramidy w Teotihuacan — 50 kilometrów na północ od Meksyku — zajmują powierzchnię prawie 20 km2, a wszystkie odkryte budowle skierowane są ku gwiazdom. Najstarszy tekst o Teotihuacan informuje, że schodzili się tu bogowie i radzili na temat człowieka, zanim jeszcze w ogóle powstał gatunek Homo sapiens!

Pisaliśmy już o kalendarzu Majów, najdokładniejszym na świecie, i poznaliśmy równanie Wenus. Zostało dowiedzione, że wszystkie budowle w Chichen Itza, Tikal, Copan czy Palenque wzniesiono na podstawie wspaniałego kalendarza Majów. Nie budowano piramidy dlatego, że jej

potrzebowano, podobnie jak nie wznoszono świątyni, gdyż była niezbędna. Budowano je, ponieważ kalendarz nakazywał, aby co 52 lata wykonać określoną partię prac budowlanych. Każdy kamień pozostaje w związku z kalendarzem, każdy zbudowany gmach jest wykonany dokładnie według zasad astronomicznych.

To jednak, co wydarzyło się około 600 r. po Chr., jest absolutnie niepojęte! Cały naród nagle i bez powodu opuścił swoje żmudnie i solidnie zbudowane miasta z ich bogatymi świątyniami, kunsztownymi piramidami, placami obramowanymi posągami oraz wspaniałymi stadionami. Dżungla wdarła się na ulice i do gmachów, rozsadzając ich mury. Nikt nigdy nie powrócił do opuszczonych miast.

Spróbujmy odnieść to wydarzenie, tę niezwykłą wędrówkę ludów, do realiów Egiptu. Całe pokolenia budowały według wskazówek kalendarza świątynie, piramidy, miasta, zbiorniki wodne i ulice, mozolnie kształtowano z kamienia za pomocą prymitywnych narzędzi wspaniałe rzeźby dla ozdoby okazałych budowli, a kiedy ta trwająca ponad tysiąc lat praca została ukończona — ludzie opuszczają swe siedziby i przenoszą się w nieprzyjazny im rejon na północy. Takie postępowanie, ulokowane w bliższej nam cywilizacji, wydaje się nie do pomyślenia, gdyż jest bezsensowne. Im bardziej wydarzenie jest niezrozumiałe, tym liczniejsze są próby interpretacji i mętne wyjaśnienia. Początkowo pojawiła się wersja, że Majów mogli wypędzić obcy przybysze. Kto jednak mógłby dorównać wówczas Majom, znajdującym się w

szczytowym punkcie rozwoju swej cywilizacji i kultury? Nigdzie nie znaleziono żadnego śladu pozwalającego na wyprowadzenie wniosku o starciach zbrojnych. Godna uwagi jest idea, że wędrówkę ludów mogła spowodować duża zmiana klimatu. Nie ma jednak poszlak na rzecz tej interpretacji. Jak zresztą mogłyby być, skoro Stare Państwo Majów dzieli od granic Nowego Państwa tylko około 350 kilometrów w linii prostej, czyli odległość nie wystarczająca do ucieczki przed katastrofą klimatyczną. Również przypuszczenie, że Majów skłoniła do wędrówki szalejąca epidemia, wymaga poważnej weryfikacji. Interpretacja ta, jedna z wielu, nie ma na swe poparcie najmniejszego nawet dowodu. Może nastąpiła wojna pokoleń? Młoda generacja wystąpiła przeciwko starej? Doszło do wojny domowej, do rewolucji? Gdyby przychylić się do jednej z tych możliwości, to jest przecież jasne, że tylko część ludności, mianowicie pokonani, opuściłaby kraj, zaś zwycięzcy pozostaliby na miejscu. Badania archeologiczne nie dostarczyły ani jednej wskazówki, aby został tu choć jeden przedstawiciel Majów! Wywędrował nagle cały naród, zostawiając w dżungli swe świętości bez opieki.

Do licznego chóru interpretatorów chcielibyśmy dołączyć swój głos, nową tezę, równie mało dowiedzioną jak wszystkie pozostałe spekulacje, nie mogące do dzisiaj przytoczyć na swe poparcie żadnych niezbitych

faktów. Naszej propozycji przypisujemy zatem śmiało i z przekonaniem taki sam stopień prawdopodobieństwa, jaki mają inne wyjaśnienia.

Przodkowie Majów zostali kiedyś, w bardzo dawnych czasach odwiedzeni przez „bogów" (w których domyślamy się kosmitów). Szereg poszlak wspiera przypuszczenie, że przodkowie ludów amerykańskich przybyli ze starożytnego Wschodu. W świecie Majów ścisłą tajemnicą otaczano święte przekazy dotyczące astronomii, matematyki i kalendarza! „Bogowie" dali słowo, że powrócą pewnego dnia i kapłani chronili otrzymaną wiedzę: stworzyli nową, wspaniałą religię, a mianowicie kult Kukulcana, czyli „Latającego Węża".

Zgodnie z informacjami kapłanów, „bogowie" zamierzali ponownie przybyć z nieba wtedy, gdy gotowe już będą wielkie budowle wzniesione według zasad kalendarza. Kapłani dopingowali lud do budowy świątyń i piramid zgodnie ze świętym rytmem gwiazd, gdyż rok ukończenia dzieła miał być czasem radości. Bóg Kukulcan, który przybędzie z gwiazd, obejmie w swe posiadanie budowle i odtąd znowu zamieszka wśród ludzi.

Tymczasem prace zostały zakończone, czas powrotu boga nadszedł — i nic się nie działo! Lud wznosił modły, śpiewał i czekał przez cały długi rok. Na próżno składano w ofierze niewolników, kosztowności, kukurydzę i oliwę. Nieme niebo nie dawało żadnego znaku. Nie pokazał się żaden wóz

niebiański, nie słyszano żadnego szumu ani odległego huku. Nic, absolutnie nic się nie wydarzyło.

O ile nasza hipoteza jest słuszna, to rozczarowanie kapłanów i całego ludu musiało być straszliwe, gdyż wysiłek tysięcy lat poszedł na marne. Zrodziły się wątpliwości. Może w obliczeniach astronomicznych znajdował się błąd? Czy „bogowie" zjawią się w innym miejscu? Może ludzie padli ofiarą strasznej pomyłki?

Trzeba przypomnieć, że mistyczny rok Majów, dający początek kalendarzowi, przypadał na 3114 r. prz. Chr., o czym świadczą ich pisma. Jeśli przyjąć tę datę za udowodnioną, to między nią a początkiem kultury egipskiej jest tylko kilkaset lat różnicy. Ten legendarny wiek wydaje się autentyczny, gdyż powtarza się wielokrotnie w precyzyjnym kalendarzu Majów. Skoro tak, to wątpliwości wzbudza nie tylko kalendarz i wędrówka ludów, ale dodatkowy jeszcze, stosunkowo nowy fakt.

Dopiero w 1935 r. znaleziono w Palenque (Stare Państwo) rysunek w kamieniu, przedstawiający najprawdopodobniej boga Kukumaca (zwanego na Jukatanie Kukulcan). Nie potrzeba wcale wybujałej fantazji, aby skłonić do refleksji nawet zdeklarowanego sceptyka, jeśli tylko spojrzy na ten rysunek bez uprzedzeń, w sposób można powiedzieć — naiwny.

Oto siedzi jakaś ludzka istota z pochylonym do przodu tułowiem, w pozycji kierowcy rajdowego, a jej pojazd każde

współczesne dziecko zidentyfikuje jako rakietę. Wehikuł jest z przodu spiczasty, następnie widać na nim dziwaczne, żłobkowate wybrzuszenia, podobne do rur ssących, potem rozszerza się, a na ogonie pojawia się płomień. Pochylona do przodu istota obsługuje rękami cały szereg nieznanych bliżej przyrządów kontrolnych, a piętę lewej stopy trzyma na czymś w rodzaju pedału. Ma na sobie ubiór stosowny do wykonywanego zajęcia: krótkie spodnie w kratkę z szerokim pasem, kurtka z modnym japońskim wycięciem pod szyją i dobrze dopasowane ściągacze na rękach i nogach. Na tle analogicznych wizerunków byłoby dziwne, gdyby na rysunku brakowało skomplikowanego kapelusza! Jest on rzecz jasna obecny w postaci antenowatego nakrycia głowy z wybrzuszeniami i rurkami. Pozycja ciała dokładnie ukazanego kosmonauty sygnalizuje pracę, a kosmita uważnie wpatruje się w aparat wiszący tuż przed jego twarzą. Kabina astronauty oddzielona jest przegrodą od tylnej części pojazdu, gdzie dostrzec można równomiernie rozłożone skrzynki, koła, punkty i spirale.

Co przekazuje ten rysunek? Nic? Czy wszystko, co wiąże go z lotami kosmicznymi jest tylko głupią fantazją?

Jeśli z łańcucha przesłanek usunie się także kamienny relief z Palenque, to należy wątpić w rzetelność, z jaką bada się najważniejsze znaleziska. Przecież nikt nie doznaje urojeń wzrokowych, analizując ten wyraźnie widoczny rysunek.

Dlaczego Majowie — kontynuujmy ciąg pytań, na które nie ma dotąd odpowiedzi — zbudowali swe najstarsze ośrodki w dżungli, dlaczego nie nad rzeką lub nad morzem? Tikal leży np. 175 km w linii prostej od Zatoki Honduraskiej, 260 km na północny zachód od zatoki Campeche i 380 km w linii prostej na północ od Pacyfiku. Majom z całą pewnością nieobcy był kontakt z morzem, o czym świadczy wiele przedmiotów wykonanych z korali, muszli i skorupiaków. Skąd zatem ta „ucieczka" w dżunglę? Po co budować zbiorniki, skoro można osiedlić się w pobliżu naturalnych zasobów wodnych. Tylko w samym Tikal znajduje się 13 zbiorników o pojemności 154 310 m3. Dlaczego trzeba było koniecznie żyć, budować i pracować tutaj, a nie w jakimś bardziej „logicznie" położonym miejscu?

Po swym wielkim marszu rozczarowani Majowie założyli na północy nowe państwo. I znowu powstały według kalendarza miasta, świątynie i piramidy. Chcąc dać wyobrażenie o dokładności kalendarza Majów,

zamieszczamy tu ich jednostki czasu:

20 kinów = 1 uinal, czyli 20 dni

18 uinalów = 1 tun, czyli 360 dni

20 tunów = 1 katun, czyli 7200 dni

20 katunów = 1 baktun, czyli 144 000 dni

20 baktunów = 1 pictun, czyli 2 880 000 dni

20 pictunów = 1 calabtun, czyli 57 600 000 dni

20 calabtunów = 1 kinchiltun, czyli l 152 000 000 dni

20 kinchiltunów = l alautun, czyli 23 040 000 000 dni

Ale nie tylko kamienne schody zbudowane zgodnie z kalendarzem górowały nad zielonym dachem dżungli, gdyż wzniesiono tam także obserwatoria!

Obserwatorium w Chichen Itza jest najstarszą rotundą Majów. Nawet dzisiaj ten odrestaurowany budynek robi wrażenie nowoczesnego obserwatorium. Rotunda ulokowana na trzech tarasach wznosi się wysoko nad dżunglą, a wewnętrzne kręcone schody prowadzą do najwyższego punktu obserwacyjnego. Otwory i szczeliny w kopule, skierowane na poszczególne gwiazdy, dają w nocy ciekawy efekt rozgwieżdżonego nieba. Na ścianach zewnętrznych znajdują się maski boga deszczu... i rysunki skrzydlatej ludzkiej postaci.

Rzecz jasna astronomiczne zainteresowania Majów nie są dostatecznym uzasadnieniem dla naszej hipotezy o ich związkach z inteligentnymi istotami na innych planetach. Liczba pytań, na które nie ma dotąd odpowiedzi, budzi konsternację: Skąd Majowie znali planety Urana i Neptuna?... Dlaczego wizjery w obserwatorium w Chichen nie są

skierowane na najjaśniejsze gwiazdy?... O czym świadczy naskalny rysunek podróżującego rakietą boga z Palenque?... Jaki sens miał kalendarz Majów, zawierający obliczenia sięgające 400 milionów lat?... W jaki sposób obliczyli długość roku słonecznego i roku Wenus z dokładnością do czwartego miejsca po przecinku?... Kto przekazał im tę niepojętą wiedzę astronomiczną?... Czy każdy fakt z osobna był przypadkowym tworem geniuszu Majów, czy też może za każdym z nich, a zwłaszcza za wszystkimi razem tkwi wiele więcej, może jakieś oszałamiające przesłanie dla bardzo odległej przyszłości, postrzeganej z ówczesnego punktu widzenia?

Jeśli posortujemy wszystkie fakty i nawet bardzo z grubsza oddzielimy ziarno od plew, to pozostanie jeszcze tak dużo niedorzeczności i licznych „niemożliwości", że badania naukowe powinny otrzymać

gwałtowny bodziec do wielkich, nowych wysiłków w celu przynajmniej częściowego rozwiązania licznych zagadek. W naszych czasach nauka nie powinna bowiem zadowalać się już konstatacją, że coś jest „niemożliwe".

Musimy opowiedzieć jeszcze pewną ponurą historię, historię Sacred Well — świętej cenoty z Chichen Itza. Z zalegającego tam cuchnącego mułu Edward Herbert Thompson wydobył nie tylko ozdoby i przedmioty artystyczne, ale także szkielety młodzieńców i dziewcząt. Opierając się na starych źródłach Diego de Landa twierdził, że w okresie suszy kapłani pielgrzymowali do świętego zdroju i

dla złagodzenia gniewu boga deszczu wrzucali do zbiornika w czasie uroczystej ceremonii dziewczęta i chłopców.

Tezę de Landy potwierdziło odkrycie Thompsona. Ta okrutna historia wydobywa ze studziennych głębin na światło dzienne nowe pytania. Jak powstał ten zbiornik wodny?... Dlaczego ogłoszono go źródłem świętym?... Dlaczego właśnie ta cenota, skoro jest kilka innych podobnych?

Zaledwie 70 metrów od obserwatorium Majów w dżungli kryje się dokładne odwzorowanie świętej cenoty z Chichen Itza. Otwór pilnowany przez węże, jadowite wije i natrętne insekty ma takie same wymiary, jak „prawdziwa" studnia, jego prostopadłe ściany są tak samo zwietrzałe, porośnięte i zarośnięte dżunglą. Oba zbiorniki są do siebie wprost zdumiewająco podobne. Mają nawet tak samo wysokie lustro wody, która w obu wypadkach mieni się kolorami od zieleni do brązu i krwawej czerwieni. Bez wątpienia obie studnie są tego samego wieku i być może zawdzięczają swe powstanie uderzeniom meteorytów. Jednak współczesna nauka zajmuje się tylko świętą studnią z Chichen Itza. Druga, tak bardzo podobna, nie pasuje do schematu, choć obie oddalone są o 900 metrów od najwyższej piramidy w Castillo, należącej do boga Kukulcana, czyli „Latającego Węża".

Wąż stanowi symbol prawie wszystkich budowli Majów. Jest to zastanawiające, gdyż lud żyjący pośród wspaniale bujnej roślinności powinien pozostawić na swych naskalnych rysunkach także jakieś motywy kwiatowe. Jednak

wszędzie spotykamy budzącego wstręt węża. Od najdawniejszych czasów wąż wije się w pyle zakurzonej ziemi. Dlaczego wyposażono go tutaj w zdolność latania? Jako symbol zła został przecież skazany na pełzanie. Jak można oddawać boską cześć tak odrażającej kreaturze i po co jej zdolność latania? A u Majów wąż umiał latać. Bóg Kukulcan (= Kukumac) odpowiada prawdopodobnie późniejszemu bogu Quetzalcoatlowi. Co przekazują o nim legendy Majów?

Quetzalcoatl nosił brodę i przybył w białej szacie z odległej krainy wschodzącego Słońca. Nauczył ludzi wszystkich umiejętności, praw, sztuk i zwyczajów oraz wydał bardzo mądre ustawy. Powiada się, że za jego panowania kłosy kukurydzy osiągały wzrost dorosłego człowieka, zaś bawełna rosła na kolorowo. Kiedy Quetzalcoatl wypełnił swoją misję, powędrował — głosząc po drodze swą naukę — z powrotem ku morzu, by wejść na statek, który powiózł go ku Gwieździe Porannej. Prawie wstydzimy się już wspominać, że także brodaty Quetzalcoatl obiecał powrócić.

Nie brakuje interpretacji dotyczących pojawienia się mądrego, starego męża. Przypisuje się mu rolę swego rodzaju Mesjasza, gdyż istotnie brodaty mężczyzna w tych szerokościach geograficznych nie jest zjawiskiem codziennym. Istnieje nawet odważna wersja upatrująca w starym Quetzalcoatlu jednego z uczniów Jezusa! Nas to jednak nie przekonuje. Ktokolwiek przybyłby do Majów ze Starego Świata, ten znał koło przenoszące ludzi i rzeczy. Czy dla mędrca, dla boga jak Quentzalcoatl, który okazał się

misjonarzem, prawodawcą, lekarzem i doradcą w wielu sprawach życiowych, nie byłoby czymś całkowicie oczywistym, aby nieszczęsnych Majów nauczyć przede wszystkim zastosowania koła i wozu? Ci natomiast nigdy nie używali tych przyrządów.

Zwiększmy jeszcze zamęt myślowy przytaczając zestaw dziwacznych zjawisk z zamierzchłej przeszłości!

Greccy poławiacze gąbek znaleźli w 1900 r. na wysokości wyspy Antikythera stary wrak wypełniony posągami z marmuru i brązu. Dzieła sztuki zostały zabezpieczone, a późniejsze badania wykazały, że statek musiał zatonąć mniej więcej na początku naszej ery. Podczas sortowania znaleziono wśród różnych rupieci bezkształtną bryłę, która okazała się ważniejsza od wszystkich posągów razem wziętych. Po dokładnym zbadaniu i oczyszczeniu odkryto brązową płytę z kołami, napisami i kołami zębatymi, a wkrótce wiadomo już było, że napisy te musiały mieć związek z astronomią. Po oczyszczeniu licznych detali ukazała się dziwna konstrukcja — regularna maszyna z poruszającymi się wskazówkami, skomplikowaną skalą i zapisanymi płytkami metalowymi. Zrekonstruowana machina składa się z ponad 20 kółek, swego rodzaju napędowych mechanizmów różnicowych i koła głównego. Po jednej stronie jest obrotowy wałek, który wszystkie skale wprawia w ruch o różnej szybkości. Wskazówki chronione są pokrywkami z brązu, na których umieszczono długie napisy. Czy wobec istnienia „maszyny z Antikythery" można mieć jeszcze najmniejsze

wątpliwości, że w starożytności działali mechanicy precyzyjni pierwszej klasy? Znaleziony przyrząd jest tak skomplikowany, że prawdopodobnie nie był pierwszym modelem takiego urządzenia. Amerykański profesor Solla Price dopatrywał się w nim czegoś w rodzaju maszyny liczącej, która pozwalała na obliczanie ruchów Księżyca, Słońca a zapewne także innych planet.

Nie jest tak ważne, że maszyna wykazuje rok produkcji 82 prz. Chr. Bardziej interesujące byłoby zbadanie, kto skonstruował pierwszy model tego zminiaturyzowanego planetarium!

Fryderyk II, cesarz z dynastii Hohenstaufów, przywiózł, jak podają źródła, z piątej wyprawy krzyżowej w 1229 r. niezwykły namiot, pochodzący ze Wschodu. Wewnątrz namiotu znajdował się mechanizm zegarowy a przez kopulasty dach widać było poruszające się gwiazdozbiory! Jeszcze jedno starożytne planetarium... Przyjmujemy do wiadomości jego istnienie, gdyż wiemy, że były wówczas przesłanki

techniczne niezbędne do wykonania tej pracy. Sprawa planetarium niepokoi nas, gdyż w czasach Chrystusa nie było jeszcze wyobrażenia stałego układu gwiazd na niebie przy uwzględnieniu obrotów kuli ziemskiej. Nawet starożytni, wykształceni astronomowie chińscy i arabscy nie służą nam tu pomocą, zaś Galileusz z całą pewnością urodził się 1500 lat później... Turysta zwiedzający Ateny nie powinien pominąć „maszyny z Antikythery", która przechowywana jest w

Narodowym Muzeum Archeologicznym. O namiotowym planetarium Fryderyka II zachowały się natomiast tylko relacje pisemne.

Nawet jeśli starożytność była szara, to zostawiła nam zabawne rzeczy:

Na skałach pustynnej wyżyny Marcahuasi znaleziono 3800 m n.p.m. zarysy zwierząt, których przed 10 000 lat nie było w Ameryce Południowej — wielbłądów i lwów.

W Turkiestanie inżynierowie znaleźli półokrągłe twory z czegoś w rodzaju szkła lub ceramiki. Ich pochodzenie i znaczenie pozostaje dla archeologów niejasne.

W Dolinie Śmierci na pustyni Mojave znajdują się ruiny starego miasta, które musiało zostać zniszczone przez wielką katastrofę. Jeszcze dzisiaj widoczne są ślady stopionej skały i piasku. Ciepło wytworzone przez wybuch wulkanu nie wystarczyłoby do stopienia skał, a poza tym najpierw spaliłyby się budynki. Tylko promienie laserowe wytwarzają obecnie temperaturę dostatecznie wysoką dla takiej operacji. Dziwnym trafem na obszarze tym nie rośnie ani jedno źdźbło.

Handż el Guble, Kamień Południa, w Libanie waży dwa miliony kilogramów. Choć jest to kamień obrobiony, to z pewnością nie zdołały go poruszyć ludzkie ręce.

Na najbardziej niedostępnych ścianach skalnych w Australii, Peru i północnych Włoszech znajdują się sztucznie zrobione, nie zinterpretowane jeszcze oznakowania.

Teksty na złotych płytkach, znalezionych w Ur w Chaldei, informują o podobnych do ludzi „bogach", którzy przybyli z nieba i podarowali kapłanom te zapisy.

W takich krajach, jak Australia, Francja, Indie, Liban, RPA, Chile znajdują się dziwne czarne „kamienie", zawierające dużo aluminium i berylu. Najnowsze badania wykazały, że kamienie te w bardzo odległych czasach musiały podlegać silnemu napromieniowaniu radioaktywnemu i wysokim temperaturom.

Sumeryjskie tabliczki zapisane pismem klinowym ukazują gwiazdy stałe z planetami.

W Rosji znaleziono relief przedstawiający statek powietrzny składający się z dziesięciu kuł osadzonych w prostokątnej ramie, podtrzymywanej po obu stronach grubymi kolumnami, na których spoczywają kule. Wśród znalezisk rosyjskich znajduje się mała brązowa statuetka człekokształtnej istoty odzianej w ciężki ubiór, połączony hermetycznie z hełmem. Z ubraniem równie ściśle złączone są buty i rękawice.

Z pewnej babilońskiej tabliczki, znajdującej się w British Museum w Londynie, można odczytać minione i przyszłe zaćmienia Księżyca.

W Kunming, stolicy chińskiej prowincji Junnan, odkryto cylindryczne „maszyny", przypominające rakiety wznoszące się do nieba. Rysunki znajdowały się na

piramidach, które nieoczekiwanie wynurzyły się z dna jeziora Kunming podczas trzęsienia ziemi.

Jak wyjaśnia się nam te i wiele innych zagadek? Zbywanie hurtem starych przekazów jako fałszywych, błędnych i niewytłumaczalnych bez badania kontekstu nie jest niczym innym, jak nędzną wymówką. Podobnie jak bezczelnością jest określanie wszystkich przekładów jako wadliwych w wypadku trudności interpretacyjnych, ale posługiwanie się nimi skoro tylko ich informacje pasują do danej tezy. Wydaje się nam tchórzostwem zamykanie oczu i uszu wobec faktów — lub choćby hipotez — tylko dlatego, że nowe wnioski mogłyby wyrwać ludzi ze swojskiego schematu myślenia.

Codziennie, co godzina dokonuje się na świecie nowych odkryć. Nowoczesne środki transportu i komunikacji informują o odkryciach we wszystkich częściach kuli ziemskiej. Na podstawie przypadkowych danych można zbudować przy dobrej woli pewien system. Naukowcy wszystkich dyscyplin powinni z taką samą pasją badawczą odnosić się do doniesień z przeszłości, z jaką biorą twórczy udział w badaniu teraźniejszości. Dokonała się już pierwsza faza przygody związanej z odkrywaniem naszej przeszłości. Obecnie wraz z wejściem człowieka w Kosmos zaczyna się druga fascynująca przygoda w historii ludzkości

Rozdział X

Czy loty kosmiczne mają sens? — Kto korzysta z zainwestowanych miliardów? — Wojna albo podróże kosmiczne! — Jak to właściwie jest z wyśmiewanymi latającymi spodkami? — Już 60 lat temu nastąpiła eksplozja jądrowa — Czy księżyc Marsa jest sztucznym satelitą?

W dyskusji nad lotami kosmicznymi słyszy się ciągle pytanie, czy mają one sens. Względny lub całkowity bezsens eksploracji Kosmosu próbuje się wykazać przez banalne stwierdzenie, że nie powinno się prowadzić badań we Wszechświecie, skoro na Ziemi jest jeszcze tak dużo nie rozwiązanych problemów.

Nie chcąc popaść w niezrozumiałe dla laika wyjaśnienia naukowe, winniśmy podać tutaj parę tylko zupełnie oczywistych i nieodpartych argumentów, dla których badanie Kosmosu jest absolutną koniecznością.

Ciekawość i głód wiedzy stanowią od samego początku motyw nieustannej pracy badawczej człowieka. Dwa pytania: DLACZEGO coś się dzieje? i JAK się dzieje? były zawsze motorem rozwoju i postępu. Nieustannemu niepokojowi, jaki te pytania wywołują, zawdzięczamy swój obecny poziom

życia. Nowoczesne, wygodne środki transportu oszczędziły nam niewygód podróży, które były udziałem naszych dziadków. Wiele trudów pracy fizycznej odczuwalnie złagodziły maszyny, a nowe źródła energii, preparaty chemiczne, lodówki, różnorodny sprzęt domowy itd. itp. całkowicie uwolniły nas od wielu prac, przedtem wykonywanych tylko ręcznie. To, co stworzyła nauka, nie staje się przekleństwem, lecz raczej błogosławieństwem ludzkości. Nawet jej najbardziej odstraszający wytwór — bomba atomowa — okaże się dla ludzi korzystny.

Nauka współczesna osiąga wiele swych celów idąc jakby w siedmio-milowych butach. W dziedzinie fotografii trzeba było 112 lat, zanim powstało pierwsze użyteczne zdjęcie. Telefon nadawał się do użytku już po 56 latach, a w wypadku radia od wynalazku do prawidłowego odbioru audycji upłynęło zaledwie 35 lat badań naukowych. Udoskonalenie radaru wymagało już jednak tylko 15 lat! Etapy dzielące epokowe wynalazki od ich zastosowania stają się coraz krótsze: telewizor czarno-biały zaprezentowano po 12 latach badań, a konstrukcja pierwszej bomby atomowej zajęła całe 6 lat! To tylko kilka przykładów postępu technicznego na przestrzeni 50 lat, budzących podziw i początkowo często grozę. Rozwój nauki następuje coraz szybciej, a do celu będą prowadzić coraz bardziej strome schody. Najbliższe 100 lat pozwoli na realizację większości odwiecznych marzeń ludzkości.

Nie bacząc na ostrzeżenia i opory człowiek poszedł własną drogą. Wbrew archaicznym przestrogom, że woda jest żywiołem ryb, a przestworza środowiskiem ptaków, człowiek podbił te nie dla siebie przeznaczone obszary. Wbrew wszelkim tzw. prawom natury człowiek lata, zaś w atomowych łodziach podwodnych żyje pod wodą całymi miesiącami. Dzięki swej inteligencji zbudował sobie skrzydła i skrzela, których poskąpił mu Stwórca.

Kiedy Charles Lindbergh startował do swego legendarnego lotu, jego bezpośrednim celem był Paryż. Oczywiście nie chodziło mu o wycieczkę do stolicy Francji, lecz o wykazanie, że człowiek jest w stanie samotnie i bez szkody dla siebie przelecieć przez Atlantyk. Pierwszym celem lotów kosmicznych jest Księżyc, ale dzięki tej nowej idei naukowo-technicznej ludzie pragną udowodnić, że człowiek potrafi poradzić sobie także we Wszechświecie!

Po co zatem podróże kosmiczne?

W ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat nasza planeta będzie beznadziejnie i nieodwołalnie przeludniona. Statystycy szacują, że w roku 2050 liczba ludności wyniesie 8,7 miliarda! Zaledwie 200 lat później będzie już 50 miliardów i w rezultacie na jednym kilometrze kwadratowym będzie musiało żyć 335 ludzi. Wprost niewiarygodne! Pigułki uspokajające w rodzaju teorii o pożywieniu pozyskiwanym z morza albo wręcz o zaludnieniu dna morskiego okażą się, szybciej niż chcieliby tego najśmielsi optymiści, złudnym remedium na

eksplozję ludnościową. Na indonezyjskiej wyspie Lombok w pierwszym półroczu 1966 r. umarło z głodu ponad 10 tysięcy ludzi, którzy rozpaczliwie próbowali utrzymać się przy życiu jedząc ślimaki i rośliny. Sekretarz generalny ONZ U Thant ocenia liczbę dzieci zagrożonych głodem w Indiach na 20 milionów. Jest to dowód na słuszność twierdzenia profesora Mohlera z Zurychu, że głód sięga po władzę nad światem.

Wykazano już, że produkcja żywności nie dotrzymuje kroku wzrostowi ludności i to mimo stosowania najnowocześniejszych środków technicznych i nawozów sztucznych. Współczesny świat zawdzięcza chemii również preparaty umożliwiające kontrolę urodzeń. Jednak na nic się one zdadzą, skoro kobiety w krajach zacofanych nie zrobią z nich żadnego użytku!

Tylko w wypadku, gdyby udało się w najbliższych 10 latach, czyli do 1980 r., obniżyć wskaźnik urodzeń o połowę, produkcja żywności dorównałaby przyrostowi ludności. Jednak niestety nie możemy na to liczyć, ponieważ barierę wzniesioną z uprzedzeń, względów rzekomo etycznych i zasad religijnych przełamuje się w tempie wolniejszym, niż narasta nieszczęście przeludnienia. Czyżby umieranie co roku z głodu milionów ludzi było bardziej humanitarne, albo wręcz bardziej zgodne z wolą bożą, niż zapobieganie narodzinom?

Jednak nawet gdyby w odległej przyszłości udało się przymusowo przeforsować kontrolę urodzeń, nawet gdyby powiększyła się powierzchnia upraw, plony wzrosły dzięki

nieznanym jeszcze dzisiaj środkom, rybołówstwo zwielokrotniło połowy, a pola glonowe na dnie morza dostarczały pożywienia, gdyby nastąpiło to wszystko i jeszcze więcej, to cały problem przesunąłby się tylko w czasie może o jakieś 100 lat. Człowiek potrzebuje nowej przestrzeni życiowej.

Jesteśmy przekonani, że pewnego dnia ludzie osiedlą się na Marsie i zaaklimatyzują się tam równie dobrze, jak uczyniliby to Eskimosi przeniesieni do Egiptu. Planety, osiągalne dzięki gigantycznym statkom kosmicznym, zostaną zaludnione przez naszych wnuków, którzy skolonizują nowe światy, tak jak w nieodległej przeszłości została zasiedlona Ameryka i Australia. Dlatego musimy prowadzić badania Kosmosu! Musimy dać naszym wnukom szansę przeżycia! Każde pokolenie, które zaniecha tego zadania, skazuje w przyszłości całą ludzkość na śmierć głodową.

Nie chodzi o jakieś abstrakcyjne badania, interesujące tylko specjalistów. Temu, kto nie poczuwa się do odpowiedzialności za przyszłość, można przypomnieć, że wyniki badań kosmicznych uchroniły nas przed trzecią wojną światową! Czyż to właśnie nie groźba totalnej zagłady odwiodła wielkie mocarstwa od rozstrzygania sporów i konfliktów przy pomocy wielkiej wojny? Żaden Rosjanin nie musi już wkraczać na ziemię amerykańską, aby zamienić USA w pustynię, a żaden Amerykanin nie musi już ginąć w Rosji, gdyż po uderzeniu atomowym cały kraj w wyniku napromieniowania i tak stanie się jałowy i nie do

zamieszkania. Choć może to zabrzmieć absurdalnie, ale dopiero rakiety międzykontynentalne zapewniły nam względny pokój.

Przy różnych okazjach słychać opinię, że miliardy lokowane w badaniach Kosmosu powinno się raczej przeznaczać na pomoc dla krajów rozwijających się. Pogląd ten jest błędny. Państwa uprzemysłowione udzielają pomocy nie tylko ze względów charytatywnych czy politycznych, ale także — co zrozumiałe — po to, aby otworzyć rynki zbytu dla rodzimego przemysłu. Pomoc, jakiej żądają kraje zacofane, jest nieistotna w dłuższej perspektywie czasowej.

Szacuje się, że w Indiach żyło w 1966 r. 1,6 miliarda szczurów, z których każdy pochłaniał rocznie około pięciu kilogramów żywności. Jednak władze państwowe nie mają odwagi zlikwidować tej plagi, gdyż religia hinduska chroni szczury. W tych samych Indiach włóczy się 80 milionów krów, które ani nie dają mleka, ani nie są używane jako zwierzęta pociągowe, nie mówiąc już o tym, że nie wolno ich zabić. W kraju, którego rozwój ku nowoczesności hamują tak liczne religijne tabu i prawa, musi minąć jeszcze wiele pokoleń, zanim zostaną usunięte zgubne zwyczaje, obyczaje i przesądy. Także tutaj środki komunikacji typowe dla epoki kosmicznej, takie jak gazety, radio i telewizja, służą postępowi i oświacie. Świat stał się sobie bliższy. Ludzie wiedzą i dowiadują się wzajemnie od siebie więcej niż dawniej. Aby przekonać się ostatecznie, że granice państw są reliktem minionych czasów, potrzeba podróży kosmicznych.

Rozwinięta dzięki nim technika spopularyzuje przekonanie, że maleńkie na tle Wszechświata rozmiary narodów i kontynentów mogą być tylko zachętą do współpracy w badaniu Kosmosu. W każdej epoce ludzkość potrzebowała wyższej idei, która ponad przyziemnymi problemami pozwalała urzeczywistniać sprawy pozornie nieosiągalne.

W społeczeństwie przemysłowym bardzo ważkim argumentem na rzecz badań kosmicznych jest powstanie nowych gałęzi gospodarki dających zatrudnienie setkom tysięcy ludzi, którzy stracą poprzednie miejsca pracy w wyniku racjonalizacji produkcji. „Przemysł kosmiczny" w USA już teraz przejął od przemysłu samochodowego i stalowego funkcję barometru koniunktury. Ponad 4000 nowych artykułów zawdzięcza swe powstanie eksploracji Kosmosu, gdyż są one jakby „produktami odpadowymi" głównych badań. Te produkty uboczne w sposób naturalny weszły do naszego życia codziennego i konsumenci nie zastanawiają się nad ich genezą. Elektroniczne maszyny liczące, mininadajniki i miniodbiorniki, tranzystory w aparatach radiowych i telewizyjnych zostały wynalezione na marginesie zasadniczych badań, podobnie zresztą jak patelnie, na których nie przypalają się już potrawy przyrządzane bez tłuszczu. Precyzyjne instrumenty pokładowe we wszystkich samolotach, w pełni automatyczne urządzenia nadzorujące i automaty samosterujące, a także — nie na ostatnim miejscu — szybko rozwijająca się komputeryzacja są pochodną tak często odsądzanych od czci i wiary badań kosmicznych. Stanowią

wkraczające w prywatne życie człowieka elementy szeroko zakrojonego programu rozwoju. Istnieje cały legion spraw, o których laik nie ma pojęcia: nowe technologie spawania i smarowania w warunkach wysokopróżniowych, komórki fotoelektryczne i nowe miniaturowe źródła energii, pokonujące duże odległości.

Z rzeki pieniędzy budżetowych, zasilającej badania kosmiczne, małymi strumyczkami płyną z powrotem do podatnika korzyści z wielkich inwestycji. Narody, które w żadnej formie nie uczestniczą w eksploracji Kosmosu, zostaną stłamszone przez postępującą rewolucję techniczną. Takie nazwy i pojęcia, jak Telstar, Echo, Relay, Trios, Mariner, Ranger, Syncom są znakami na drodze niepohamowanego postępu.

Zasoby energetyczne Ziemi nie są nieograniczone i dlatego pewnego dnia program kosmiczny zyska żywotne znaczenie, gdyż będziemy musieli sprowadzać materiały rozszczepialne z Marsa, Wenus albo innej planety, aby zapewnić oświetlenie naszym miastom i ogrzewanie naszym domom. Ponieważ elektrownie atomowe wkrótce będą produkować najtańszą energię, masowa produkcja przemysłowa będzie zdana na to źródło energii w sytuacji, gdy na Ziemi wyczerpią się zapasy surowca. Każdy dzień zaskakuje nas nowymi wynikami badań. Tradycyjne przekazywanie zdobytej wiedzy z ojca na syna należy już do nieodwołalnej przeszłości. Technik, który reperuje radioodbiornik działający na zasadzie prostego naciśnięcia

guzika, musi się znać na technice tranzystorowej i skomplikowanych obwodach scalonych wtopionych często w tworzywo sztuczne. Niedługo będzie musiał zająć się także mikroelektroniką. Wiedzę, którą dzisiaj przyswaja sobie Jaś-uczeń, jutro będzie musiał uzupełniać Jan-czeladnik. O ile majster z epoki naszych dziadków dysponował umiejętnościami wystarczającymi na całe życie, to majster obecnie i w przyszłości musi na bieżąco dodawać nowe wiadomości do starej wiedzy.

Nasze Słońce, choćby dopiero za miliony lat, w końcu jednak wypali się i zamrze. Nie trzeba zresztą wcale strasznego momentu, kiedy jakiś polityk straci nerwy i uruchamiając mechanizm atomowej zagłady wywoła katastrofę, gdyż Ziemię może zniszczyć nieokreślone i nieznane zjawisko kosmiczne. Nigdy dotąd człowiek nie pogodził się z myślą o takiej możliwości — nawet wtedy, gdy będąc wyznawcą jednej z wielu tysięcy religii ma nadzieję na wieczne życie duszy.

Dlatego sądzimy, iż badanie Kosmosu nie jest rezultatem wolnego wyboru, lecz że człowiek idzie za silnym wewnętrznym przymusem, badając perspektywy swej przyszłości we Wszechświecie. Podobnie jak głosimy hipotezę, że w zamierzchłej przeszłości odwiedzili nas kosmici, tak zakładamy również, iż nie jesteśmy jedynymi istotami rozumnymi w Kosmosie. Co więcej, podejrzewamy istnienie starszych i bardziej rozwiniętych inteligencji. Twierdząc, że wszystkie istoty inteligentne z własnej potrzeby

prowadzą badania Kosmosu, przenosimy się istotnie na moment do krainy utopii i mamy świadomość wkładania kija w mrowisko!

Od przeszło 20 lat stale pojawiają się „latające spodki" nazywane w specjalistycznej literaturze UFO — skrótem wyprowadzonym od amerykańskiego określenia Unidentified Flying Objects. Zgorszenie, że chcemy poważnie potraktować urojone UFO, zniknie być może, jeśli zajmiemy się kolejnym ważkim argumentem uzasadniającym podróże kosmiczne.

Powiada się, że badania kosmiczne są nierentowne, a żadne bogate państwo nie może bez obawy bankructwa łożyć na nie ogromnych środków. Rzecz jasna badania naukowe same w sobie nigdy nie były dochodowe i dopiero ich wyniki pozwalały na zwrot nakładów. Całkiem nierealistycznie zatem oczekuje się od badań kosmicznych amortyzacji i zysków już na obecnym etapie. Nie ma zresztą bilansu zysków, jakie przyniosło 4000 „produktów ubocznych" badań. Nie ulega dla nas wątpliwości, że opłacają się one wyjątkowo dobrze. Kiedy osiągną swój cel, będziemy mogli nie tylko odcinać od nich kupony, ale w pełnym znaczeniu tego słowa przyniosą one ludzkości ratunek przed zagładą. Na marginesie można tylko zaznaczyć, że już teraz cała seria satelitów COMSAT wzbudza zainteresowanie ekonomistów.

Tygodnik „Stern" informował w listopadzie 1967 r.:

„Większość medycznych aparatów ratujących życie pochodzi z Ameryki. Są one wynikiem systematycznego

wykorzystywania osiągnięć z dziedziny atomistyki, kosmonautyki i techniki wojskowej. Są także efektem nowego typu współdziałania koncernów przemysłowych ze szpitalami w Ameryce, co prawie codziennie przynosi medycynie nowe sukcesy.

Firma lotnicza Lockheed i sławna klinika Mayo podjęły na przykład współpracę w celu stworzenia nowego systemu opieki medycznej na podstawie techniki komputerowej. Z kolei konstruktorzy firmy lotniczej North American Ayiation majsterkują zgodnie ze wskazówkami lekarzy przy tak zwanym pasku rozedmowym, który ma ułatwić oddychanie pacjentom z niewydolnością płuc. Agencja ds. Lotów Kosmicznych NASA dostarczyła pomysłu pewnego aparatu diagnostycznego. Otóż urządzenie, pomyślane w zasadzie do mierzenia uderzeń mikrometeorytów w statek kosmiczny, rejestruje bardzo dokładnie drgania mięśni w niektórych schorzeniach neurologicznych.

Ratujący życie stymulator serca — to również produkt uboczny amerykańskiej techniki komputerowej. Obecnie już ponad 2000 Niemców nosi go w swej klatce piersiowej. Jest to instalowany pod skórą minigenerator o zasilaniu bateryjnym. Lekarze przesuwają z niego przewód przez górną żyłę szyjną do prawej komory serca. W rezultacie regularne impulsy elektryczne pobudzają serce do rytmicznych skurczów. Serce bije. Baterię stymulatora, która wypala się po trzech latach, można wymienić w trakcie stosunkowo prostej operacji.

Amerykański koncern elektryczny General Electric ulepszył w ubiegłym roku to małe cudo techniki medycznej, wprowadzając model dwubiegowy. Kiedy osoba ze stymulatorem chce zagrać w tenisa albo podbiec do pociągu, przeciąga krótko magnetycznym paskiem w miejscu, gdzie zainstalowany jest generator. Serce natychmiast zaczyna pracować na wyższych obrotach".

Tyle informacja „Sterna", podająca dwa dodatkowe przykłady ubocznych produktów badań kosmicznych. Kto ma jeszcze odwagę powiedzieć, że są one niepotrzebne?

W artykule pod tytułem „Inspiracja dzięki rakietom księżycowym" tygodnik „Die Zeit" podaje w numerze 47 z listopada 1967 r. informację z innej dziedziny:

„Konstrukcjami pojazdów kosmicznych zbudowanymi z myślą o miękkim lądowaniu na Księżycu interesują się projektanci samochodów, gdyż dzięki nim znacznie można rozszerzyć wiedzę o zachowaniu się pojazdów w warunkach zniszczenia. Choć nie będzie możliwe, aby każdym przypadku zderzenia auto stało się bezpieczne dla pasażerów, to konstrukcje stosowane z dużym powodzeniem w kosmonautyce mogą przyczynić się do zmniejszenia ryzyka kolizji. Dużą trwałość przy małym ciężarze zapewnia konstrukcja zwana 'plastrem miodu', znajdująca coraz większe zastosowanie w nowoczesnym lotnictwie. Została one też praktycznie wypróbowana w przemyśle samochodowym.

Podwozie próbnego samochodu Rovera, napędzanego turbiną gazową, zbudowane jest właśnie z Honey Combs".

Ktoś, kto zna zaawansowanie i burzliwy rozwój badań kosmicznych, w ogóle nie musi zaprzątać sobie głowy uwagami typu: „Nigdy nie będą możliwe podróże międzygwiezdne". Już młodsze pokolenia naszych czasów będą świadkami, jak ta „niemożliwość" staje się rzeczywistością! Będzie się budować wielkie statki kosmiczne z niewyobrażalnie potężnymi silnikami. W listopadzie 1967 r. Rosjanom udało się połączenie dwóch bezzałogowych pojazdów kosmicznych w stratosferze! Część badaczy pracuje już nad pewnego rodzaju ekranem ochronnym — podobnym do elektrycznego łuku świetlnego — który umieszczony przed właściwą kapsułą zapobiegałby uderzaniu w nią cząsteczek materii względnie kierował je w bok. Grupa wybitnych fizyków pragnie dowieść istnienia tzw. tachionów. Chodzi tu o hipotetyczne cząsteczki, które poruszają się szybciej od światła, a których dolna prędkość równa jest prędkości światła. Wiadomo, że tachiony muszą istnieć i chodzi „tylko" o znalezienie fizycznego dowodu ich egzystencji. Przecież dowody na to, co „nie istnieje", dostarczono już dla neutrina i antymaterii! Najbardziej upartych krytyków w chórze przeciwników lotów kosmicznych można by zapytać: czy rzeczywiście sądzą, iż parę tysięcy być może najmądrzejszych ludzi naszych czasów z pasją poświęcałoby się pracy nad czystą utopią lub jakimś nieistotnym zagadnieniem?

Zajmijmy się zatem odważnie UFO, narażając się na niebezpieczeństwo, że nie zostaniemy potraktowani poważnie. Jeśli nawet tak się stanie, to znajdziemy się z naszymi rozważaniami w gronie godnych uznania, sławnych ludzi, co jest dużą pociechą.

UFO widziano zarówno w Ameryce jak i nad Filipinami, nad zachodnimi Niemcami i nad Meksykiem. Załóżmy nawet, że 98 procent ludzi uważających, iż widzieli UFO, w rzeczywistości spostrzegało

pioruny kuliste, balony metereologiczne, osobliwe konstelacje chmur, nieznane jeszcze typy samolotów lub dziwną grę światła i cienia na zmierzchającym niebie. Z pewnością całe chmary ludzi uległy zbiorowej histerii: utrzymują, że widzieli coś, czego w ogóle nie było. Naturalnie byli też na miejscu ważniacy, którzy na rzekomej obserwacji chcieli zbić kapitał, dostarczając prasie materiału w sezonie ogórkowym. Po

oddzieleniu wszystkich blagierów, kłamców, histeryków i fantastów, pozostaje jeszcze znaczna grupa trzeźwych obserwatorów, ludzi nieraz zawodowo zaznajomionych z podobnymi rzeczami. Zwykła gospodyni domowa czy farmer na Dzikim Zachodzie mogą się mylić, ale jeśli na przykład obiekt UFO widzi doświadczony pilot, to trudno zbyć tę relację jako nonsens. Pilot jest bowiem oswojony z mirażami, piorunami kulistymi, balonami metereologicznymi itp. Poza tym regularnie poddawany jest

badaniom sprawności wszystkich swoich zmysłów, w tym szczególnie ważnego wzroku, a kilka godzin przed lotem i podczas jego trwania nie wolno mu pić alkoholu. Nie ma też żadnego powodu, aby opowiadać głupstwa, gdyż łatwo mógłby stracić świetną, dobrze płatną pracę. Skoro jednak tę samą historię opowiada nie jeden kapitan lotnictwa, ale cała grupa pilotów (wśród nich wojskowi), to należy dobrze nadstawić uszu.

Nie wiemy, czym są UFO. Nie twierdzimy, że chodzić tu musi o obiekty latające obcych istot rozumnych, jakkolwiek mało argumentów można by przeciwstawić temu przypuszczeniu. Niestety autorowi tej książki podczas jego podróży po całej kuli ziemskiej nigdy nie dane było zaobserwować UFO. Możemy tylko przytoczyć parę wiarygodnych, poświadczonych relacji:

Amerykański departament obrony poinformował 5 lutego 1965 r., że specjalny wydział UFO otrzymał polecenie sprawdzenia relacji dwóch radiooperatorów. Obaj mężczyźni wykryli 29 stycznia 1965 r. na monitorach radarowych w bazie lotniczej w Maryland dwa nieznane obiekty latające, które zbliżały się do lotniska od południa z niezwykłą prędkością 7680 km/h. Na wysokości 50 km nad lotniskiem zrobiły nagły zwrot i szybko zniknęły z zasięgu radarów.

3 maja 1964 r. różni ludzie, w tym trzech meteorologów, obserwowali w Canberze w Australii duży, jasno świecący obiekt, który leciał na porannym niebie w

kierunku północno-wschodnim. Świadkowie pytani przez wysłanników NASA opisywali, jak owa „rzecz" dziwnie zataczała się i jak mniejszy przedmiot zderzył się z większym. Mały obiekt zapłonął czerwono i zgasł, podczas gdy duży zmierzając celowo w kierunku północno-zachodnim zniknął obserwatorom z oczu. Jeden z meteorologów powiedział zrezygnowany: „Zawsze wyśmiewałem się z tych historii i co mam powiedzieć teraz, gdy sam zobaczyłem taką rzecz na własne oczy?"

23 listopada 1953 r. na ekranie radarowym w bazie powietrznej Kinross w Michigan zauważono nieznany obiekt latający. Porucznik lotnictwa R. Wilson, wykonujący wówczas lot ćwiczebny na odrzutowcu F-86, dostał pozwolenie, aby śledzić „tę rzecz". Operatorzy radaru obserwowali, jak Wilson gonił nieznany przedmiot przez 160 mil. Nagle oba obiekty zlały się na ekranie radaru w jedno ciało. Wezwania do porucznika Witsona pozostały bez odpowiedzi. Obszar, nad którym doszło do niewyjaśnionego wydarzenia, został w następnych dniach przeczesany przez specjalne oddziały w poszukiwaniu szczątków wraku odrzutowca, a pobliskie Jezioro Górne zbadano na okoliczność śladów paliwa. Nie znaleziono niczego. Po poruczniku Wilsonie i jego maszynie zaginął wszelki ślad!

13 września 1965 r. sierżant policji Eugene Bertrand natknął się na drodze objazdowej w Exeter w stanie New Hampshire w USA tuż przed godziną pierwszą w nocy na zdenerwowaną kobietę przy kierownicy jej samochodu.

Kobieta nie chciała jechać dalej twierdząc, że olbrzymi, czerwonawo płonący latający przedmiot podążał za nią ponad 10 mil aż do objazdu nr 101, po czym zniknął w lesie.

Policjant, człowiek starszy i rzeczowy, sądził, że kobieta zmyśla co nieco, kiedy usłyszał przez radio w swoim wozie taki sam meldunek od innego patrolu. Jego kolega Gene Toland z kwatery głównej polecił mu natychmiast wracać do centrali, gdzie pewien młody człowiek opowiedział tę samą historię, którą sierżant słyszał już od kobiety. Także ten świadek uciekł do przydrożnego rowu przed czerwonawo żarzącym przedmiotem.

Policjanci udali się na patrol niechętnie, święcie przekonani, że cała ta bzdura znajdzie rozsądne wyjaśnienie. Przez dwie godziny przeszukiwali okolicę, wreszcie postanowili wracać. Przejeżdżali właśnie obok łąki, gdy sześć pasących się tam koni nagle popędziło dziko przed siebie. Prawie jednocześnie cała okolica zajaśniała jaskrawo czerwonym światłem. — Tam! Niech pan patrzy, tam! — krzyknął młody policjant. Istotnie nad drzewami unosił się ogniście czerwony obiekt, który powoli i bezgłośnie zmierzał w kierunku obserwatorów. Bertrand zawiadomił telefonicznie swego kolegę Tolanda, że właśnie widzi na własne oczy tę przeklętą rzecz. Teraz również farma leżąca na skraju drogi i okoliczne wzgórza spowiły się ostrą czerwoną poświatą. Drugi wóz policyjny z sierżantem Dave Huntem zatrzymał się z piskiem opon obok stojących mężczyzn.

— Do diabła — wyjąkał Dave. — Słyszałem, jak ty i Toland przekrzykiwaliście się w radiu. Myślałem, że dostaliście bzika... Ale to tutaj!

W przeprowadzonych później badaniach tego zagadkowego wydarzenia uczestniczyło 58 kompetentnych naocznych świadków, wśród nich meteorolodzy i członkowie straży nadbrzeżnej, czyli ludzie, których jako trzeźwych obserwatorów trudno byłoby posądzić o to, że nie są w stanie odróżnić balonu meteorologicznego od helikoptera, a spadającego satelity od samolotowych świateł pozycyjnych. Sprawozdanie zawiera rzeczowe dane, ale nie tłumaczy samego zjawiska.

5 maja 1967 r. wójt z Marliens na Złotym Wybrzeżu, niejaki Malliotte, odkrył na oddalonym o 623 metry od drogi polu koniczyny dziwną dziurę i znalazł głębokie na 30 centymetrów ślady jakiegoś koła o średnicy pięciu metrów. Od koła prowadziły we wszystkie strony bruzdy o głębokości dziesięciu centymetrów. Robiło to wrażenie, jakby w ziemi odcisnęła się ciężka krata metalowa. Tam, gdzie kończyły się bruzdy znajdowały się dziury głębokie na 35 cm, być może wciśnięte w ziemię przez „stopy" metalowej kraty. Szczególnie dziwny był drobny, fioletowobiały pył, zalegający w bruzdach i dziurach. Miejsce to zbadaliśmy w Marliens osobiście i z całą pewnością śladów tych nie mogły pozostawić duchy!

O czym świadczą te informacje? Jest pożałowania godne, w jaki sposób wielu ludzi i stowarzyszenia okultystyczne wykorzystują rzekome obserwacje. Zaciemniają przez to tylko rzeczywisty obraz i przeszkadzają zajmować się potwierdzonymi zjawiskami UFO poważnym uczonym, którzy w tej sytuacji obawiają się wystawienia siebie na pośmiewisko.

W audycji drugiego programu telewizji niemieckiej (ZDF) z 6 listopada 1967 r. poświęconej tematowi „Inwazja z Kosmosu?" pilot Lufthansy opowiedział o wydarzeniu, którego był naocznym świadkiem wraz z czterema innymi członkami załogi. Otóż 15 lutego 1967 r. około 10-15 minut przed lądowaniem w San Francisco ujrzeli w pobliżu swej maszyny obiekt o średnicy mniej więcej dziesięciu metrów, który jaskrawo świecąc leciał przez jakiś czas obok nich. Przekazali swą obserwację do Uniwersytetu Colorado, a tamtejsi specjaliści z braku lepszego wyjaśnienia wysunęli przypuszczenie, że obiekt był opadającym kawałkiem jakiejś rakiety. Pilot powiedział, że mając za sobą dwa miliony kilometrów w powietrzu nie wierzy — podobnie jak jego koledzy — iż spadający kawałek metalu mógłby przez kwadrans utrzymywać się w powietrzu i lecieć obok samolotu oraz że miałby takie rozmiary. Nie wierzy zaś w to wyjaśnienie tym bardziej, że niezidentyfikowane ciało latające można było obserwować z ziemi przez trzy kwadranse. Niemiecki pilot z całą pewnością nie robił wrażenia fantasty!

A oto dwa doniesienia z monachijskiej „Suddeutsche Zeitung" z 21 i 23 listopada 1967 r.:

„Belgrad (Informacja własna). Nieznane obiekty latające (UFO) obserwuje się od kilku dni nad różnymi rejonami południowo-wschodniej Europy. Pod koniec tygodnia astronom-amator sfotografował w Zagrzebiu trzy świecące na niebie przedmioty. Podczas gdy eksperci badali jeszcze wydrukowane w jugosłowiańskich gazetach zdjęcie, zameldowano już z górskich rejonów Czarnogóry o nowych obiektach UFO, które podobno wielokrotnie wywoływały nawet pożary lasów. Informacje te pochodzą głównie z miejscowości Ivangrad, której mieszkańcy stanowczo twierdzą, że w ostatnich dniach każdego wieczoru obserwowali na niebie jakieś dziwne, jasno oświetlone ciała. Władze potwierdzają wprawdzie, że w rejonie tym wielokrotnie dochodziło do pożarów lasu, ale do tej pory nie potrafią podać żadnej ich przyczyny".

„Sofia (UPI). Nad bułgarską stolicą Sofią pojawiło się UFO. Jak podała bułgarska agencja informacyjna BTA, UFO można było rozpoznać gołym okiem. Zdaniem BTA obiekt latający był 'większy od tarczy słonecznej i przybrał potem formę trapezu'. Przedmiot podobno silnie promieniował. Obiekt został też zaobserwowany przez teleskop w Sofii. Zdaniem pracownika naukowego bułgarskiego Instytutu Hydrologii i Meteorologii przedmiot poruszał się

prawdopodobnie o własnych siłach. Leciał przypuszczalnie około 30 kilometrów nad ziemią".

Ludzie bezgranicznie głupi rzucają kłody pod nogi poważnym badaczom zjawisk UFO. Są osoby, które twierdzą, że pozostają w kontakcie z istotami pozaziemskimi. Dają o sobie znać grupy, które na gruncie niewyjaśnionych dotąd zjawisk rozwijają fantastyczne idee religijne, tworzą osobliwy światopogląd lub wręcz twierdzą, że otrzymały od załóg UFO rozkazy dla ratowania ludzkości. Według religijnych fanatyków egipski „UFO-anioł" przybywa oczywiście od Mahometa, azjatycki — od Buddy, zaś chrześcijański — gdyby ktoś miał wątpliwości — wprost od Jezusa.

Na VII Międzynarodowym Kongresie Badaczy UFO na jesieni 1967 roku prof. Hermann Oberth, określany mianem „ojca podróży kosmicznych" i niegdyś nauczyciel Wernhera von Brauna, powiedział, że UFO jest jeszcze „problemem pozanaukowym". Prawdopodobnie jednak — kontynuował Oberth — UFO są „statkami kosmicznymi z obcych światów" i powiedział dosłownie: „Najpewniej istoty, które nimi sterują, wyprzedzają nas daleko pod względem kultury i jeśli postąpimy mądrze, możemy się od nich wiele nauczyć".

Oberth, który prawidłowo prognozował rozwój techniki rakietowej na Ziemi, przypuszcza, że na zewnętrznych planetach Układu Słonecznego istnieją warunki do samorództwa. Jako naukowiec domaga się, aby także poważni uczeni zajmowali się problemami, które początkowo robią

wrażenie zjawisk ze sfery fantazji. „Uczeni zachowują się jak przetuczone gęsi, które niczego już nie mogą strawić. Nowe idee odrzucają po prostu jako bezsens!" — powiedział Oberth.

W tekście pod tytułem „Późne podejrzenie" tygodnik „Die Zeit" z 17.11.1967 r. informuje: „Przez całe lata Sowieci ośmieszali zachodnią histerię związaną z latającymi spodkami. W 'Prawdzie' nie tak dawno zamieszczono oficjalne dementi, jakoby istniały takie dziwne pojazdy niebieskie. Teraz jednak generał lotnictwa Anatolij Stoliakow został mianowany dyrektorem komitetu, który ma badać wszystkie informacje na temat UFO. Londyński 'Times' pisze w związku z tym: Niezależnie od tego, czy zjawiska UFO są produktami zbiorowej halucynacji, czy pochodzą od przybyszy z Wenus, czy też mają być interpretowane jako objawienia boskie — trzeba znaleźć dla nich jakieś wytłumaczenie, w przeciwnym wypadku Rosjanie nigdy nie powołaliby komitetu badawczego".

Najbardziej spektakularne i zagadkowe wydarzenie związane ze zjawiskiem „materii z Kosmosu" nastąpiło o godzinie 717 rano 30 czerwca 1908 r. w syberyjskiej tajdze. Ognista kula przetoczyła się po niebie i zginęła za horyzontem. Pasażerowie kolei transsyberyjskiej widzieli świecącą masę, która przesuwała się z południa na północ. Pociągiem wstrząsnęło potężne uderzenie, potem nastąpiły eksplozje, a większość światowych stacji sejsmograficznych odnotowała bardzo silne wstrząsy. W Irkucku, położonym 900 kilometrów od epicentrum, wskazówki sejsmografów

poruszały się przez prawie godzinę. W promieniu 1000 kilometrów słychać było trzaski. Całe stada reniferów zginęły, a koczownicy wylatywali w powietrze wraz ze swymi namiotami.

Dopiero w 1921 r. profesor Kulik rozpoczął zbieranie relacji naocznych świadków. W końcu udało mu się także zorganizować fundusze na wyprawę naukową w te słabo zaludnione rejony tajgi.

Kiedy wreszcie w 1927 r. ekspedycja dotarła w rejon rzeki Podkamienna Tunguska, jej uczestnicy byli przekonani, iż znaleźli krater po ogromnym meteorycie. Jednak przypuszczenie to okazało się błędne. Już w odległości 60 kilometrów od centrum eksplozji można było zobaczyć pierwsze drzewa pozbawione koron. Im bliżej krytycznego punktu, tym bardziej ogołocona była okolica. Drzewa bez gałęzi stały niczym słupy telegraficzne, a blisko centrum wybuchu najsilniejsze nawet okazy były powalone. W końcu znaleziono ślady ogromnego pożaru. W miarę posuwania się ku północy ekspedycja nabierała przeświadczenia, że musiała tu mieć miejsce potężna eksplozja. Kiedy na bagnistym terenie natrafiono na dziury bardzo różnych rozmiarów, podejrzewano, że jest to efekt uderzeń meteorytów. Kopano zatem i wiercono w bagnie, nie znajdując jednak najmniejszego choćby kawałka żelaza, kamienia czy śladu niklu. Badania kontynuowano dwa lata później przy pomocy lepszych środków technicznych i większych wiertni. Choć

dokopano się do 36 metrów poniżej powierzchni ziemi, nie znaleziono żadnego śladu po meteorytach.

Sprowadzono czułe przyrządy, wychwytujące w ziemi najmniejsze ilości metalu, ale i one niczego nie wykryły. Jednak coś musiało tu eksplodować, skoro widziało i słyszało to tysiące ludzi.

W latach 1961 i 1963 w rejon Tunguski wyruszyły na zlecenie Akademii Nauk ZSRR dwie dalsze wyprawy. Ekspedycją z 1963 r. kierował geofizyk Zołotow. Ta wyposażona w najnowocześniejszą aparaturę techniczną grupa naukowców doszła do wniosku, że wybuch nad syberyjską Tunguską musiał być eksplozją jądrową.

Rodzaj eksplozji można określić, gdy znane są różne parametry fizyczne, które ją spowodowały. Jednym z nich była ilość wypromieniowanej energii świetlnej. W tajdze w odległości 18 kilometrów od jądra eksplozji znaleziono drzewa, które zapaliły się będąc w momencie wybuchu wystawione na promieniowanie świetlne. Zdrowe, zielone drzewo zapala się jednak tylko wtedy, gdy kumulacja energii świetlnej wynosi około 70 do 100 kalorii na centymetr kwadratowy. Wybuch zaś był tak jaskrawy, że jeszcze w odległości 200 kilometrów od epicentrum rzucał wtórny cień!

Pomiary wykazały, że energia świetlna eksplozji musiała wynosić około 2,8 x 1023 ergów (erg jest w naukach przyrodniczych jednostką pracy. Chrabąszcz o masie ciała l

grama wykonuje pracę 981 ergów, gdy wspina się l centymetr w górę po murze).

W zasięgu 18 kilometrów widać było na wierzchołkach drzew nadwęglone grubsze i cieńsze konary. Pozwala to wysunąć wniosek, że gwałtowny wzrost temperatury był rezultatem eksplozji, a nie pożaru lasu! Nadpalenia te widoczne są tylko w tych miejscach, gdzie żaden cień nie przesłonił rozprzestrzeniającego się błysku. Oznacza to, że jednoznacznie i bez wątpienia musiało chodzić o promieniowanie. Biorąc to wszystko pod uwagę, dla dokonania gigantycznych spustoszeń potrzebna była energia l O23 ergów. Odpowiada to sile zniszczenia jednej dziesięciomegatonowej bomby atomowej lub

100 000 000 000 000 000 000 000 ergów!

Wszystkie badania potwierdzają, że chodziło o eksplozję nuklearną i oddalają w krainę bajek takie interpretacje tego wydarzenia, jak uderzenie komety czy upadek wielkiego meteorytu.

Jak wytłumaczyć eksplozję jądrową w roku 1908?

W marcu 1964 r. w pewnym artykule zamieszczonym w cenionej leningradzkiej gazecie „Zwiezda" pojawiła się teza, że inteligentne istoty z jakiejś planety z gwiazdozbioru Łabędzia podjęły próbę nawiązania kontaktu z Ziemią. Autorzy Henryk Ałtow i Walentyna Szuraliewa twierdzili, że uderzenie w tajdze syberyjskiej było odpowiedzią na

gwałtowną erupcję położonego na Oceanie Indyjskim wulkanu Krakatau, który podczas wybuchu w 1853 r. wysłał w Kosmos potężną wiązkę fal radiowych. Mieszkańcy dalekich gwiazd mylnie uznali fale radiowe za sygnał z Kosmosu i dlatego skierowali na Ziemię zdecydowanie zbyt silny promień laserowy, który przekształcił się w materię, kiedy wysoko nad Syberią wszedł w atmosferę ziemską. Nie przyjmujemy tej interpretacji, gdyż wydaje się nam zbyt fantastyczna!

W równie małym stopniu możemy zaakceptować teorię, która chciałaby wytłumaczyć zjawisko znad Tunguski uderzeniem antymaterii. Jeśli zakładamy, że w głębiach Kosmosu znajduje się antymateria, to z okolicy Tunguski nie powinna zostawić ani śladu, gdyż zderzenie materii z antymaterią prowadzi do wzajemnego unicestwienia. Poza tym jest bardzo mało prawdopodobne, aby jakaś część antymaterii dotarła do Ziemi nie wchodząc na swej długiej drodze w kolizję z materią.

Chcielibyśmy raczej przyłączyć się do poglądów tych osób, które przypuszczają, że eksplozja jądrowa była spowodowana pęknięciem reaktora atomowego. Fantastyczne? Tak, z pewnością. Ale czy z tego powodu musi być niemożliwe?

Literatura o „meteorycie tunguskim" wypełnia całą szafę. Chcemy podkreślić jeszcze jeden fakt. Otóż poziom radioaktywności wokół centrum eksplozji w tajdze jest — jeszcze dzisiaj! — dwukrotnie wyższy niż gdzie indziej.

Staranne badania drzew i ich rocznych słojów potwierdzają znaczny wzrost radioaktywności od 1908 roku.

Dopóki nie istnieje choć jeden niepodważalny naukowo dowód na to zjawisko — i wiele innych zresztą — nikt nie ma prawa bezpodstawnie odrzucać interpretacji mieszczącej się w zakresie tego, co możliwe.

Dosyć dobrze znamy planety naszego Układu Słonecznego. „Życie" w naszym rozumieniu tego pojęcia wchodziłoby w grę, ale w bardzo ograniczonym zakresie, najwyżej na Marsie. Człowiek określił teoretyczne granice występowania życia pojmowanego na własną modłę. Wyznacza je ekosfera. W jej obrębie w naszym Układzie Słonecznym znajdują się tylko trzy planety: Wenus, Ziemia i Mars. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że ustalenia dotyczące ekosfery biorą za punkt wyjścia nasze wyobrażenie o życiu, podczas gdy nieznane jego przejawy wcale nie muszą odpowiadać naszym założeniom. Do 1962 r. uznawano za możliwe, że życie istnieje na planecie Wenus — mianowicie do czasu, kiedy Mariner II zbliżył się do niej na odległość 34 000 kilometrów. Na podstawie przesłanych przez niego informacji również ta planeta nie wchodzi już w grę jako środowisko dla życia, w naszym tego słowa rozumieniu.

Z informacji przekazanych przez Marinera II wynika, że temperatura na powierzchni Wenus wynosi przeciętnie 430°C zarówno po stronie słonecznej, jak i w cieniu. Taka temperatura uniemożliwia występowanie wody na

powierzchni planety. Mogłyby tam być tylko jeziora roztopionego metalu. Ulubione wyobrażenie o Wenus jako wdzięcznej bliźniaczej siostrze Ziemi należy do przeszłości, choćby nawet występujące tam węglowodory były pożywką dla wszelkiego rodzaju bakterii.

Nie tak dawno jeszcze uczeni twierdzili, że życie na Marsie nie jest możliwe. Od pewnego czasu słyszy się, że nie jest to wykluczone Po sukcesie misji rozpoznawczej Marinera IV trzeba uznać - choćby ostrożnie - iż istnieje pewne prawdopodobieństwo życia na tej planecie. Choć nie przyłączamy się do zwolenników teorii o istnieniu obdarzonych inteligencją Marsjan, to chętnie uznamy możliwość występowania na Czerwonej Planecie niższych form życia. Nie da się wykluczyć, ze nasz sąsiad Mars przed niezliczonymi tysiącami lat miał własną cywilizację. Na szczególną uwagę zasługuje w każdym razie księżyc Marsa – Fobos!

Mars ma dwa księżyce: Fobosa i Deimosa (co po grecku oznacza: Lęk i Trwoga). Były one znane długo przedtem, zanim amerykański astronom Asaph Hall odkrył je w 1877 roku. Johannes Kupler już w 1610 r. przypuszczał, że Marsowi towarzyszą dwa satelity. Choć mnich-kapucyn Schyl kilka lat później utrzymywał, jakoby widział księżyce Marsa, musiał on ulec złudzeniu, gdyż przy pomocy ówczesnych instrumentów optycznych w żadnym wypadku nie można było zobaczyć tych malutkich ciał niebieskich. Fascynujący jest wszakże opis jaki Jonatan Swift zamieścił w 1727 r. w swej

książce Podróż do Lapusy (jest to jedna z podróży Guliwera). Swift opisuje nie tylko oba księżyce Marsa, ale podaje nawet ich wielkość i orbity. W trzecim rozdziale czytamy:

„Laputańscy astronomowie największą część życia swego przepędzają do obserwacji nieba i mają teleskopy nierównie lepsze od naszych. Lubo ich teleskopy tylko na trzy stopy długie, powiększają jednak wiecej niżeli nasze, sto stóp długości mające, i daleko wyraziściej pokazują gwiazdy. Przez to zrobili odkrycia daleko ważniejsze niżeli nasi europejscy astronomowie. Odkryli dziesięć tysięcy gwiazd nieruchomych, gdy tymczasem my znamy zaledwie trzecią część tej liczby. Odkryli dwa trabanty Marsa, z których bliższy odległy jest od swej planety o trzy średnice, a dalszy o pięć średnic. Pierwszy obraca się w przeciągu dziesięciu, drugi w przeciągu dwudziestu jednej i pół godziny koło Marsa, tak że kwadraty ich periodycznych obrotów mają się do siebie jak sześciany ich odległości od Marsa, z czego wnosić trzeba, że podlegają tym samym prawom ciężkości jak inne ciała niebieskie”

Jakim sposobem Swift umiał opisać satelity Marsa, skoro zostały one odkryte dopiero 150 lat później? To prawda, że kilku astronomów już przed Swiftem podejrzewało ich istnienie, ale przypuszczenia nie wystarczyłyby do podania tak precyzyjnych danych! Nie wiemy, skąd pisarz czerpał swoją wiedzę.

Satelity Marsa są najmniejszymi i najdziwniejszymi księżycami w Układzie Słonecznym: obracają się bowiem nad

równikiem planety po prawie okrągłych orbitach! Jeżeli odbijają tyle samo światła, co Księżyc, to Fobos powinien mieć średnicę 16, a Deimos — tylko ośmiu kilometrów. Gdyby jednak były to księżyce sztuczne i z tego powodu miały zdolność odbijania większej ilości światła, to w rzeczywistości mogłyby być jeszcze mniejsze. Są one jedynymi znanymi dotychczas księżycami naszego Układu Słonecznego, które poruszają się szybciej wokół macierzystej planety, niż ta obraca się wokół własnej osi. Gdy uwzględnić rotację Marsa, to Fobos w ciągu jednego marsjańskiego dnia obiega planetę dwa razy, natomiast Deimos obraca się wokół niej tylko trochę szybciej niż ona sama wokół własnej osi.

W roku 1862, kiedy Ziemia znajdowała się w szczególnie korzystnym położeniu względem Marsa, daremnie poszukiwano marsjańskich księżyców. Odkryto je dopiero 15 lat później! Pojawiła się teoria planetoid, zgodnie z którą pewni astronomowie przypuszczali, że księżyce te są przechwyconymi przez Marsa kawałkami materii kosmicznej. Teoria planetoid jest jednak nie do utrzymania, gdyż oba księżyce obracają się nad równikiem prawie w tej samej płaszczyźnie. Przypadkowo mógłby się tak zachowywać tylko jeden odłamek z Kosmosu. Na podstawie pomiarów wykształciła się potem nowoczesna teoria dotycząca tych satelitów.

Cieszący się uznaniem amerykański astronom Carl Sagan i rosyjski uczony Szkłowski potwierdzili w swej wydanej w 1966 r. książce Intelligent Life in the Universe

teorię, że Fobos jest sztucznym satelitą. W rezultacie szeregu pomiarów Sagan doszedł bowiem do wniosku, że musi on być pusty w środku, a przecież nie może istnieć naturalny pusty księżyc.

Pewne właściwości orbity Fobosa nie zgadzają się z jego przypuszczalną masą, natomiast cechy takie typowe są dla orbit ciał pustych. Szkłowski, kierownik działu radioastronomii w moskiewskim Instytucie im. Sternberga, wysunął tę samą tezę, gdy zaobserwował, że w ruchach Fobosa można stwierdzić osobliwe, nienaturalne przyspieszenie, które jest identyczne ze zjawiskami obserwowanymi u sztucznych satelitów Ziemi.

Fantastyczne teorie Sagana i Szkłowskiego przyjmuje się obecnie bardzo poważnie. Amerykanie planują kolejne sondy na Marsa, które mają namierzyć również jego księżyce. Rosjanie chcą w najbliższych latach obserwować ruch księżyców Marsa z wielu obserwatoriów.

Jeśli słuszna jest prezentowana przez wybitnych uczonych na Wschodzie i Zachodzie teza, że Mars posiadał niegdyś rozwiniętą cywilizację, to pojawia się pytanie, dlaczego przestała ona istnieć. Czy istoty rozumne z Marsa musiały poszukać sobie nowej przestrzeni życiowej? Czy do szukania nowych siedzib zmusiła je coraz mniejsza ilość tlenu na ojczystej planecie? Czy może winę za upadek cywilizacji ponosi jakaś katastrofa kosmiczna? I w końcu: czy część Marsjan zdołała się uratować na jakiejś sąsiedniej planecie?

Doktor Emanuel Wielikowski wyjaśniał w swej opublikowanej w 1950 r. i jeszcze dzisiaj przez fachowców szeroko dyskutowanej książce Worlds in Collision, że z Marsem zderzyła się ogromna kometa i w efekcie kolizji wykształciła się planeta Wenus. Potwierdzeniem tej teorii byłoby, gdyby na powierzchni Wenus panowała wysoka temperatura, planeta miała nietypową rotację i występowały tam chmury węglowodorowe. Ocena danych dostarczonych przez Marinera II potwierdziła teorie Wielikowskiego. Otóż Wenus jest jedyną planetą, która obraca się „do tyłu", jedyną zatem, która inaczej niż Merkury, Ziemia, Mars, Jowisz, Saturn, Uran i Neptun nie trzyma się reguł gry Układu Słonecznego...

Branie pod uwagę katastrofy kosmicznej, jako przyczyny zagłady cywilizacji na Marsie, dostarcza pożywki dla naszej teorii, że w zamierzchłej przeszłości Ziemię mogli odwiedzić przybysze z Kosmosu. Utopią lub możliwą spekulacją jest zatem teza, że jakaś grupa marsjańskich olbrzymów mogła znaleźć ratunek na Ziemi, aby wraz z żyjącymi tu wówczas półinteligentnymi istotami założyć nową cywilizację człowieka z gatunku Homo sapiens. Siła ciążenia jest na Marsie mniejsza niż na Ziemi — można zatem przypuszczać, że Marsjanie byli wyżsi i mieli potężniejszą budowę ciała w porównaniu z mieszkańcami naszej planety. Jeśli teoria ta zawiera źdźbło prawdy, to mielibyśmy owych olbrzymów, którzy przybyli z gwiazd, mogli poruszać

ogromne bloki skalne, kształcili ludzi w nieznanych jeszcze umiejętnościach, a w końcu wymarli...

Nigdy jeszcze nie wiedzieliśmy tak mało o tak wielu sprawach, jak obecnie. Jesteśmy pewni, że zagadnienie „człowiek i obce inteligencje" pozostanie aktualnym tematem dla nauki, zanim nie znajdzie ona odpowiedzi na wszystkie możliwe do rozwiązania zagadki.

Rozdział XI

Sygnały wysyłane w Kosmos — Czy przekaz myśli jest szybszy od światła? — Dziwny przypadek Cayce'a — Równanie z Green Bank — Prominentni przedstawiciele

egzobiologii — Nad czym pracuje NASA? — Rozmowa z Wernherem von Braunem

8 kwietnia 1960 r. wczesnym rankiem o godzinie czwartej w pewnej ustronnej dolinie w Zachodniej Wirginii rozpoczął się eksperyment. Wielki, mający 85 stóp radioteleskop z Green Bank został skierowany na odległą o 11,8 lat świetlnych gwiazdę Tau Ceti. Kierownik tego programu, młody amerykański astronom doktor Frank Drake — uczony cieszący się doskonałą opinią zawodową — chciał włączyć się w emisje radiowe innych cywilizacji, aby odebrać sygnały od obcych istot rozumnych. Pierwsza, trwająca 150 godzin seria doświadczeń przeszła do historii astronomii jako projekt OZMA, choć pisane jej było niepowodzenie. Eksperymentu nie przerwano z tego powodu, że choćby jeden z pracujących nad nim uczonych uważał, jakoby w Kosmosie nie było nadajników radiowych. Postąpiono tak raczej w przekonaniu, że nie ma jeszcze przyrządów, dzięki którym można osiągnąć założony cel. OZMA nie pozostanie jednak jedyną tego typu próbą. Być może na Księżycu zostanie zainstalowany radioteleskop, który z dala od zakłóceń ziemskich spenetruje niezmierzone międzygwiezdne przestrzenie w poszukiwaniu sygnałów radiowych.

Trzeba jednak zadać sobie pytanie, czy poszukiwanie tych sygnałów służy badaniom kosmicznym i czy nie byłoby bardziej celowe wysyłanie własnych sygnałów radiowych w

Kosmos. Nie możemy rzecz jasna wymagać od obcych istot inteligentnych, aby jakimś cudem znały język rosyjski, hiszpański lub angielski i tylko czekały na nasze wezwanie...

Przypuszczalnie istnieją trzy możliwości, dzięki którym możemy zameldować o swoim istnieniu. Są to: kodowane liczby (system binarny), promienie laserowe i przedstawienia obrazowe. Największe szansę przyznaje się pierwszemu wariantowi, ale musiałyby zostać wykryte i ustalone międzygalaktyczne długości fal, odbieralne w całym Kosmosie. Mogłaby to być częstotliwość 1420 MHz, gdyż jest to częstotliwość promieniowania neutralnego wodoru, które powstaje przy zderzeniu jego atomów. Z uwagi na to, że wodór jest pierwiastkiem — częstotliwość ta mogłaby być znana w całym Wszechświecie. Dodatkową okolicznością jest, że pasmo 1420 MHz leży poza chaosem ziemskich fal radiowych i tym samym możliwość błędów lub zakłóceń zostałaby ograniczona do minimum. W ten sposób można by wysyłać w Kosmos impulsy radiowe, które zostaną rozpoznane przez obce istoty rozumne, o ile takie zamieszkują Wszechświat.

W związku z tym niezwykle interesująca jest informacja tygodnika „Die Zeit" nr 51 z 22 grudnia 1967 roku. W artykule „Oświetlany Księżyc" czytamy:

„Odległość Księżyca od Ziemi jest wprawdzie znana z dokładnością do kilkuset metrów, ale astronomowie nie chcą się tym zadowolić. Dlatego też astronauci przy okazji jednego

z pierwszych lotów na Księżyc mają ze sobą zabrać lustra i tam je zainstalować. Lustra będą składały się — na wzór narożnika pokoju — z trzech prostopadle ułożonych odbijających światło płaszczyzn i będą posiadały właściwość odbijania promieni świetlnych w kierunku źródła światła.

Ten system luster zostałby oświetlony z Ziemi błyskami światła trwającymi jedną milionową sekundy, wysyłanymi z lasera, z którym powiązany byłby teleskop o średnicy 1,5 m. Światło odbite od Księżyca ponownie byłoby przechwytywane przez teleskop i doprowadzane do powielacza elektronowego z fotokatodą.

Znając prędkość światła i czas, jakiego potrzebuje promień lasera na przebycie drogi w obie strony, można określić odległość Ziemi od Księżyca z dokładnością do 1,5 m".

Możliwe jest także przesyłanie impulsów z innych planet na Ziemię! Od dłuższego już czasu fale radiowe przemierzają Wszechświat. Czy nie jest możliwe, aby — o ile nasza hipoteza jest słuszna — obce istoty obdarzone inteligencją dały nam o sobie znać? Na przykład energia promieniowania gwiazdy CTA-102 wzrosła nagle na jesieni 1964 roku. Astronomowie rosyjscy poinformowali, że być może były to sygnały od pozaziemskiej supercywilizacji. Gwiazda CTA-102 jest odnotowana przez radioastronomów z California Institute of Technology pod numerem katalogowym 102 — i stąd jej nazwa.

Astronom Szołomicki powiedział 13 kwietnia 1965 r. w sali wykładowej Instytutu im. Sternberga w Moskwie: „Pod koniec września i na początku października 1964 r. energia promieniowania gwiazdy CTA-102 stała się znacznie silniejsza, ale tylko na krótki czas, i potem znowu zanikła. Zarejestrowaliśmy zjawisko i odczekaliśmy. Pod koniec roku intensywność tego źródła znowu gwałtownie wzrosła, osiągając dokładnie w 100 dni po pierwszym zapisie drugi punkt szczytowy". Jego szef profesor Szkłowski dodał, że tego typu wahania promieniowania należą do rzadkości.

Astrofizyk holenderski Maarten Schmidt stwierdził za pomocą dokładnych pomiarów, że CTA-102 musi być oddalona od Ziemi około dziesięciu miliardów lat świetlnych. Oznacza to więc, że sygnały radiowe, jeśli pochodzą od istot inteligentnych, musiały zostać nadane przed dziesięcioma miliardami lat. W owym czasie jednak nasza planeta - zgodnie z obecnym stanem wiedzy — w ogóle jeszcze nie istniała. Ustalenie to może oznaczać śmiertelny cios dla poszukiwań innych istot we Wszechświecie.

Gdyby jednak poszukiwanie przejawów życia w Kosmosie nie miało żadnych szans, astrofizycy w Ameryce i Rosji, w angielskim Jodrell Bank pod Manchesterem i w Stockert pod Bonn nie kierowaliby w ramach swego programu badawczego wielkich anten na tzw. gwiazdy radiowe i kwazary. Gwiazdy stałe Epsilon Eridani i Tau Ceti są od nas oddalone odpowiednio o 10,2 i 11,8 lat świetlnych. Fale radiowe skierowane do tych właśnie „sąsiadów" byłyby zatem

w drodze około 11 lat i w rezultacie odpowiedź przyszłaby do nas po upływie 22 lat. Połączenia radiowe z bardziej odległymi gwiazdami wymagają odpowiednio dłuższego czasu. W wypadku cywilizacji oddalonych o miliony lat świetlnych kontakty za pomocą fal radiowych mijają się z celem. Czy jednak fale radiowe są jedynym środkiem technicznym, jakim dysponujemy dla nawiązania kontaktu z innymi cywilizacjami?

Moglibyśmy przecież zwrócić na siebie uwagę wizualnie! Silny promień laserowy, skierowany na Marsa lub Jowisza, nie pozostałby niezauważony, o ile mieszkają tam istoty rozumne. (Nawiasem mówiąc: „laser" jest skrótem od wyrażenia Light Amplification by Stimulated Emission of Radiation, czyli wzmacnianie światła przez stymulowaną emisję promieniowania, a więc po prostu: wzmacniacz fal świetlnych.) Inną cokolwiek fantastyczną możliwością byłoby obsianie wielkich powierzchni ziemi w taki sposób, by powstały uderzające kontrasty kolorystyczne, przedstawiające zarazem możliwie uniwersalne symbole geometryczne lub matematyczne. Idea śmiała, ale całkowicie możliwa do realizacji. Boki wielkiego trójkąta równoramiennego, mające po 1000 km długości, zostają obsadzone kartoflami, a w ten olbrzymi trójkąt wpisane zostaje koło obsiane pszenicą. Tym sposobem każdego lata powstawałoby trudne do przeoczenia żółte koło, otoczone zielonym równoramiennym trójkątem. Eksperyment miałby również bardzo praktyczne znaczenie, dostarczając dodatkowych plonów! Jeżeli Kosmos

zamieszkują istoty rozumne, które szukałyby nas, tak jak my ich szukamy, to jaśniejące figury koła i trójkąta byłyby dla nich wskazówką, że formy te nie mogą być kaprysem natury... Podkreślmy — to tylko pewna możliwość. Ktoś zaproponował także, aby wznieść szereg latarni morskich, które kierowałyby swe światło w górę, tworząc model atomu... Propozycje i jeszcze raz propozycje.

Wszystkie one wychodzą z założenia, że ktoś obserwuje naszą planetę. Czy błędnie podchodzimy do problemu przy pomocy tych ograniczonych środków?

Nawet komuś bardzo sceptycznemu i raczej niechętnemu wszelkiemu okultyzmowi nie uda się pominąć paru niewyjaśnionych jeszcze dzisiaj zjawisk, takich jak choćby statystycznie i naukowo uchwytny, ale nadal niewyjaśniony fenomen wzajemnego przekazywania myśli pomiędzy mózgami istot inteligentnych.

W oddziałach parapsychologicznych wielu renomowanych uniwersytetów bada się całkiem naukowymi metodami niewyjaśnione dotąd zjawiska, jak jasnowidztwo, widzenia senne, telepatia itp. Przy czym oddziela się i odrzuca wszelkie podejrzane historie o duchach i upiorach, wywodzące się z okultyzmu lub religijnych urojeń. Uczeni zajmują się wyłącznie zjawiskami, które nadają się poniekąd do weryfikacji w badaniach laboratoryjnych. Badania indywidualne i grupowe potwierdziły występowanie zjawiska

przekazywania myśli. Ta jeszcze nie tak dawno pogardzana dziedzina badań zrobiła duży krok naprzód.

W sierpniu 1959 r. zakończył się eksperyment „Nautilus". Doświadczenie to nie tylko udowodniło zjawisko telepatii, lecz wykazało także, iż kontakty intelektualne między ludzkimi mózgami mogą być silniejsze od fal radiowych. Eksperyment przebiegał następująco: łódź podwodna Nautilus, oddalona kilka tysięcy kilometrów od „nadajnika myśli", zanurzyła się kilkaset metrów poniżej lustra wody. Wszystkie połączenia radiowe urwały się, gdyż fale radiowe nie są w stanie przeniknąć głęboko w wody morskie. Funkcjonowała natomiast wymiana myśli między panem X i panem Y.

Po przeprowadzeniu podobnych do opisanego testów zadajemy sobie najczęściej pytanie, do czego jeszcze jest zdolny ludzki umysł?

Czy może on zdobyć się na wymianę myśli szybszą od prędkości światła? Znany w literaturze naukowej przypadek Cayce'a uzasadnia takie przypuszczenia.

Edgar Cayce, prosty wiejski chłopak z Kentucky, nie miał pojęcia, jak fantastyczne możliwości kryją się w jego głowie. Choć zmarł 5 stycznia 1945 r., to do dzisiaj lekarze i psycholodzy zajmują się interpretacją jego przypadku. Rygorystyczne American Medical Association wydało Edgarowi Cayce'owi pozwolenie na udzielanie konsultacji, choć przecież nie był on lekarzem.

WSPOMNIENIA Z PRZYSZŁOŚCI

Edgar Cayce zapadł we wczesnej młodości na poważną chorobę. Wstrząsały nim skurcze, wysoka gorączka trawiła młode ciało, chory stracił przytomność. Podczas gdy lekarze bezskutecznie próbowali przywrócić dziecku przytomność, Edgar nagle zaczął głośno i wyraźnie mówić. Wyjaśnił, dlaczego jest chory, wymienił kilka leków, których mu potrzeba, i podał, z jakich składników należy przyrządzić maść, którą należy wcierać mu w kręgosłup. Lekarze i krewni byli zaskoczeni, gdyż nie mieli pojęcia, skąd u chłopca ta wiedza i zupełnie obce wyrażenia. Ponieważ przypadek wydawał się beznadziejny, wypełniono wskazania chorego. Po zastosowaniu przepisanego leczenia zaczęła następować bardzo szybka poprawa zdrowia.

Wydarzenie stało się głośne. Ponieważ Edgar przemawiał będąc nieprzytomny, pojawiły się propozycje, aby chłopca wprowadzać w stan hipnozy i „wydobywać" z niego w ten sposób porady medyczne. Edgar zdecydowanie odmawiał. Dopiero kiedy zachorował jego przyjaciel, podyktował precyzyjną receptę używając wyrażeń łacińskich, których przedtem nigdy nie słyszał, a tym bardziej nie znał ich z książek. Po tygodniu przyjaciel Edgara był zdrów.

O ile pierwszy przypadek został wkrótce zapomniany jako mała, ale pod względem naukowym niezbyt poważna sensacja, to nowe wydarzenie skłoniło Medical Association do powołania komisji, która w razie powtórzenia się czegoś podobnego miała sporządzić protokół ł spisywać nawet

najmniejsze szczegóły zdarzenia. Cayce posiadał podczas snu wiedzę i umiejętności godne jakiegoś konsylium.

Kiedyś Edgar „zaordynował" pewnemu bardzo zamożnemu pacjentowi lekarstwo, którego nigdzie nie można było dostać. Człowiek ów dał kilka ogłoszeń do poczytnych międzynarodowych gazet. Młody lekarz z Paryża (!) odpisał, że jego ojciec przed laty wytwarzał ten lek, ale produkcja została już dawno wstrzymana. Skład medykamentu był identyczny ze wskazówkami Edgara Cayce'a.

Później Egdar „przepisuje" lekarstwo i podaje adres laboratorium w pewnym odległym mieście. W rozmowie telefonicznej dowiedziano się, że preparat został dopiero co wynaleziony, opracowany jest tylko przepis, dla leku szuka się nazwy i nie ma go jeszcze w sprzedaży.

Komisja składająca się z doświadczonych lekarzy jest daleka od tego, by wierzyć w telepatię; bada sprawę trzeźwo i rzeczowo, rejestruje to co obserwuje, wie, że Egdar przez całe życie nie miał w ręku żadnej medycznej książki. Oblegany ze wszystkich stron świata, Edgar udziela dwóch konsultacji dziennie, zawsze w obecności lekarzy i zawsze bezpłatnie. Jego diagnozy i zalecenia terapeutyczne są dokładne, ale z chwilą gdy budzi się z transu nie wie, co przedtem mówił. Kiedy członkowie komisji pytają go, w jaki sposób stawia diagnozy, Edgar przypuszcza, iż jest w stanie wejść w kontakt z każdym dowolnym mózgiem, by zaczerpnąć od niego potrzebne mu informacje. Ponieważ mózg pacjenta również

dokładnie wie, czego brakuje organizmowi, sprawa jest całkiem prosta. Edgar wypytuje mózg chorego, a potem szuka na świecie takiego mózgu, który mu powie, co należy robić. On sam — uważał Edgar —jest tylko cząstką wszystkich mózgów...

Niesamowita wręcz idea, która przeniesiona na realia współczesnej techniki wyglądałaby następująco: w Nowym Jorku monstrualny komputer naładowany jest wszystkimi znanymi współcześnie danymi z dziedziny fizyki. Bez względu na to, kiedy i z jakiego miejsca kierowane byłyby do komputera pytania, udzielałby on odpowiedzi w ciągu ułamka sekundy. Inny komputer znajduje się w Zurychu i przechowywana jest w nim cała wiedza medyczna. Komputer w Moskwie dysponuje wszystkimi informacjami o biologii, inny — w Kairze wie wszystko o astronomii. Krótko mówiąc: w różnych ośrodkach na świecie przechowuje się w połączonych ze sobą bezprzewodowo komputerach całą dostępną wiedzę uporządkowaną według dziedzin. Komputer w Kairze poproszony o informację medyczną przekazałby zapytanie w ciągu jednej setnej sekundy do komputera w Zurychu. Na zasadzie takiej właśnie, całkowicie już technicznie możliwej symultany musiał funkcjonować mózg Edgara Cayce'a.

Może pojawić się fantastyczna i śmiała spekulacja, co byłoby, gdyby wszystkie ludzkie mózgi (lub tylko kilka najbardziej wyrafinowanych) dysponowały nieznaną formą energii i posiadały możliwość nawiązywania kontaktu ze

wszystkimi żywymi istotami? O funkcjach i możliwościach ludzkiego mózgu wiemy przerażająco mało; wiadomo, że zdrowy człowiek wykorzystuje tylko jedną dziesiątą kory mózgowej. Co robi zatem pozostałe dziewięć dziesiątych? Znane są udokumentowane naukowo fakty, że ludzie wychodzili z nieuleczalnych chorób wyłącznie siłą swej woli. Może dlatego, że na nieznanej nam zasadzie dodatkowo „włączała" się jedna lub dwie dziesiąte kory mózgowej?

Gdybyśmy przyjęli rzecz niesłychaną, że mózg wytwarza najsilniejsze formy energii, to mocny impuls psychiczny mógłby być odczuwalny wszędzie w tym samym czasie. Jeśli nauce udałoby się udowodnić taką „dziką" ideę, oznaczałoby to, iż wszystkie inteligencje w Kosmosie przynależą ze swej istoty do tej samej nieznanej struktury.

Posłużmy się pewnym modelem myślowym! Jeśli w zbiorniku z miliardami bakterii wywoła się w dowolnym miejscu silny impuls elektryczny, to odczuje go każdy rodzaj bakterii w każdym miejscu basenu. Impuls prądu będzie można odebrać wszędzie w tym samym momencie. Zdajemy sobie sprawę, że porównanie nieco kuleje, gdyż elektryczność jest znaną formą energii, związaną z prędkością światła. Chodzi nam natomiast o taką postać energii, która jest obecna i czynna w każdym miejscu jednocześnie. Zaledwie przeczuwamy istnienie nieznanej jeszcze energii, która kiedyś uczyni zrozumiałym to, co dzisiaj jest niepojęte.

Aby tej niesłychanej idei przydać szczypty prawdopodobieństwa, przytoczmy sprawozdanie z eksperymentu przeprowadzonego 29 i 30 maja 1965 r., jedynego w swoim rodzaju pod względem zasięgu i metody. W owych dwóch dniach 1008 osób koncentrowało się w tym samym czasie, a nawet w tej samej sekundzie, na obrazach, zdaniach i symbolach, które zostały przez nich — by tak rzec — „wypromieniowane" ze skumulowaną mocą w Kosmos. Zadziwiający jest nie sam fakt masowego doświadczenia, lecz jego rezultaty. Osoby biorące w nim udział nie znały się wzajemnie i choć uczestników dzieliła odległość setek kilometrów, to w specjalnie przygotowanych ankietach 2,7% badanych odpowiedziało, że widziało obraz modelu atomu. Zważywszy, że jakakolwiek zmowa wśród „królików doświadczalnych" nie była możliwa, zaskakuje fakt, iż 2,7% osób zadeklarowało postrzeganie tego samego „obrazu myślowego". Telepatia? Hokus pokus? Przypadek? Zgoda, wszystko są to zagadnienia z gatunku science fiction, ale przecież było to doświadczenie zorganizowane przez uczonych. Kto jeszcze skłonny byłby sądzić, że dotarliśmy do kresu naszego poznania?

Równie niewytłumaczalne jest ustalenie grupy fizyków z uniwersytetu Princeton. Podczas badania rozpadu elektrycznie obojętnego mezonu K doszło do rezultatu, który teoretycznie w ogóle nie powinien nastąpić, gdyż był sprzeczny z od dawna dowiedzioną w fizyce jądrowej zasadą inwariancji czasowej, zgodnie z którą procesy zachodzące w

cząsteczkach elementarnych postrzegano jako odwracalne w czasie.

Jeszcze jeden spektakularny przykład! Teoria względności głosi, że masa i energia są tylko różnymi przejawami tego samego zjawiska (E = mc2). Zgodnie z tą zasadą — upraszczając nieco sprawę — masę można by wytworzyć z niczego, przepuszczając na przykład silny promień energii obok ciężkiego jądra atomowego. Wówczas promień energii zanika w silnym elektrycznym polu energetycznym jądra atomowego, zaś na jego miejscu powstaje jeden elektron i jeden pozyton. Czyli energia w formie promienia przekształca się w masę dwóch elektronów. Dla umysłu laika zjawisko to wydaje się niemożliwe, ale proces ten tak właśnie przebiega. Nie ma się czego wstydzić, jeśli się nie potrafi zrozumieć Einsteina. Pewien uczony nazwał go „wielkim samotnikiem", gdyż swoją teorię mógł on omawiać tylko z tuzinem współczesnych mu ludzi.

Po tej krótkiej wycieczce w niezbadane jeszcze rejony przekazów myśli i potencjalnych możliwości ludzkiego mózgu powróćmy do współczesności.

Nie jest już tajemnicą, że w listopadzie 1962 r. w National Radio Astronomy Observatory w Green Bank w Zachodniej Wirginii spotkało się na tajnej konferencji jedenastu wybitnych przedstawicieli nauki. Jej tematem było istnienie pozaziemskich istot inteligentnych. Uczeni — wśród których byli dr dr Giuseppe Cocconi, Su-Shu-Huang, Philip

Morrison, Frank Drake, Otto Struve, Carl Sagan oraz laureat Nagrody

Nobla Melvin Calvin — uzgodnili na koniec posiedzenia tzw. Równanie Green Bank. Zgodnie z tym wzorem tylko w naszej Galaktyce znajduje się każdorazowo do 50 milionów różnych cywilizacji, które bądź same próbują nawiązać z nami kontakt, bądź oczekują na znak z innych planet.

Człony równania Green Bank uwzględniają nie tylko wszystkie wchodzące w grę aspekty, ale uczeni podają dla każdego członu dwie wartości: dopuszczalną według obecnej wiedzy wartość normalną oraz — minimalną.

A oto znaczenia poszczególnych elementów równania:

przeciętny wskaźnik nowo powstających każdego roku gwiazd, podobnych do naszego Słońca,

odsetek gwiazd, na których może istnieć życie,

przeciętna liczba planet, które obiegają swoje słońca w ekosferze i tym samym według naszych norm spełniają warunki niezbędne do powstania życia,

określa odsetek uprzywilejowanych planet, na których rzeczywiście rozwinęło się życie,

określa tę część „ożywionych" planet, które w okresie istnienia ich słońc zaludnione są przez istoty inteligentne dysponujące zdolnością do samodzielnego działania

podaje odsetek planet zamieszkanych przez istoty inteligentne mające już rozwiniętą cywilizację techniczną,

L określa czas trwania danej cywilizacji, gdyż tylko dwie bardzo długo istniejące cywilizacje mają szansę spotkać się przy olbrzymich odległościach w Kosmosie.

Jeżeli pod wszystkie parametry tego równania podstawi się absolutnie najniższe wartości, to

N = 40

Jeśli jednak weźmie się dopuszczalne wartości maksymalne, to

N = 50 000 000

Fantastyczne równanie z Green Bank wylicza zatem dla naszej Drogi Mlecznej w najmniej korzystnym wypadku 40 inteligentnych wspólnot, szukających kontaktu z innymi istotami obdarzonymi inteligencją. Najśmielsza możliwość podaje 50 milionów obcych społeczności, czekających na znaki z Kosmosu. Dla wszystkich rozważań z Green Bank podstawą nie są warunki aktualnie panujące, lecz biorą one za punkt wyjścia liczbę gwiazd Drogi Mlecznej od początku jej istnienia.

Jeżeli zaakceptuje się równanie opracowane przez naukowy trust mózgów, to należy przyjąć, że przed setkami tysięcy lat istniały już cywilizacje pod względem technicznym bardziej rozwinięte od naszej. Jest to okoliczność, która wspiera naszą teorię o odwiedzinach kosmicznych „bogów" w zamierzchłej przeszłości. Amerykański astrobiolog dr Sagan zapewnia, że istnieje czysto statystyczna możliwość, iż przedstawiciele pozaziemskiej cywilizacji mogli odwiedzić Ziemię przynajmniej raz w ciągu jej dziejów. U podstaw wszystkich rozważań i przypuszczeń mogą się kryć fantazje i życzenia, natomiast równanie z Green Bank pozwala obiektywnie obliczyć liczbę gwiazd, na których możliwe jest życie.

Nowa dziedzina wiedzy, tzw. egzobiologia, znajduje się właśnie w stadium powstawania. Nowe nauki zawsze z trudem zdobywają sobie uznanie. Egzobiologii trudniej przyszłoby walczyć o uznanie, gdyby osobistości cieszące się już ugruntowanym poważaniem nie zajęły się zawodowo tym obszarem badań, skierowanym na życie pozaziemskie. Cóż mogłoby lepiej dowieść powagi nowej dyscypliny, niż lista nazwisk zaangażowanych w nią osób:

Dr Freeman Quimby (szef programu egzobiologii w NASA), dr Ira Blei (NASA), dr Joshua Lederberg (NASA), dr L. P. Smith (NASA), dr R. E. Kaj (NASA), dr Richard Young (NASA), dr H. S. Brown (California Institute of Technology), dr Edward Purcell (prof. nadzw. fizyki na Uniwersytecie Harvarda), dr R.N. Bracewells (Radio Astronomy Institute

Standford), dr Townes (laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki z 1964 r.), dr J. S. Szkłowski (Instytut im. Sternberga w Moskwie), sir Bernard Lovell (Jodrell Bank), dr Wernher von Braun (szef programu rakiet Saturn w USA), prof. dr Oberth — nauczyciel von Brauna, prof. dr Stuhlinger, prof. dr E. Sänger i wielu innych.

Nazwiska te przydają wiarygodności tysiącom egzobiologów na całym świecie. Pragnieniem wszystkich tych ludzi jest złamanie tabu, zburzenie muru bierności, jaki dotąd otacza wspomniane tu, leżące „naukowym odłogiem", zagadnienia. Wbrew wszelkim oporom egzobiologia istnieje i pewnego dnia może stać się najbardziej interesującą i najważniejszą dyscypliną naukową.

W jaki jednak sposób można zdobyć dowód istnienia życia w Kosmosie, zanim jeszcze ktoś się tam osobiście uda? Są statystyki i obliczenia, zdecydowanie potwierdzające życie pozaziemskie. Są dowody w postaci bakterii i zarodników występujących we Wszechświecie. Poszukiwania obcych inteligencji zostały zainicjowane, ale nie przyniosły jeszcze wymiernych, namacalnych i przekonywających rezultatów. To, czego potrzebujemy, to dowody dla teorii i przypuszczeń, dyskwalifikowanych dzisiaj jako utopijne. NASA dysponuje gotowym programem badawczym, który powinien dostarczyć dowodu na istnienie życia w Kosmosie. Osiem różnych sond, z których każda jest równie oryginalna, jak skomplikowana, ma dostarczyć świadectw życia na planetach Układu Słonecznego.

Oto zaprojektowane sondy:

- Optical Rotary Dispersion Profiles,

- The Multivator,

- The Vidicon Microscope,

- The J-Band Life Detector,

- The Radioisotope Biochemical Probe,

- The Mass Spectrometer,

- The Wolf Trap,

- The Ultraviolet Spectrophotometer.

Kilka wskazówek, co kryje się za tymi nic nie mówiącymi laikowi technicznymi określeniami:

„Optical Rotary Dispersion Profiles" — to nazwa sondy wyposażonej w obrotowy sondujący reflektor świetlny. Po wylądowaniu na jakiejś planecie reflektor zaczyna emitować promienie szukając molekuł. Molekuły są jak wiadomo warunkiem istnienia każdej postaci życia. Jedną z molekuł jest duża spiralna cząsteczka DNA, składająca się z trzech związków chemicznych: organicznej zasady zawierającej azot, cukru i kwasu fosforowego. Kiedy spolaryzowane światło napotyka molekułę cukru, zmienia się płaszczyzna drgań światła, gdyż zasada azotowa — adenina — w związku chemicznym z cukrem staje się „optycznie aktywna". Ponieważ cukier w DNA jest optycznie czynny,

sondujący promień musi trafić jedynie na związek cukru i adeniny, aby natychmiast wyzwolić sygnał, który kierowany automatycznie na Ziemię dostarczyłby dowodu istnienia życia na obcej planecie.

„Multivator" — to ważąca zaledwie 500 gramów sonda, zabierana przez rakietę jako lekki dodatkowy ładunek i następnie wystrzeliwana w pobliżu danej planety. Miniaturowe laboratorium jest w stanie przeprowadzić do 15 eksperymentów, a ich wyniki przesłać na Ziemię.

Sonda o oficjalnej nazwie „Radioisotope Biochemical Probe", znana też jako „Gulliver", ląduje miękko na powierzchni obcej planety i zaraz potem wypuszcza w różnych kierunkach lepkie sznury o długości 15 metrów. Po kilku minutach sonda automatycznie wciąga sznury z powrotem, zaś to, co na nich pozostało — kurz, mikroby i wszelkie inne substancje biochemiczne — zanurza w płynnej pożywce. Część tego roztworu wzbogacona jest radioaktywnym izotopem węgla 14C, a przechwycone mikroorganizmy wytwarzają w trakcie przemiany materii dwutlenek węgla CO2. Dwutlenek węgla można łatwo oddzielić od płynnej pożywki i doprowadzić do aparatu, który mierzy poziom radioaktywności gazu zawierającego jądra atomowe 14C i przekazuje wyniki na Ziemię.

Chcemy opisać jeszcze jedno urządzenie, które NASA opracowała dla poszukiwania przejawów pozaziemskiego życia. Jest to tak zwana „pułapka na wilki". Wynalazca tego

minilaboratorium nazwał je pierwotnie „Bug-Detector", ale jego współpracownicy przechrzcili je na „Wolfsfalle" (pułapka na wilki), gdyż ich szef nazywa się Wolf Yishniac. „Pułapka na wilki" ma miękko wylądować na obcej planecie, a następnie wysunąć próżniową rurę o bardzo łamliwym zakończeniu. Kiedy rura uderzy w podłoże, jej końcówka rozpadnie się i pojemnik zassie rozmaite próbki gleby. Sonda zawiera różne jałowe pożywki, gwarantujące każdemu gatunkowi bakterii szybki wzrost. Hodowla ewentualnych bakterii spowoduje zmętnienie przejrzystego płynu pożywki, a poza tym zmieni się wartość pH płynu. (Jest to wskaźnik określający kwasowość płynów.) Obie te zmiany można łatwo i wiarygodnie zmierzyć: zmętnienie płynu za pomocą promienia świetlnego i fotokomórki, natomiast zmianę zawartości kwasów przez elektryczny pomiar pH. Wyniki badań pozwolą na wyciągnięcie wniosków o istnieniu życia.

Program NASA i skoordynowane badania w poszukiwaniu dowodów pozaziemskiego życia będą kosztowały miliony dolarów. Pierwsze biosondy mają wyruszyć w kierunku Marsa. Niewątpliwie w ślad za prekursorskimi minilaboratoriami wkrótce wyruszy człowiek. Osoby odpowiedzialne w NASA zgadzają się, że pierwsi astronauci wylądują na Marsie najpóźniej 23 września 1986 roku. Ta precyzyjnie określona data ma swe uzasadnienie, gdyż 1986 będzie rokiem małej aktywności Słońca. Doktor von Braun uważa, że ludzie mogliby lądować na Marsie już w 1982 roku. Specjaliści z NASA dysponują niezbędną do tego

technologią, jednak amerykański Kongres nie przeznacza dostatecznych funduszów, które regularnie zasilałyby ośrodki badawcze. Obok wszystkich innych bieżących zobowiązań takie dwa pochłaniacze pieniędzy, jak wojna wietnamska i program kosmiczny, stanowią na dłuższy czas istotne obciążenie nawet dla najbogatszego państwa świata.

Istnieje rozkład jazdy na Marsa. Odpowiedni statek jest już zaprojektowany i musi zostać „tylko" zbudowany. Jego model stoi na biurku niezwykłego człowieka z Huntsville — profesora dra Ernsta Stuhlin-gera. Jest on dyrektorem Research Project Laboratory, które należy do George Marshall Space Flight Center w Huntsville w stanie Alabama. Stuhlinger zatrudnia w swych laboratoriach ponad stu pracowników naukowych. Wykonuje się tu eksperymenty z dziedziny fizyki plazmy, fizyki nuklearnej i termofizyki. Poza tym tutejsi uczeni prowadzą badania podstawowe dla projektów sięgających w odległą przyszłość. Z nazwiskiem Stuhlingera na zawsze związane są prace nad najnowocześniejszymi elektrycznymi silnikami napędowymi. Jest on konstruktorem pojazdu ma Marsa, który jeszcze w tym stuleciu będzie przewoził ludzi na Czerwoną Planetę.

Doktor Stuhlinger wkrótce po II wojnie światowej został sprowadzony razem ze swym przyjacielem Wernherem von Braunem do USA, gdzie w Fort Bliss pracowali nad rakietami dla amerykańskiego lotnictwa. Po wybuchu wojny koreańskiej obaj pionierzy techniki rakietowej przenieśli się wraz ze 162 rodakami do Huntsville, aby od podstaw stworzyć

projekt, jakiego nie znała nawet przyzwyczajona do gigantomanii Ameryka.

Huntsville było wówczas małą nudną dziurą u podnóża Appalachów. Po przybyciu rakietowych specjalistów żyjąca z bawełny mieścina przekształciła się w istny cyrk. W ciągu paru lat w tempie zapierającym dech wystrzeliły w górę fabryki, stanowiska kontrolne, laboratoria, ogromne hangary i budynki biurowe z falistej blachy. Dzisiaj w Huntsville mieszka ponad 150 tysięcy ludzi. Miasteczko zbudziło się ze snu, a jego mieszkańcy stali się zagorzałymi zwolennikami badań kosmicznych. Kiedy odpalano pierwszą rakietę Redstone, wielu ludzi z lękiem chroniło się w piwnicach swych domostw. Gdy obecnie testowana jest rakieta Saturn i powietrze wypełnia hałas, jakby w następnej chwili miał nastąpić koniec świata, nikt już się tym nie przejmuje.

Mieszkańcy Huntsville zawsze noszą ze sobą akustyczne ochraniacze na uszy, tak jak panowie w londyńskim City nie rozstają się z parasolami. Swoje miasto nazywają krótko „Rocket-City" i kiedy Kongres nie chce wyasygnować miliardów potrzebnych na cele kosmiczne denerwują się i podejmują interwencje. Ludność Huntsville ma wszelkie powody do dumy ze swoich „Niemców" i NASA, gdyż miasto stało się największym ośrodkiem tej agencji. Tutaj wymyślono i skonstruowano rakiety, które znalazły się na pierwszych stronach gazet całego świata, poczynając od małej Redstone do gigantycznego Saturna V. Do tej pory USA zainwestowały w program badania Księżyca około 100

miliardów marek niemieckich. Zamówiono 15 rakiet Saturn V za 540 000 000 marek. Na starcie zbiorniki rakiety wypełnione są czterema milionami litrów bardzo wybuchowego materiału pędnego, który pozwala na rozwinięcie mocy 150 000 000 koni mechanicznych. Wielka rakieta waży prawie 3000 ton. Nad szczytnym celem podboju Kosmosu pracuje w Huntsville pod kierunkiem Wernhera von Brauna około 7000 techników, inżynierów i uczonych pokrewnych dyscyplin. W całym amerykańskim programie kosmicznym zatrudnionych było w 1967 r. około 300 000 różnych uczonych i pracowników pomocniczych. Dla największego w dziejach przedsięwzięcia badawczego pracuje ponad 20 000 firm przemysłowych.

Austriacki uczony dr Pscherra powiedział mi podczas wizyty w Huntsville, że zespoły badawcze muszą na bieżąco tworzyć nowe „wyroby", których dotąd nikt na świecie nie produkuje i nie sprzedaje.

— Proszę spojrzeć tutaj — powiedział wskazując mi wielki cylinder, w którym szumiało i burczało. — Przeprowadzamy doświadczenia ze smarami w warunkach wysokiej próżni. Czy wie pan, że nie możemy zastosować żadnego z niezliczonych produkowanych na świecie smarów? W przestrzeni kosmicznej całkowicie tracą one swoje właściwości. Nawet zwykły silnik elektryczny z dostępnymi smarami przestaje pracować najpóźniej po pół godzinie przebywania w przestrzeni bez powietrza. Cóż innego nam zatem pozostaje, jak wynaleźć nowy smar, który będzie się sprawdzał bez zarzutu także w warunkach próżni?

Z innego pomieszczenia dobiegały straszliwe jęki i skowyt. Dwa nieprzeciętnie duże, mocno osadzone w ziemi imadła próbowały rozerwać grubą na dziesięć centymetrów metalową płytę.

— To kolejna seria eksperymentów, których chętnie byśmy sobie oszczędzili — powiedział dr Pscherra. — Jednak nasze doświadczenia wykazały, że istniejące stopy metali nie wytrzymują warunków kosmicznych. Musimy zatem znaleźć takie, które odpowiadałyby naszym wymaganiom. Stąd próby na rozdarcie i wytrzymałość materiału we wszystkich możliwych sytuacjach, jakie tylko da się przewidzieć w Kosmosie. Musimy opracowywać także nowe metody spawania. Szwy spawalnicze będą poddawane testom na zimno, gorąco, na wstrząsy, ciągnienie i nacisk, tak abyśmy znali granicę, przy której szew się rozpada.

Towarzysząca mi hostessa spojrzała na zegarek. Doktor Pscherra także popatrzył na swój. Wszyscy spoglądali na zegary. Pracownicy NASA już tego z pewnością nie zauważają, lecz osoba z zewnątrz rejestruje to najpierw z ciekawością, a potem i ona przyzwyczaja się do tego, że zerkanie na zegarek jest odruchowym gestem ludzi z NASA zarówno na Przylądku Kennedy'ego, jak i w Houston czy Huntsville. Wydaje się, jakby ciągle odliczali: ...cztery ...trzy ...dwa ...jeden ...zero.

Po kolejnych licznych kontrolach przez hale, korytarze i drzwi dotarliśmy do pana Pauli, który również pochodzi z

Europy niemieckojęzycznej i pracuje w NASA od 13 lat. Otrzymałem biały hełm z napisem NASA na głowę i pan Pauli zaprowadził mnie na stanowisko kontrolne rakiety Saturn V. Pod skromnym określeniem „stanowisko kontrolne" kryje się betonowy kolos, który waży wiele setek ton, ma kilka pięter, do których wiodą windy i dźwigi, otoczony jest rampami, a w środku zainstalowana jest pogmatwana wielokilometrowa sieć przewodów. Odpalony Saturn V powoduje hałas, który słyszy się nawet w odległości 20 kilometrów od miejsca startu. Stanowisko kontrolne głęboko zakotwiczone w skale i betonie unosi się podczas takich doświadczeń do ośmiu centymetrów w swoich fundamentach, a półtora miliona litrów wody na sekundę pompowanych przez śluzę chłodzi cały mechanizm. Do chłodzenia urządzeń podczas doświadczeń na stanowisku kontrolnym musiano zbudować stację pomp, która bez trudu mogłaby zaopatrywać w świeżą wodę miasto wielkości Dusseldorfu. Sam tylko eksperyment ze spalaniem kosztuje prawie pięć milionów marek! Kosmosu nie da się zdobyć tanim kosztem...

Huntsville jest jednym z 18 ośrodków NASA. A oto kompletna lista którą należałoby zanotować, gdyż być może będą to kiedyś lotniska kosmiczne:

- Armes Research Center, Moffett Field, Kalifornia,

- Electronics Research Center, Cambridge, Massachusetts,

- Flight Research Center, Edwards, Kalifornia,

- Goddard Space Flight Center, Greenbelt, Maryland,

- Propulsion Laboratory, Pasadena, Kalifornia,

- John F. Kennedy Space Center, Floryda,

- Langley Research Center, Hampton, Wirginia,

- Lewis Research Center, Cleveland, Ohio,

- Manned Spacecraft Center, Houston, Teksas,

- Nuclear Rocket Development Station, Jackass Flats,

- Pacific Launch Operations Office, Lompoc, Kalifornia,

- Wallops Station, Wallops Island, Wirginia,

- Western Pernations Office, Santa Monica, Kalifornia,

- NASA-Head-Quarters, Waszyngton DC.

Przemysł kosmiczny dawno już wyprzedził przemysł samochodowy jako wskaźnik koniunktury. W stacji kosmicznej na Przylądku Kennedy'ego zatrudnionych było l lipca 1967 r. 22 828 ludzi, zaś roczny budżet tylko tego jednego ośrodka wynosił w 1967 r. 475 784 000 dolarów!

I to wszystko dlatego, że paru pomyleńców chce się koniecznie dostać na Księżyc? Sądzimy, że podaliśmy dostateczną liczbę przykładów na to, jak dużo już dzisiaj — w postaci produktów ubocznych — zawdzięczamy badaniom Kosmosu: począwszy od przedmiotów codziennego użytku, a

kończąc na skomplikowanych urządzeniach medycznych, które każdego dnia i każdej godziny ratują życie ludzkie na całym świecie. Rozwijająca się technika najnowszej generacji z całą pewnością nie jest dla ludzkości przekleństwem. Przeciwnie, w siedmiomilowych butach przybliża nas do przyszłości, która każdego dnia zaczyna się na nowo.

Autor miał okazję poprosić Wernhera von Brauna o ustosunkowanie się do wyłożonych w tej książce hipotez:

— Czy uważa pan, doktorze von Braun, za możliwe, że odkryjemy życie na innych planetach naszego Układu Słonecznego?

— Uważam za możliwe, że napotkamy niższe formy życia na Marsie.

— Czy sądzi pan, że możemy nie być jedynymi istotami inteligentnymi we Wszechświecie?

— Uważam to za całkiem prawdopodobne, że w nieskończonych przestrzeniach uniwersum istnieje nie tylko flora i fauna, ale także istoty rozumne. Odkrycie takiego życia jest zadaniem w najwyższym stopniu fascynującym i ciekawym. Uwzględniając jednak ogromne odległości między naszym Układem Słonecznym a innymi oraz jeszcze większe odległości dzielące naszą Galaktykę od innych galaktyk, jest sprawą wątpliwą, czy uda się nam wykazać istnienie takich form życia lub wejść z nimi w bezpośredni kontakt.

— Czy jest możliwe, aby w naszej Galaktyce żyły obecnie lub w przeszłości starsze i technicznie bardziej zaawansowane społeczności istot rozumnych?

— Nie mamy dotąd żadnych dowodów ani oznak, aby istoty rozumne starsze i bardziej od nas technicznie rozwinięte żyły teraz lub dawniej w Galaktyce. Na podstawie rozważań statystycznych i filozoficznych jestem jednak przekonany o istnieniu takich bardziej zaawansowanych w rozwoju istot. Muszę zarazem podkreślić, że nie mamy żadnej naukowej podstawy uzasadniającej to przekonanie.

— Czy istnieje możliwość, aby starsze cywilizacje złożyły w zamierzchłej przeszłości wizytę na naszej Ziemi?

— Nie chciałbym wykluczać takiej możliwości. O ile mi jednak wiadomo, do tej pory badania archeologiczne nie dostarczyły podstaw do tego typu spekulacji.

Na tym kończy się rozmowa z niezwykle zapracowanym „ojcem rakiety Saturn". Niestety autor nie miał okazji przedstawić mu dokładnie ani wszystkich osobliwych odkryć, niedorzeczności pozostawionych w starych księgach w postaci nie rozwiązanych zagadek, ani zadać niezliczonych pytań, jakie narzucają się po zinterpretowaniu znalezisk archeologicznych pod kątem ich związków z Kosmosem.

Rozdział XII

Fabryki myśli zabezpieczają przyszłość — Dawnym prorokom było łatwiej — Koło się zamyka

W jakim miejscu znajdujemy się dzisiaj?

Czy człowiek opanuje kiedyś Wszechświat?

Czy obce istoty z Kosmosu odwiedziły w zamierzchłych czasach Ziemię?

Czy gdzieś we Wszechświecie istoty rozumne próbują nawiązać z nami kontakt?

Czy nasza epoka z wybiegającymi w przyszłość wynalazkami jest rzeczywiście taka straszna?

Czy należy trzymać w tajemnicy najbardziej rewelacyjne wyniki badań?

Czy medycyna i biologia będą umiały ożywić głęboko zamrożonego człowieka?

Czy Ziemianie zasiedlą nowe planety?

Czy wejdą tam w związki z tubylcami?

Czy ludzie stworzą drugą, trzecią, czwartą... Ziemię?

Czy specjalne roboty zastąpią pewnego dnia chirurgów?

Czy szpitale w roku 2100 będą magazynami części zamiennych dla chorych ludzi?

Czy w odległej przyszłości będzie można przedłużać życie człowieka na czas nieokreślony dzięki sztucznym organom, takim jak serce, płuca, nerki itd.?

Czy Nowy wspaniały świat Huxleya nie stanie się pewnego dnia w całej swej niewyobrażalności i zimnie — rzeczywistością?

Zestaw podobnych pytań mógłby wypełnić całą książkę telefoniczną dużego miasta. Nie ma dnia, żeby w jakimś

miejscu na świecie nie dokonywano jakiegoś nowego, niespodziewanego odkrycia — każdego dnia jedno pytanie z zestawu „niemożliwości" zostaje skreślone, gdyż doczekało się rozwiązania. Uniwersytet w Edynburgu otrzymał z fundacji Nuffielda pierwszą dotację w wysokości 270 000 funtów na opracowanie inteligentnego komputera. Zaaranżowano rozmowę między prototypem tego komputera a pewnym pacjentem, który nie chciał potem wierzyć, że miał do czynienia z maszyną! Prof. dr Michie — konstruktor komputera — twierdził, że jego maszyna zaczyna prowadzić ludzkie życie...

Nowa nauka nazywa się futurologia! Jej celem jest planowanie, gruntowne zbadanie i ogarnięcie przyszłości wszelkimi będącymi do dyspozycji metodami technicznymi i teoretycznymi. Wszędzie na świecie powstają fabryki myśli, które nie są niczym innym, jak klasztorami dzisiejszych uczonych zastanawiających się nad jutrem. Tylko w samej Ameryce pracują 164 takie fabryki, wykonując zamówienia rządowe i wielkiego przemysłu. Najbardziej znaną fabryką myśli jest RAND Corporation w Santa Monica w Kalifornii, powstała w 1945 r. z inicjatywy Sił Powietrznych USA, gdyż wysokiej rangi wojskowi zażyczyli sobie programu badawczego dla wojny międzykontynentalnej. W tym dwupiętrowym, z rozmachem zaprojektowanym centrum badawczym pracuje obecnie 843 wybranych wybitnych specjalistów. W tym właśnie budynku rodzą się pierwsze pomysły i plany najbardziej nieprawdopodobnych

przedsięwzięć ludzkości. Uczeni z RAND-u już w 1946 r. określili przydatność statku kosmicznego dla celów wojskowych. Kiedy w 1951 r. RAND opracował program różnych satelitów, uznano to za utopię. Od początku istnienia RAND-u świat zawdzięcza mu 3000 dokładnych sprawozdań o nieznanych dotąd zjawiskach. Uczeni ośrodka opublikowali ponad 110 książek, które w niesłychany wręcz sposób pchnęły do przodu naszą kulturę i cywilizację.

Nie widać końca pracy badawczej i zapewne w ogóle go nie będzie.

Podobnymi zadaniami zajmują się także inne instytuty: Hudson Institut w Harmon-on-Hudson w stanie Nowy Jork, Tempo Center of Advanced Studies koncernu General Electric w Santa Barbara w Kalifornii, Arthur Little Institut w Cambridge w stanie Massachusetts i Battelle Institut w Columbus w Ohio.

Rządy i wielkie przedsiębiorstwa nie mogą się już obyć bez futurologów. Władze państwowe muszą bowiem planować z wyprzedzeniem przedsięwzięcia militarne, zaś wielkie firmy przeprowadzają kalkulacje inwestycji z wyprzedzeniem kilkudziesięciu lat. Zadaniem futurologii jest planowanie rozwoju dużych aglomeracji na sto i więcej lat z góry.

Dysponując obecną wiedzą nietrudno przewidzieć dajmy na to rozwój Meksyku w ciągu najbliższych 50 lat. W prognozie takiej uwzględnia się wszelkie okoliczności, takie jak: współczesny poziom techniki, środki komunikacji i

transportu, tendencje polityczne i potencjalni przeciwnicy Meksyku. Skoro przewidywania takie istnieją obecnie, to rzecz jasna obce inteligencje mogły opracować przed 10 000 lat prognozę również dla planety Ziemia.

Ludzkość musi, używając wszystkich dostępnych sposobów, przewidywać i badać przyszłość. Bez studium nad przyszłością nie mielibyśmy prawdopodobnie żadnych szans na rozwiązanie zagadek naszej przeszłości. Kto wie, czy wokół wykopalisk archeologicznych nie leżą w nieładzie wskazówki ważne dla rozszyfrowania przeszłości, może nawet depczemy po nich niedbale, nie umiejąc ich rozpoznać?!

Dlatego właśnie wysuwamy propozycję ustanowienia „Roku Archeologii Utopijnej". Tak jak sami nie chcemy bezmyślnie „wierzyć" w mądrości dawnych systemów myślowych, tak ze swej strony nie domagamy się, aby „wierzono" w nasze hipotezy. Oczekujemy tylko i mamy nadzieję, że wkrótce nadejdzie właściwy czas, aby bez uprzedzeń zmierzyć się — przy pomocy najbardziej wyrafinowanej technologii — z zagadkami przeszłości.

Nie nasza wina, że we Wszechświecie istnieją miliony innych planet...

Nie nasza wina, że na hełmie japońskiego posążka z Tokomai sprzed wielu tysięcy lat widać nowoczesne zaciski i osłony...

Nie nasza wina, że istnieje kamienna rzeźba z Palenąue...

Nie nasza wina, że admirał Piri Reis nie spalił swoich starych map...

Nie nasza wina, że dawne księgi i historyczne podania wykazują tak dużo niedorzeczności...

...jednak jest naszą winą, jeśli wiedząc o tym wszystkim nie zwracamy na to uwagi i nie traktujemy tego zbyt poważnie!

Człowiek ma przed sobą wspaniałą przyszłość, która przewyższy jeszcze jego wspaniałą przeszłość. Potrzebujemy badań nad Kosmosem i przyszłością oraz odwagi, aby realizować niemożliwe z pozoru przedsięwzięcia. Takie, jak na przykład projekt kompleksowych badań nad przeszłością, który może nam dostarczyć cennych wspomnień z przyszłości. Wspomnień, których prawdziwość zostanie naukowo dowiedziona i które rozjaśnią dzieje ludzkości bez potrzeby odwoływania się do wiary w nie. A wszystko to dla dobra przyszłych pokoleń.